

KAROL MAY

CZARNY KAPITAN

CYGAŃSKA BANDA

Gdzieś wysoko w górach ciągnął się gęsty las. Jednym ze swych rozległych krańców sięgał prawie aż do Fiirstenberg, stolicy księstwa Norlandii. Tam właśnie, sporą część leśnych przestrzeni zajmował ogrodzony zewsząd drewnianą palisadą zwierzyniec. Prawa wstępu do niego nie posiadał nikt prócz leśników. Mimo tego i tak pewnego poranka można tam było spotkać ludzi, których stroje w żaden sposób nie przypominały ani leśnych urzędników, ani tym bardziej tych, którym za kartę wstępu wystarczały przywileje.

Pomiędzy dwoma potężnymi, mającymi zapewne z tysiąc lat dębami, których rozłożyste konary i wielkie grube gałęzie strzelały wysoko w niebo, stał wiekowy, czterokołowy wóz. Szkapą, która go ciągnęła, pasła się nieopodal, skubiąc soczystą trawę wystającą spod mchu i całej reszty leśnego runa. Na pniu jakiegoś drzewa rozpalono ogień, nad którym na rożnie piekł się sarni comber. Obracaniem rożna zajmował się dziesięcioletni chłopiec, którego zadowolona mina świadczyła o tym, że zna się na rzeczy. Odziany był tylko do połowy, czym nie różnił się od innych osób siedzących, bądź leżących wokół ogniska i przypatrujących się przyrządzanej właśnie pieczeni. Wszyscy ludzie posiadali cygańskie rysy, choć ze względu na wyjątkowo skromny przyodziewek wydawać by się mogło, że nie należą do owego wędrującego to tu, to tam plemienia, zajmującego się tak charakterystycznym i intratnym procederem jakim jest kradzież i rabunek.

Na wozie w sposób wskazujący jednoznacznie na „prawdziwą damę”, przykryta starą pościelą siedziała kobieta, będąca z całą pewnością *vajdziną*, cygańską księżną z rodu Lombardów. Co pewien czas rzucała spojrzenie na chłopca, potem zaś przyglądała się uważnie rumieniącej się coraz bardziej sarniej pieczeni. Czyniła to, pociągając jednocześnie z krótkiej zdezelowanej fajki. Delikatny aromat tytoniu jaki unosił się w powietrzu, musiał wywołać podziw wśród prawdziwych palaczy.

W panującej dokoła ciszy, słychać było dochodzące z oddali przytłumione odgłosy czyjejs rozmowy. Prowadziły ją dwie osoby, które odłączyły się od całego towarzystwa na odległość jakiś stu kroków od cygańskiego wozu.

Jedną z nich była siedemnastoletnia, piękna dziewczyna siedząca na mchu w sposób niedbały, ale pełen godności. Strój jej był bardziej staranny i kompletny niż pozostałych, nie ulegało wątpliwości, że poświęcała mu wiele uwagi. Naprzeciw niej, oparty plecami o drzewo, z rękami splecionymi na piersiach stał młody człowiek. Ludzie, którzy nieświadomie przyjmują taką pozycję, posiadają najczęściej silnie rozwiniętą osobowość. Imponująca postać

młodzieńca budziła należyty respekt, a marny przyodziewek nie był w stanie przynieść ujemny mocno i kształtnie zbudowanej sylwetce chłopca. Uważny obserwator mógł być zdziwiony kolorem jego skóry. Nie była ona tak biała jak w przypadku mieszkańców Kaukazu, ani tak brązowa jak u Cyganów. Można ją raczej uznać za szarą, a właściwie za szarą zmieszaną z brązem. Takiego koloru nabiera skóra poddana mocnemu działaniu wiatru, burzy i promieni słonecznych.

Młodzieniec odziany był w krótkie, obszerne spodnie, które z pewnością zakładało się przy jakiejś innej okazji. Spomiędzy nich i spod zbyt ciasnego i podartego w wielu miejscach kaftana, wyglądała znoszona koszula. Na głowie nosił czapkę, której daszek dawno gdzieś się zapodział. Był bez butów, a z rękawów kaftana wylaniały się nagie muskularne ramiona. Przez jedną z takich dziur widać było ciemny, czarnoczerwony tatuaż. Przedstawiał jakiś herb, jednak poszczególne linie, z których się składał były tak rozciągnięte i wytarte, że czyniły całość słabo czytelną. Można było przypuszczać, że tatuaż został wykonany przed wielu laty. Włosy młodzieńca były intensywnie czarne, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się, tuż przy skórze można było zauważyć znacznie jaśniejszy odcień, taki jaki mają tylko ludzie o jasnych włosach. Niepospolicie wysokie czoło, szaroniebieskie oczy nie wskazywały ani na hinduskie, ani na egipskie pochodzenie. Wszystko razem sprawiało, że młodzieniec wywierał jakieś niezwykle wrażenie, potęgowane jeszcze spokojem i pewnością z jakimi się poruszał i zachowywał. Jego charakter różnił się bardzo, od owego niespokojnego i zmiennego usposobienia, z jakiego od dawna znani byli Cyganie. Teraz jednak mimo panującej wszędzie ciszy, wydawał się być w stanie głębokiego wzburzenia. Jego twarz płonęła, a oczy pełne były blasku. Wydawało się, że patrzy gdzieś w dal, spojrzeniem na jakie zwykły śmiertelnik nigdy się zdobyć nie potrafi.

Twarc dziewczyny pełna była podziwu, a ton jej głosu, w chwili gdy krzyknęła wyrażał najwyższe uznanie.

— Katombo, duch, który cię przepelnia to coś większego i potężniejszego niż sam tylko dar wróżenia. Czy mogę cię jeszcze o coś spytać?

— Zgoda, niech tak będzie, Lilgo! — odrzekł młodzieniec

— Czy wiesz gdzie zamieszkuje cygańska bogini Bhowannie?

— Na wyspie Nossmdambo, zwanej przez lud chrześcijańskim Madagaskarem

— No tak. Gdzieś wysoko w górach Ambohismene znajduje się jej tron, ona sama śpi całymi dniami, ukryta głęboko we wnętrzu góry Bufor, pojawiając się dopiero wieczorem Czy potrafisz ją sobie wyobrazić? Gdy w wieczornej ciszy, jej głowa błyszczy pośród gwiazd ona sama zaś z pełnym wdzięku uśmiechem kąpie swe nogi w otchłani morskich fal, a gdy nastanie

świt uchodzi na Zachód broniąc się przed pocałunkiem dnia Czy mógłbyś mi to opisać w sposób jaki czynią to poeci?

Skinął na to głową, przekonany, że potrafi to uczynić

— Jeśli tylko ty nie umkniesz przed moim pocałunkiem, podobnie jak Bhowannie przed chcącym ją pochwycić dniem.

Dziewczyna zwlekała chwilę z odpowiedzią, po czym odrzekła:

— Będziesz mógł mnie pocałować Katombo! Najpierw jednak chcę usłyszeć wiersz.

Młodzieniec spojrzał marzycielsko przed siebie, uniósł ramiona i zaczął płynnie recytować:

*Kiedy górą Befour
wieczoru już spowijać zaczynają cienie
wtedy to Matka Natura
przybywa ze swych komnat z głębi ziemi,
w lazurowym diademie, co cały
jaśniej i skrzy się kryształami*

*W jej ciemnych lokach zakwitają
pieśni, co pełne taksą smaku ziemi
a z niezmierzonej dali krzyża
ogniste iskry w dół nań opadają,
krzyża ogniste iskry w dół nań opadają,
zaś fale ze snu obudzone znów do góry
złote tych gwiazd ofiary odrzucają.*

*I oto nowy dzień już wstaje
by znaleźć tę tysiácooką
co lśniący zaprzęg swój powożąc, z jego rozkazu
przez purpurowe bramy ma przekroczyć
a tam już twarz jego poznając
przepaść daleko gdzieś na zachodzie*

Dziewczyna przysłuchiwała się jego słowom, z miną kogoś kto zna się na sztuce. Gdy skończył pochyliła głowę wolno w dół.

— Boinjarowie mają wielu poetów, ale żaden z nich nie został obdarzony tak wspaniałym talentem, jak ty Katombo.

Chłopak uśmiechnął się bez przekonania.

— Lilgo, mój lud wychwala mnie i ceni, uznając za swego najlepszego poetę, ale ja jestem gotów oddać całą mą sławę i wszystkie moje zaszczyty, za jedno twoje życzliwe spojrzenie, za jedno twoje dobre słowo. A teraz chciałbym dostać obiecany pocałunek.

Uczynił krok w jej stronę, ale ona zasłoniła się szybko ramionami.

— Zaczekaj przecież jeszcze nie skończyłeś!

— Właśnie, że skończyłem’

— Nieprawda opowiedziałeś tylko o tej Bhowannie, która pojawia się w ciche, łagodne wieczory A przecież, gdy gniewa się na swój lud, to staje się wtedy inna, inna będzie też i w twojej opowieści Co więc z nią gdy niebo pokrywa się chmurami, morskie fale burzą się i pienia ?

— Dość! — przerwał jej Katombo. — Chcę pocałunku, a nie pouczeń. Posłuchaj więc jeszcze, ale na tym zakończę i wtedy odbiorę zapłatę. Ponieważ mowa tu o tej samej bogini, dlatego ta opowieść powinna być podobna do tamtej.

Zastanowił się, ale tylko przez chwilę, po czym zaczął mówić:

Kiedy górą Befour

wieczoru już spowijać mroczne zaczynają cienie

wtedy to Matka Natura

przybywa ze swych komnat z głębi ziemi

by na spalonych pól przestrzeni

zasiać swych cichych pereł rosę.

Niebiański anioł gdzieś umyka

wśród chmur co pędzą bezustannie,

cierpieniom swym zostawia ziemię,

od których kwiaty swe lzy ronią gorzkie

a morska kipieli, tam w podwodnych skalach

tak dziko wyje i zawodzi.

Lecz oto pęka już poranka złote serce

i budzi ze snu nowy dzień,

*ten zaś, całując rubinowych kropel
diamentowy ból, ku niebu
z miłością niesie ojca swego
by tam wypłakać się on mógł.*

Skończył, po czym zaczął przyglądać się uważnie dziewczynie. Ona zaś spuściła oczy w dół, zakrywając je długimi rzęsami, aby nie można było dostrzec tego, co myśli i czuje.

— Lilgo!

— Katombo!

— Co z moim pocałunkiem?

— Zapomnij o nim.

Podniosła oczy i na wpół zimnym, na wpół litościwym wzrokiem popatrzyła na niego.

— Dlaczego?

— Na co ci on? Nie możesz żyć bez mego pocałunku? Katombo zeszywniał cały, a oczy mu zapłonęły.

— Lilgo, pokochałaś mnie przecież, właśnie mnie. Jesteśmy zaręczeni i wkrótce zostaniesz moją żoną. Chciałaś żeby tak było. Geza, nasz *vajda* połączy nasze ręce. Jakże często mówiłaś, że beze mnie nie mogłabyś żyć. Również ja piłem radość i szczęście z twych oczu i wołałbym umrzeć, gdyby śmierć mi ciebie zabrała.

— Ależ ja nie umieram.

— Pozwól mi skończyć. Byłbym szczęśliwy mogąc umrzeć wraz z tobą, lecz jeśli miałbym cię stracić w inny sposób, to, to...

— To co?

— To... to i tak kochałbym cię nadal, pamiętając wszakże o tym, że pozostaje mi uczynić coś o czym wie każdy z Boinjarów, któremu odebrano żonę bądź narzeczoną.

— Cóż to takiego?

— Zemsta!

— Zemsta? Katombo, ty i zemsta? Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby nasz łagodny Katombo rozdeptał choćby robaczka? Czy uczynił komuś ze swoich, choćby jeden jedyny raz, coś co chrześcijanie nazywają oszustwem, bądź kradzieżą? Masz w sobie duszę poety, ale żaden z ciebie mężczyzna. Mówisz o zemście Boinjarów, a każdego miesiąca musisz swą skórę i włosy farbować na ciemno. Czy ty jesteś chociaż prawdziwym Cyganem?

— Co więc decyduje o tym, że się jest Cyganem, krótka chwila narodzin, czy drugie lata życia? To właśnie *vajda* znalazł mnie w lesie, nikt jednak nie zna moich rodziców, w jego

rodzinie byłem przez cały czas, Geza nazwał mnie swym synem i stąd się to wzięło, że mówię o sobie, iż jestem Cyganem. Daj mi więc teraz całusa zgodnie ze swą obietnicą.

— Dobrze, weź go sobie!

Powiedziała te słowa zimno i obojętnie Czoło młodzieńca spochmurniało, walczył z ogarniającym go gniewem, a głos drżał mu lekko, kiedy mówił do dziewczyny.

— Zatrzymaj go sobie w takim razie? Ale nie zapomnij nigdy o tym, że twoje usta należą do mnie, w przeciwnym bowiem razie musiałbym ci udowodnić, że pomimo mojej białej skóry, jestem prawdziwym Boinjarem.

Słowa te zabrzmiały jak groźba, a oczy młodzieńca stały się wilgotne. Dziewczyna dostrzegła to, wspięła się na palce i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Przebacz mi — poprosiła, całując go — Przecież wiesz, że cię kocham, Katombo.

Stała na ziemi. On ją objął ramieniem i szepnął:

— A więc to prawda? Powiedz mi to jeszcze raz, Lilgo!

— Nie mogę, Katombo.

— Dlaczego nie możesz?

Spojrzała nań, a w jej oczach była nieśmiałość i prośba o przebaczenie.

— Kiedyś poznasz prawdę, chcę jednak abyś wiedział, że nigdy nie przestanę cię kochać.

— Wiem o tym, ale przecież od wielu dni twoje serce milczy, a twarz masz nieprzeniknioną, chociaż czasem twoje oczy błyszczą niczym gwiazdy, którym słońce dodało swego blasku Lilgo, zostań moja, abym już nigdy nie musiał cię opuszczać!

Gdy mówił te słowa, jego szczerą twarz ścisnęło coś nagle jakby jakiś strach. Coś zaszeleściło w pobliskich zaroślach i czyjś donośny głos wydał rozkaz:

— Bierz go, Pluto!

Ogromny myśliwski pies wyskoczył zza krzaka i rzucił się z tyłu na Katombo.

Pies złapał Cygana za kark i powalił go na ziemię zanim ten zdążył pomyśleć o jakiegokolwiek obronie.

— Trzymaj!

W chwili gdy padło to słowo, ukazał się mężczyzna, do którego należał pies. Był to młody człowiek, w wieku tamtych dwojga. Nosił na sobie myśliwskie ubranie o wojskowym kroju, ale nawet i bez tego cała jego postać i zachowanie, pozwalały rozpoznać w nim oficera.

Lilga była całym tym zajściem tak przerażona, że twarz jej pokrył płomienny rumieniec.

Obcy podszedł do mej i złapał ją za rękę.

— Kim jest ten młodzik, który ośmielił się ciebie obejmować? — wrzasnął na nią.

— To Katombo.

— Katombo? Możliwe, że to jego imię, ale ono nic mi nie mówi!

— To jest mój brat, — odrzekła dziewczyna jękając się.

— Twój brat? To wszystko? — spytał nieznajomy, po czym spojrzał ponuro na leżącego na ziemi Katombo.

— Wszystko.

— Ach tak! Więc to brat obejmuje i całuje w taki sposób?

Dziewczyna umilkła wyraźnie zmieszana. Mężczyzna chwycił ją i mimo, że się opierała przyciągnął ją do siebie.

— Jeśli on rzeczywiście jest tylko twoim bratem, to może widzieć to co robię.

Zbliżył swe usta do jej warg, ale nie zdążył wykonać pocałunku, gdyż nagły skowyt psa zmusił go do spojrzenia w tamtą stronę. Mimo niebezpieczeństwa jakie niósł taki plan, Katombo błyskawicznym ruchem obu rąk uderzył stojącego nad nim psa w szyję i tak mocno ścisnął go za gardło, że ten padł bezwładnie na ziemię.

— Człowieku jak śmiesz! — ryknął myśliwy sięgając po sztucer. — Zostaw psa w spokoju, gdyż w przeciwnym razie zastrzelę cię!

Katombo leżał ciągle na ziemi i śmiał się.

— Zostawić psa w spokoju, dobre sobie, żeby mnie rozszarpał? Jesteś nadzwyczaj mądrym człowiekiem.

Lewą ręką trzymając mocno psa, prawą wyciągnął swój nóż i wbił jego ostrze aż po nasadę, między żebra zwierzęcia.

— Giń i ty! — krzyknął z wściekłością myśliwy, podnosząc strzelbę do oka.

Strzał padł w sekundzie, lecz młodzieniec równocześnie rzucił się w bok. Kula przeleciała tuż obok jego głowy i wbiła się w ziemię. Katombo zerwał się błyskawicznie na nogi, skoczył na przeciwnika, powalił go, po czym wymierzył weń ostrze noża.

— Ty umrzesz, nie ja!

Cios niechybnie okazałby się śmiertelny, gdyby nie Lilga, która złapała wysoko uniesione ramię i jakimś nadludzkim wysiłkiem przytrzymała je.

— Nie czyn mu nic złego, Katombo, on jest hrabią!

— Może być nawet księciem. Dlaczego nie powiedziałaś tego samego wcześniej kiedy on chciał mnie zabić?

Próbował wyswobodzić swe ramię z jej rąk, tymczasem drugim przyciskał mocno do ziemi wijącego się pod nim napastnika. Już chciał spełnić swą groźbę, gdy pojawiła się kolejna, dużo groźniejsza przeszkoda.

— Stać! — zabrzmiało głośno i kategorycznie od strony, gdzie znajdowało się cygańskie obozowisko.

To był Geza, który usłyszawszy strzał, przybiegł natychmiast ze swymi ludźmi. Rzuciwszy okiem na to co się dzieje i z udanym przerażeniem załamał ręce.

— O pan hrabia! Nasz najjaśniejszy, dobry, piękny, wytworny pan, który pozwolił nam rozbić obóz w zwierzyńcu i do tego zjeść takie mnóstwo zwierzyny. Czyś ty oszalał Katombo? Puść go zaraz!

Cygan posłuchał i podniósł się, noża jednak nie schował. Także myśliwy dźwignął się z ziemi, czerwony ze wstydu i złości. Matka Katombo skłoniła się nisko przed nim i dotknęła rąbkiem spódnicy ust.

— Wybacz nam, wielmożny panie! On jest łagodny i dobry, musiałeś panie, bardzo go czymś rozgniewać, że odważył się porwać na ciebie.

— Rozgniewać? Od kiedy to taki hultaj ma czelność twierdzić, że rozgniewał go hrabia von Hohenegg?

— On chciał pocałować Lilgę, a potem strzelił do mnie! — odezwał się Katombo.

— Ten człowiek zakłuł mojego najlepszego psa! — powiedział, zgrzytając zębami hrabia.
— Pies za psa. Krew za krew!

Chwycił za strzelbę, która została mu wcześniej wytrącona. Druga lufa była jeszcze załadowana. Uniósł broń celując w Katombo. W tej chwili jeden z Cyganów wystąpił naprzód i zasłonił sobą wylot lufy.

— Odłóż broń, panie! Nazywam się Karavey. Katombo jest moim bratem i jeśli nie zostawisz go w spokoju, to może spotkać cię to samo, co i twego psa, panie!

— A to co znowu? Chcecie obaj zginać! Nie mam zwyczaju żartować, a już szczególnie z kimś tak niskiego pochodzenia.

Vajdzina jeszcze raz spróbowała pogodzić klóących się.

— Niech pan będzie łaskawy, panie hrabio! W złości często mówimy rzeczy, które normalnie nie przyszłyby na nawet na myśl. Cygan nie zna innego sędziego niż jego *vajda* i *vajdzina*. Nikomu innemu nie pozwoli się sądzić, tak każe jego prawo. Jeśli Katombo pana obraził, hrabio, zostanie osądzony i ja go ukarzę!

Złość hrabiego jakby minęła, zaśmiał się jednak szyderczo:

— Ty chcesz być sędzią? No, dobrze, podporządkuję się waszym zwyczajom. Ten oto człowiek zabił mego psa, a potem nastawał również i na moje życie. W jaki sposób zamierzasz go ukarać?

— A czego żądasz ty, panie?

— Domagam się stu kijów dla niego, dwudziestu zaś dla tego, który nazwał się jego bratem, a ponadto opuszczenia przez nich zwierzyńca. Poznajcie jednak moją łaskę i dobroć! Zezwalam wam na dalszy pobyt tutaj, pod warunkiem wszakże, że życie moje nie będzie więcej narażane na niebezpieczeństwo

— Jaśnie panie jesteś niezwykle łaskaw, ale wdzięczność *vajdziny* może dorównać twojej, jeśli tylko i ty tego pragniesz, — odpowiedziała stara, spoglądając przy tym mimo woli na Lilgę. — Poszczyłeś panie psa na Katombo, z tego to powodu przyszło zwierzęciu zginąć. Potem chciałeś panie zastrzelić Katombo, musiał się więc bronić. Wybierz jakąś łaskawszą karę!

— Niech tak będzie starucho, również ja chciałbym okazać więcej łaskowości. Owszem poszczyłem psa na tego młodzika, ale przecież on domagał się, aby Lilga go pocałowała, a potem, kiedy ja chciałem ją pocałować, wziął i zabił mojego psa. Jeśli ona pocałuje mnie teraz, tu w waszej obecności, jestem gotów wszystko wybaczyć.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem i nic nie odrzekła.

— Więc? — spytał hrabia — Wszystko zależy od niej, albo zasłużycie na moją łaskę, albo staniecie przed innym, znacznie surowszym sądem.

Vajdzina skinęła na Lilgę.

— Idź i pocałuj go!

— Stój! — krzyknął Katombo — Lilga jest moją narzeczoną i jej pocałunki nie mogą się należeć nikomu innemu poza mną!

Hrabia wybuchnął pogardliwym śmiechem.

— Daję wam tylko minutę, potem będzie za późno, każę bowiem obu tych młodzieniaszków aresztować.

— Pocałuj go! — rozkazała powtórnie matka.

Dziewczyna chociaż bardzo zmieszana i z rumieńcem wstydu na twarzy, uczyniła krok w stronę hrabiego.

— Ani kroku dalej, Lilgo! — ostrzegł ją jej brat, Karavey — Cyganka całuje tylko Cygana!

— Stracisz również i mnie, jeśli go pocałujesz — odezwał się Katombo.

— A więc tak to wszystko wygląda — stwierdził hrabia. — Macie natychmiast opuścić zwierzyńiec. Kto za kwadrans będzie się znajdował w jego obrębie, zostanie zatrzymany jako złodziej zwierzyny. A już szczególnie zatroszczę się o tych dwóch hardych Cyganów.

— Pocałuj go! — po raz trzeci rozkazała matka.

— Muszę to uczynić, skoro domaga się tego ode mnie *vajdzina*! — rzekła, usprawiedliwiając się Lilga.

Podbiegła do hrabiego, objęła go za szyję i wycisnęła pocałunek na jego wargach. Katombo wydał okrzyk pełen trwogi i wściekłości, po czym ruszył chcąc odejść, *vajdzina* jednak złapała go za ramię.

— Stój Katombo! Prosiła o to *vajdzina*, a czego ona się domaga, winno zostać spełnione bez żadnego sprzeciwu Czy możemy zatem jasnie parne pozostać tutaj nadal?

— Zostańcie! — rzekł, śmiejąc się hrabia — Strzeżcie się jednak na przyszłość, czynić coś, co jest niezgodne z moją wolą Jeśli będziecie mieli jakieś życzenie, to nie kto inny jak Lilga właśnie ma mi o tym powiedzieć. Zapamiętajcie to sobie!

Hrabia odwrócił się i odszedł, nie racząc przy tym spojrzeć na nikogo. Przy wyjściu ze zwierzyńca natknął się na jednego z łowczych, który pozdrowił go z miną pełną uniżoności.

— Kto pełni dziś służbę Stefanie?

— Wszyscy, łaskawy panie, nikogo nie brakuje

— Znasz wszystkich Cyganów, którzy tu przebywają?

— Tak — mina łowczego pozwalała zgadnąć, że nie cieszą się oni jego sympatią

— Czy znasz także tego, którego nazywają Katombo?

— Jego też. On jest jeszcze najlepszy z całej tej bandy.

— Zaczekaj, chciałbym usłyszeć twoje zdanie na pewien temat! Zresztą powinniście się tych ludzi jak najprędzej pozbyć. Ośmielili się oni na wielką zuchwałość wobec mnie i powinni zostać za to ukarani. Jednakże nie życzę sobie, aby o tym mówiono. Potrafisz milczeć?

— Pan hrabia może na mnie liczyć!

— Odważyłbyś się pojmać tego Katombo?

— Nic prostszego, łaskawy panie.

— Pamiętaj, że należy to uczynić bez jakiegokolwiek rozgłosu! Nikt nie może się dowiedzieć, kto wydał ten rozkaz i co stało się z pojmanym.

— Wszystko zostanie uczynione w taki właśnie sposób.

— Przyjdę dziś wieczorem około godziny dziewiątej na leśną polanę. Katombo musi być już wtedy związany i znajdować się w myśliwskim domku.

— Będę tam w wyznaczonym czasie, panie hrabio! A gdyby się bronił i narobił hałasu, jakich środków powinienem użyć?

— Wszystkich, dzięki który m uda ci się zmusić go do milczenia.

— A jeśli to milczenie potrwa trochę dłużej, niż planowano?

— Nie musisz się niczego obawiać z tego powodu. Chcę mieć dzisiaj wieczorem, punktualnie o dziewiątej Cygana w domku myśliwskim. Co będzie się dalej działo, to jest już wyłącznie moją sprawą. Czy często bywasz wzywany przez swego przełożonego?

— Nie, ponieważ zdaje się, że nie mam zbyt dobrej opinii u nadleśniczego, a ponadto moja służba nie trwa na tyle długo, abym mógł liczyć na jakieś względy.

— Zamelduj się jednak.

— Skoro pan hrabia tak sobie życzy, uczynię to.

— Otrzymasz awans, także twoja dalsza przyszłość leży w moich rękach, powinieneś o tym wiedzieć. I zapamiętaj, że wymagam dokładnego wypełnienia moich poleceń i całkowitej dyskrecji.

Hrabia oszedł, tymczasem Stefan wrócił, aby zamknąć bramę zwierzyńca. Zawsze była starannie zamykana, aby żadne ze zwierząt nie mogło uciec za ogrodzenie. Jednakże przed kilku tygodniami hrabia rozkazał wpuścić do środka tę cygańską bandę, pozwolił na otwarcie potrzebnych im wejść i wyjść, a także nakazał przemykać oko, jeśli ludzie ci, zużyją czasem dla siebie trochę dziczyzny.

Ten osobliwy rozkaz napsuł sporo krwi wszystkim leśnikom i łowczym. Też coś, Cyganie w zwierzyńcu! A teraz jeszcze to niezwykle i pilne polecenie. Łowczy począł się zastanawiać nad tym wszystkim i wkrótce znalazł rozwiązanie zagadki.

Do owej cygańskiej zgrai należała również pewna dziewczyna, o tak wielkiej urodzie, że nie było nikogo, kto by się nią nie zachwycił. Także hrabia ujrzał ją kiedyś i przychodził teraz do zwierzyńca każdego dnia, aby ją spotkać. Zdarzyło się to częściowo w obecności Cygana, po części zaś w tajemnicy przed nim, co zauważyli leśnicy. No tak, teraz wszystko stawało się jasne. To ze względu na dziewczynę, cygańska banda mogła otrzymać zgodę na swój pobyt w zwierzyńcu, a nawet na polowania. Hrabia zaś miał sposobność przebywać razem z piękną Lilgą.

Zupełnie nieoczekiwanie strażnik leśny Stefan odkrył, że te brutalne środki mają być podjęte przeciwko komuś z jej bliskich, równie zdziwiony był tym nagłym poleceniem prowadzącym się do uwięzienia Cygana. Nie zastanawiał się jednak nad motywami zadania, które miał wykonać. To od hrabiego bowiem, jako od najwyższego przełożonego i od jego dobrej woli zależała przyszłość Stefana, który nie był zresztą kimś specjalnie wrażliwym, dzięki czemu, łatwo przychodziło mu posłuszne wykonywanie rozkazów. Zamknął wejście i skierował swoje kroki w stronę cygańskiego obozu.

W jego pobliżu usłyszał czyjś rozgniewany głos. Ostrożnie podszedł bliżej, aż znalazł się z tyłu drewnianego szalasu. Rozpoznał Katombo, który z rozgniewaną miną stał naprzeciw Lilgi.

— Czy nie powiedziałem, że cię opuszczę, jeśli go pocałujesz? I mimo tego zrobiłaś to! — rzekł.

— Zrobiłam tak, ale przecież tylko ze względu na ciebie i Karaveya — wyjaśniła.

— Nie wierzę w to! Dlaczego odmówiłaś mi pocałunku, kiedy byliśmy sami? Czemu Geza wysyła mnie ciągle do miasta, kiedy ten człowiek przychodzi tutaj? Czyżbyś za mięso, które spożywamy i za zezwolenie na nasz pobyt w tym lesie musiała płacić?

— Jesteś zazdrosny? — spytała z uśmiechem, którego obecności nie mógł nie zauważyć

— Zazdrosny? Mądry mężczyzna nie może być nigdy zazdrosny, a ja wierzę bardzo w to, że mam swój rozum. Mąż wiernej żony i narzeczony kochającej dziewczyny nie mają powodów do zazdrości. Jednakże żona, która daje do tego powód, nie jest warta, by serce męża było wypełnione miłością do niej.

— Musiałam uczynić to co rozkazała mi *vajdzina*.

— Musiałas uczynić to, czego ja od ciebie żądałem, gdyż twoje usta należały do mnie od dnia, w którym powiedziałaś mi, że mnie kochasz, i że zostaniesz moją żoną. Teraz jednak odebrałaś mi moją własność i ofiarowałaś ją innemu, który prowadzi z tobą tylko nikczemną grę. Pozostawiam cię jemu, ponieważ wyrzekam się ust, które całowały najpierw mnie, a później kogoś innego. Ale ten hrabia przekona się jeszcze, podobnie jak i ty przed chwilą, że jestem prawdziwym Bomjarem, i że za taką grabież potrafię odpłacić. Pozostaniesz moją siostrą, narzeczoną już byłaś, za to żoną moją nigdy nie będziesz.

Jej oczy zapłonęły.

— Pogardzasz mną?

— Nie, lituję się nad tobą, zaś niegodziwość jaką mi wyrządziłaś potrafię pomścić, nie na tobie jednak, lecz na nim. Gdyż ty swoją karę otrzymasz z własnej ręki. Będzie ona sprawiedliwsza, większa i surowsza, niż ta, którą ja miałbym ci wymierzyć.

— Ośmielasz się mówić o tym w ten sposób z twoją przyszlą *vajdziną*! Twierdzisz, że nie weźmiesz mnie za żonę? Wiesz chociaż, czy ja chcę cię jeszcze za męża? Jaką to karę mógłbyś mi wymierzyć i jaka to kara ponadto mogłaby mnie spotkać? Katombo opętało cię szaleństwo. Módl się do Bhowannie, aby cię od niego uwolniła! A kiedy twoja dusza, stanie się znów czysta i rozumna, wtedy pojmiesz, że Lilga nie potrzebuje błagać cię o przebaczenie i żebrać o twą miłość. Przebaczenie jej niepotrzebne, ponieważ nie zgrzeszyła wobec ciebie, zaś miłość może znaleźć wszędzie, bardziej niż niejedna delikatna i wystrojona dama, która daremnie kieruje swe oczy w stronę książąt i hrabiów.

Spojrzał na nią z bezgranicznym wprost współczuciem, które pojawiło się na jego obliczu.

— Lilgo, to nie mnie ogarnęło szaleństwo, lecz ciebie. I to nie ja otrząsnę się z niego lecz ty. Zateśknisz jeszcze za przebaczeniem niczym niewidzący za światłem. O tak, dobrze pojąłem mowę twych oczu, kiedy ten jaśnie pan chciał cię pocałować, a ja leżałem na ziemi powalony przez jego psa. Czułem z jakim przerażeniem biło twe serce, kiedy uniosłem swój nóż, aby

ugodzie nim hrabiego. Twoje serce nie należy już do mnie, ono należy do niego. A kiedy ono znów chciałoby powrócić do mnie, nie mógłbym go już przyjąć, gdyż tylko bezbronne niemowlę zjada kęs, który jakieś inne usta mu pogryzą.

Musiał ją kochać każdą cząstką swej duszy, to było widać z tej kipiącej złości z jaką wymówił swoje ostatnie słowa. Krople potu zrosiły mu czoło. Zęby miał zaciśnięte i opalenizna nie mogła przysłonić trupiej bladości jego policzków. Dziewczyna jednak niczego nie zauważyła, bowiem gniew ogarnął ją do tego stopnia, że jej głos zabrzmiał ochryple, kiedy odrzekła ironicznie.

— Jeśli masz mnie za kochankę hrabiego, to musisz wiedzieć, że jesteś nędzną kreaturą w porównaniu z kimś takim jak on. Śmieszysz mnie zarówno ty, jak i te wszystkie twoje groźby.

Odwróciła się i szybkim krokiem zniknęła wśród drzew. Chłopak przedtem swoim atakiem na hrabiego dowiódł, że nie brak mu siły i odwagi. Teraz jednak, kiedy utrata ukochanej stała się czymś nieodwołalnym, oparł się o najbliższe drzewo i wcisnął swe rozpalone czoło w jego twardą, szorstką korę. Stał tak przez długi czas, gdy nagle poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Spojrzał za siebie i zobaczył łowczego Stefana.

— To ty jesteś Katombo?

— Tak, to ja, — odpowiedział młodzieniec takim tonem jakby właśnie ocknął się z głębokiego snu.

— Czy może Lilga, młoda Cyganka jest twoją narzeczoną?

— Dlaczego pytasz?

— Ponieważ mam ci coś do powiedzenia. Czy nikt nie będzie nam tu przeszkadzał?

— Czy to, co chcesz mi rzec stanowi jakąś tajemnicę?

— Tak. Jestem twoim przyjacielem i chciałbym ci oddać przysługę.

Katombo spojrział na łowczego podejrzliwie.

— Moim przyjacielem? Od kiedy nim jesteś? Czy to aby nie ty najbardziej ze wszystkich krzywdziłeś nas i prześladowałeś?

— Ale nie ciebie tylko innych, oni wszyscy bowiem są obłudni i podstępni. Ty nie kradłeś nam drzewa i dziczyzny. Dlatego lubię cię i chciałbym ci to okazać.

— W takim razie chodźmy stąd.

Poszli obaj w głąb lasu, aż znaleźli takie miejsce, co do którego mogli mieć pewność, że nikt ich tam nie usłyszy, ani nie zobaczy. Tutaj Cygan przystanął.

— Teraz mów!

— Znasz domek myśliwski?

— Tę maleńką chatkę z kamieni na polanie, zawsze zamkniętą? O co chodzi?

— Z tyłu za nią stoi ławka. Na niej, kiedyś wieczorem zobaczyłem w świetle księżyca dwoje ludzi, mężczyznę i dziewczynę. Tą dziewczyną była Lilga, twoja narzeczona.

— Kim był ten mężczyzna?

— Jego twarzy nie mogłem dostrzec. Siedział do mnie tyłem.

— To niemożliwe. Siedzieli przecież chyba jedno obok drugiego i jeśli dostrzegłeś jej twarz, to musiałeś także rozpoznać i jego. Nie chcesz więc zdradzić mi jego nazwiska.

— A gdyby nawet tak było?

— Przecież i tak się tego dowiem. To, że ten mężczyzna przychodzi do Lilgi, wiem... ale w nocy? Nie wolno jej przecież opuszczać obozu!

— Głupcze! Czy nie pomyślałeś nigdy, że to stara czarownica chroniła ten romans z całych sił, gdyż miała z tego wielką korzyść? Wysyłała cię do miasta, tak często jak on przychodził i sama pomagała jej w przygotowaniu następnych spotkań, po to abyś nie mógł w niczym przeszkodzić. Sprawa ta powinna zostać załatwiona zupełnie inaczej.

— Jak?

— Kiedy ten człowiek, którego imienia nie chcę wyjawić, a któremu chętnie spletał figła, opuszczał niedawno zwierzyniec, polecił mi obłożyć miękkim mchem kamienną ławkę. Robota ma być wykonana przed zapadnięciem zmierzchu.

— To znaczy, że dzisiaj wieczorem tam przyjdzie?

— Tak też i ja przypuszczam. Gdybyśmy więc wtedy byli w chatce, moglibyśmy tę parę podsłuchać. Usłyszeć bowiem można każde słowo, gdyż akurat naprzeciw ławki znajduje się jedyne okno, jakie ten domek posiada. Całą resztę przygotuję sam, stosownie do okoliczności.

— Dobrze. Kto ma jednak klucz do domku?

— Wisi u leśniczego, ale nikt nie zauważy, kiedy go zabiorę.

— Zrobisz to?

— Oczywiście, pod warunkiem jednak, że i ty weźmiesz w tym udział.

— Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. A więc, o której?

— Było po dziesiątej, kiedy ich tam wtedy widziałem, zatem wystarczy jeśli spotkamy się o dziewiątej.

— Przyjdę, ale gdzie mam czekać?

— Najlepiej pod wielkim bukiem na skraju lasu, naprzeciw którego znajdują się drzwi domku.

— Zgoda.

Ruszyli, każdy w swoją stronę łowczy z przekonaniem, że ofiara wpadła w jego sieci, Katombo zaś z sercem, w którym ściśle obok siebie zamieszkały miłość, nienawiść i żądza

zemsty. Kiedy dotarł do obozowiska, nie tknął nawet smakowitej dziczyzny, przy której biesiadowała cygańska gromada, tylko rzucił się na posłanie z mchu i udawał śpiącego.

Po skończonej uczcie, Karavey położył się obok Katombo.

— Katombo!

Ten milczał.

— Wiem przecież, że nie śpisz! Bólu nie można ukoić snem.

— Czego chcesz?

— Powiedzieć ci, że nadal jestem twoim bratem i najlepszym przyjacielem.

— Wiem o tym, Karavey!

— Co zamierzasz uczynić?

— Ja? A cóż mogę uczynić. Biedny wzgardzony Cygan przeciwko potężnemu hrabiemu?

Nic!

— Skoro nie na nim, to w takim razie zamierzasz zemścić się na Lildze? Czy nie tak?

— Na niej? Nigdy! Kochałem ją przecież.

— Przestań się ludzić! Kiedy wróciłeś, wyczytałem z twoich oczu, że coś już postanowiłeś.

Przyjacielskie spojrzenie potrafi być przenikliwe. Powiedz mi co zamierzasz, a ja będę ci pomagał, z całych swoich sił!

— Zostaw mnie Karavey! Jesteś przecież prawdziwym bratem Lilgi, nie mogę się z tobą podzielić swoją tajemnicą.

— Chcesz nas opuścić?

— Tego nie wiem. Chcę być wolnym człowiekiem, któremu *vajdzina* nie będzie mogła niszczyć życia. Stałem się synem jej ludu i chciałbym nim pozostać, bowiem noszę w swym sercu wdzięczność.

— Przysięgnij mi na Bhowannie, ale na tę straszną, że nie odejdziesz od nas, jeśli mi najpierw o tym nie powiesz!

— Przysięgam!

— Być może odejdę wtedy razem z tobą. Cygan nie powinien chcieć czegoś, co nie jest zgodne z wolą jego *vajdy* i *vajdziny*. Ale gdy oni sami, ofiarują jakiemuś rozpustnikowi swą własną córkę, najlepsze i najpiękniejsze dziecko rodu, ich przyszłą następczynię, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zbuntować się przeciwko temu, a gdyby i to nic nie pomogło, opuścić plemię. Świat jest wielki i szeroki. Cygan nie ma ojczyzny i wie, że wszędzie uważa się go za obcego.

Obaj młodzieńcy leżeli obok siebie pogrążeni w ponurych myślach i prowadzona szeptem rozmowa dobiegła końca.

Tak minął wieczór, aż wreszcie *vajda* z innymi mężczyznami wyruszyli w poszukiwaniu zwierzyny. Kobiety i dzieci pozostały w obozie, wszak to co się zdarzyło tego dnia, wywarło na wszystkich tak wielkie wrażenie, że nie słychać było, jak to zazwyczaj gwaru zabaw, ani rozmów.

Płynęła godzina za godziną, aż zrobiła się prawie dziewiąta, Katombo wstał i pochłonięty swymi myślami, ruszył w cichy, opustoszały las kierując się na umówione miejsce. Myśliwski domek stał na środku małej polany, otoczonej zewsząd przez jodły, spomiędzy których sterczał wysoko w górę wierzchołek starego dębu. Była to piętrowa budowla, wzniesiona z mocnych murów i posiadająca grube, obite żelazem drewniane drzwi. Małego okna z tyłu chatki, choć mogło pomieścić głowę mężczyzny, broniły solidne, żelazne sztaby. Ta dawna myśliwska kwatera, stała obecnie pusta i niewykorzystana.

Katombo podczołgał się bliżej i spostrzegł, w bladym świetle księżycy, że z tyłu domku nie ma żadnej ławki, ale nie przywiązywał do tego żadnego znaczenia. Kiedy dotarł na umówione miejsce, spotkał łowczego, który już tam na niego czekał.

— Jesteś punktualny, — powiedział tamten. — Zaraz wybije dziewiąta.

— Masz klucz?

— Mam. Chodź!

Poszli, a kiedy przybyli na miejsce, strażnik wyciągnął długi zardzewiały klucz i otworzył drzwi domku. Stare zawiasy zaskrzypiały głośno, stęchłe i wilgotne powietrze uderzyło na nich ze środka.

— Okiennica jest zamknięta. Czy mam ją otworzyć? — spytał Katombo.

— Tak.

Cygan podszedł do tylnej ściany ciemnego pomieszczenia i spróbował, obu uniesionymi w górę rękoma, znaleźć jakiś sposób na otwarcie zamków okiennicy, jednak w tej chwili otrzymał z tyłu cios w głowę i upadł z okrzykiem bólu. Łowczy natychmiast ukląkł nad nim i zadał drugi cios, po którym Katombo stracił przytomność.

HRABIOWSKIE PRAWO

Kiedy Katombo ocknął się po długim czasie, poczuł, że ma skrępowane ręce. Gdzie był? Bez wątpienia został uwięziony przez swego rywala, hrabiego. Natomiast miejsca, w którym się znajdował, nie potrafił rozpoznać. Mógł stwierdzić jedynie, że leżał nie w domku myśliwskim, lecz jakimś pomieszczeniu przypominającym piwnicę. Chciał się podnieść, aby uwolnić się z więzów, ale to mu się nie udało, był tak mocno skrępowany, że krążenie krwi w całym ciele prawie ustało, do tego wszystkiego, od ciosów, które otrzymał, bolała go głowa. Po kilku nieudanych próbach oswobodzenia się popadł w zupełną obojętność i leżąc zapadał z wolna w zbawienny dlań sen.

Po przebudzeniu się nie potrafił zupełnie określić jak długo spał. Musiało to trwać jednak sporo czasu bowiem teraz czuł, że na nowo odzyskiwał siły. Ból głowy ustąpił, jedynie pęta sprawiały mu trudne wprost do opisanie cierpienie.

Tym razem udało mu się podnieść. W pomieszczeniu panował głęboki mrok. Czy były to ciemności nocy, czy też więzienie jego nie miało okien? Tego nie wiedział. Kręcił się więc po omacku, objijając się o ściany. Jak daleko potrafił sięgnąć, biorąc pod uwagę to, że był skrępowany, wszędzie czuł zimne, wilgotne mury, w jednym tylko miejscu rozdzielone drzwiami.

Jeszcze zajęty badaniem celi, posłyszał na zewnątrz kroki. Zaszczękał rygiel, drzwi otworzy się i do środka wpadł jasny promień światła. Dopiero teraz Katombo spostrzegł wyraźnie, że jego więzienie nie posiadało okien. Okazało się też, że nie posiada żadnego otworu, przez które mogłoby się dostać do wnętrza powietrze, bądźienne światło. Od razu poznał człowieka, który z latarnią w ręku wszedł do środka, był to hrabia von Hohenegg.

— Dobry wieczór! — zabrzmiało to przewlekłe i ironicznie.

Zanim uwięziony zauważył ten obraźliwy ton, hrabia ciągnął dalej:

— Tak i znów mamy wieczór. Fatygowałem się tutaj już trzykrotnie, ty nie byłeś jednak w stanie wymówić ani słowa, spałeś tak, jakbyś zamiast dwóch leciutkich kuksańców, dostał całą aptekę opium! A teraz co powiesz dumny Cyganie, o tym mieszkaniu, w którym cię umieściłem?

— Łajdak!

Padło tylko to jedno słowo, a zawarta w nim była ogromna pogarda.

— Pięknie! Będę zmuszony założyć ci knebel, aby twój język zanadto nie brykał. Znajdujesz się w rękach hrabiego von Hohenegg, który przyzwyczajony jest do całkiem innego tonu niż twój.

— Łajdak! — rozległ się ponownie głos, w którym nie znać było strachu. — Rozwiąż mnie tylko na chwilę, to już ja ci pokażę, jak prawdziwy Cygan postępuje z takim łotrem.

— Nie trudź się, nie rozłościsz mnie. Przyszedłem tylko po to, aby wydać na ciebie wyrok. Lilga, ta piękna dziewczyna musi być wyłącznie moja. Ty zaś stoisz mi na drodze, dlatego zdecydowałem, że umieszczę cię gdzieś, gdzie nie mógłbyś mi już szkodzić. Być może kiedyś uczyniłbym cię na powrót wolnym, ale ty starasz się mnie znieważać, dlatego więc już nigdy stamtąd nie powrócisz.

— Sądysz, że będę cię błagał o łaskę? Żądam tylko sprawiedliwości i doczekam się jej w końcu.

— Sprawiedliwości? To przecież ja jestem najwyższą władzą w tym domu. Tutaj prościej, szybciej i słuszniej rozstrzyga się o racji, niż w jakimkolwiek innym urzędzie. Usiłowałeś mnie zabić, powinieneś właściwie za to umrzeć, daruję ci jednak życie, a skazuję na dożywotni areszt w tym więzieniu. Pociesz się, że nie pobędziesz tutaj długo, już ja się o to postaram.

— Nie masz prawa skazywać, ani ulaskawiać. Żądam legalnego sędziego, przed którym także ty będziesz musiał stanąć, bowiem także ty winien jesteś próby zabójstwa i do tego jeszcze porwania!

Hrabia zaśmiał się.

— Twój jedyny sędzia stoi przed tobą i przyrzeka ci, że wyda sprawiedliwy wyrok. Lilga będzie moja. Pozostali będą musieli być i będą mi za taką decyzję wdzięczni, kochają bowiem wolność. Po to zaś, aby mogli się nią do pełna i do woli rozkoszować, zabronię im kiedykolwiek wracać w te strony.

— Łajdak! — wykrzyknął po raz trzeci Katombo.

Uczynił daremny wysiłek chcąc zerwać pęta, a potem natarł z całą wściekłością na hrabiego. Ten zatoczył się w tył i upadł. Mało brakowało a byłaby mu przy tym wypadła latarnia. Postawił ją na podłodze i złapał bezbronny Cygana.

— Psie, zrobię tak, żebyś nie mógł kąsać. Trzeba cię spętać potrójnymi więzami!

Urwał w środku zdania. Kiedy Cygan próbował wyswobodzić ramię z ucisku, dziura na rękawie jego kaftana zrobiła się jeszcze większa. Przez nią to dostrzegł hrabia wyraźnie ów osobliwy tatuaż. Puścił Katombo i cofnął się przerażony.

Ten okrzyk wymknął mu się mimo woli. Katombo nie potrafił sobie w żaden sposób wytłumaczyć tego dziwnego pytania, spojrział zdumiony na hrabiego i nic nie odpowiedział.

— Kim jesteś? Zadałem ci pytanie! — powtórzył Hohenegg władczy tonem. — Nie nazywasz się Katombo i nie jesteś Cyganem!

— A któż ci to powiedział?

Hrabia już zdążył się otrząsnąć ze zdumienia i spytał z pozorną obojętnością:

— Czy *vajdzina* jest twoją matką?

— Tak.

— Twoją prawdziwą matką?

— Dlaczego nie miałyby nią być? Z takich spraw nie muszę się nikomu tłumaczyć. Zresztą odtąd nie powiem już ani słowa, jeśli nie zostanę uwolniony lub nie stanę przed prawdziwym sędzią.

— Dobrze, w takim razie to wszystko.

Hohenegg zabrał latarnię i opuścił celę. Zamknął drzwi na oba rygle, a następnie wspiął się po kilku stopniach do miejsca, gdzie schody rozwidlały się. Idąc w jedną stronę dochodziło się do bramy, przez którą został przetransportowany Katombo, druga zaś odnogą można było wydostać się na parter zamku. Tutaj właśnie zdmuchnął hrabia swoją latarnię, wszedł szerokimi marmurowymi schodami na górę i zamyślony dotarł do swego gabinetu. Przeszedł do jasno oświetlonej biblioteki, gdzie przez długi czas przerzucał stare pożółkłe papiery. Kilka dokumentów przeczytał dokładnie parę razy, po czym starannie je schował, jakby od tego zależeć miały sprawy największej wagi.

W nocy nie mógł zasnąć, przewracał się na łóżku, aż zaczęło świtać. Wstał szybko i zaraz opuścił miasto. Droga zaprowadziła go do lasu, do zwierzyńca, gdzie zatroskani srodze Cyganie oczekiwali powrotu Katombo. Pierwsza spostrzegła hrabiego *vajdzina*. Natychmiast też skorzystała z okazji, aby się poskarżyć.

— Och jaśnie panie, smutek zapanował u Cyganów i troska ogarnęła dzieci mojego ludu. Czy nie widziałeś nigdzie mego syna Katombo, panie?

— Nie, a co z nim?

— Przepadł gdzieś, odkąd opuścił wczoraj nasz obóz i nikt nie natrafił na najmniejszy ślad po nim. Nie ma tu przecież żadnych dzikich zwierząt, które mogłyby go rozszarpać. Nikomu też nie mówił, że zamierza nas dobrowolnie opuścić. Na pewno spotkało go jakieś nieszczęście.

— Co też mogło mu się przytrafić?

Zbliżył się Karavey.

— Co mu się przydarzyło tego nie wiemy — stwierdził patrząc ponuro, — ale znam za to jego wroga, jedyne jakiego ma, a któremu jego zniknięcie leżało bardzo na sercu. Biada mu jeśli maczał w tym palce!

— Kogo masz na myśli chłopcze? Wskaż mi go. Jestem waszym przyjacielem i udzielę wam wszelkiej pomocy i poparcia.

— Właśnie wam panie nie ma potrzeby go ujawniać. Ale dzieci Boinjarów mają bystry wzrok, zręczne ręce i pamięć, która żadnego złego ani dobrego uczynku nie zapomina. Albo Katombo dziś wieczór będzie znów razem z nami, albo przygotujemy się do dokonania zemsty.

— Zrób tak mój drogi, tylko przypatrz się dobrze temu człowiekowi, na którym chcesz się zemścić. Zresztą nic mnie to nie obchodzi. Przychodzę tu w innej sprawie i chciałbym rozmawiać z *vajdą* i *vajdziną*.

Skinął na obojga starców, po czym wyszedł z obozu, kierując się w głąb lasu. Ci ruszyli jego śladem nie zauważając jednakże, że Karavey, znajdujący się z tyłu za nimi, też się oddalił: Kiedy przeszli spory kawałek, hrabia przystanął i odwrócił się w ich stronę.

— Chciałbym wam zadać kilka pytań. Od tego na ile będą prawdziwe wasze odpowiedzi zależy czy spotka was szczęście, czy też czeka was nieszczęście.

— Mów panie! — poprosiła stara — Powiemy ci wszystko czego tylko od nas zażadasz.

— Kto jest ojcem i matką Katombo?

— Ja jestem ojcem — odpowiedział *vajda*.

— A ja matką — dodała *vajdzina*.

— Czy mówicie prawdę, twierdząc, że jesteście jego prawdziwymi rodzicami? Człowiek, o którym mówimy nie jest przecież Cyganem.

Starzy spojrzeli na siebie znacząco, potem *vajdzina* odrzekła.

— To jest panie, Cygan i mój ukochany syn.

— Gdzie go urodziłaś?

— Daleko na południu, na pewnej wyspie, którą nazywają Sycylia.

— I kto był jego ojcem?

— Ten oto człowiek, mój panie

— Łżesz!

— Czy mógłbyś dać dowód panie, że to co mówię nie jest prawdą?

— Mogę i zamierzam właśnie w tym celu, opowiedzieć wam pewną krótką historię. Czy słyszeliście już kiedyś wcześniej nazwisko Hohenegg?

— A od kogo mieliśmy je słyszeć?

— To znaczy, że nie byliście nigdy przedtem w tym kraju?

— Nie.

— Hm. Kiedyś bowiem, jeden z hrabiów Hehenegg wpadł w zachwyt na widok pewnej młodej Cyganki, tak jak ja na widok Lilgi. Tamta rzuciła swój ród i zażądała aby hrabia ją

poślubił. Ponieważ on nie zgodził się na to, ona wróciła do swoich. Później ów Hohenegg ożenił się, a jego małżonka obdarowała go synem, który w wieku jedenastu miesięcy przepadł gdzieś bez śladu. Nikt od tej pory nie słyszał o chłopcu, aż pewnego razu hrabia dowiedział się, że w tym czasie, gdy wydarzyła się ta historia, w pobliżu przebywali Cyganie. Pewien człowiek widział jedną z Cyganiek wychodzącą z zawiniątkiem z hrabiowskiego ogrodu, usłyszał przytłumiony dziecięcy głos i doszedł do wniosku, że kobieta ta musiała nieść ze sobą dziecko. Czy wiecie kim była ta kobieta? Cygańską ukochaną hrabiego, która porywając dziecko, chciała się w ten sposób zemścić.

— Aby tak twierdzić, trzeba mieć na to dowody, jasnie panie.

— One są tutaj i do tego tak oczywiste i pewne, że mogę wam nawet podać nazwisko i miejsce pobytu sprawczyni porwania.

— Mówi się o Cyganach tyle złego, a przecież wszystko to są kłamstwa.

— Ja wszakże mówię prawdę. To ty byłaś tą kobietą, a porwane dziecko po dziś dzień znajduje się u was!

Spojrzał na nią groźnie. Ona jednak w najmniejszym stopniu nie okazała strachu i odparła spokojnie.

— Robisz sobie chyba żarty panie, z dwojga biednych starych ludzi?

— Żarty? To jest dla mnie bardzo ważna sprawa, w której chodzić może także i o wasze życie. Hrabia, o którym wam opowiadałem, kazał swemu dziecku wytatuować na ramieniu herb rodowy, jak to od najdawniejszych czasów było w ich rodzinnym zwyczaju. Po nim można rozpoznać porwanego. Być może znajduje się on już w tej chwili przed obliczem sędziego, który bada całą sprawę. Wy zaś nie będziecie mogli opuszczać zwierzyńca ani na chwilę, pozostając więźniami moich urzędników leśnych, do czasu aż nie rozkażę co należy dalej czynić.

Hrabia zrobił minę, która oznaczała, że zbiera się do odejścia. W tej samej chwili stara złapała go za ramię, próbując zatrzymać.

— Zostań panie! Chcę ci powiedzieć, że Katombo nie jest naszym prawdziwym synem. Znaleźliśmy go w lesie na poły umierającego, i przygarnęliśmy do siebie, żeby nie był już nigdy głodny.

— Gdzie to było?

— Tutaj.

— Znaliście zatem hrabiego Hohenegg, mego zmarłego ojca?

— Tak — dodała unizonym głosem, chociaż w jej oczach zabłysło coś, co z unizonością nie miało nic wspólnego.

— Katombo jest synem mego ojca?

— Skąd mogę to wiedzieć, panie?!

— Posłuchaj starucho, chcę ci powiedzieć, że nie prowadzę tutaj żadnego urzędowego przesłuchania, lecz jedynie chciałbym się dowiedzieć i to w największym sekrecie, o te wszystkie tajne informacje. Nie może mi być obojętne czy mój brat żyje czy nie, od tego bowiem zależy czy nie zostaną uszczuplone moje prawa i mój spadek. Widzicie więc, że jestem z wami szczerzy. Chcę mieć pewność. Dlatego, jeśli wyznacie mi całą prawdę, nie będziecie musieli się niczego obawiać, co więcej możecie się spodziewać jeszcze nagrody, a nie kary.

Oboje starzy spojrzeli na siebie, a ich oczy mówiły, że rozumieją o co chodzi.

— Panie, czy uwolnisz nas, jeśli wyznamy ci prawdę?

— Tak.

— Czy jesteś gotów przysiąc, panie?

— Przysięgam.

— Gdzie znajduje się Katombo, panie?

— Jest bezpieczny, u mnie.

— Nie uczynisz mu żadnej krzywdy, panie?

— Nie.

— Czy wróci znów do nas?

— Tak, jeśli zechce. Jeśli jednak nie zechce, nie będę mógł go do tego zmusić.

— W takim razie mogę wszystko wyznać. Katombo jest starszym bratem jaśnie pana. Teraz tylko od jaśnie pana będzie zależało czy ludzie dowiedzą się o tym, czy nie.

Hrabia wyciągnął sakiewkę i podał ją kobiecie.

— Masz tu, trzymaj! Nikt też nie zostanie wypędzony ze zwierzyńca. Możecie tu zostać tak długo jak zechcecie! Nie zapominajcie jednak, że czeka was zguba, jeżeli tylko ktoś dowie się, że to ty porwałeś jednego z hrabiów von Hohenegg!

Zadowolony z takiego przebiegu rozmowy, hrabia odwrócił się i odszedł. Oboje starzy wrócili zaś do obozu, gdzie *vajdzina*, natychmiast przywołała do siebie Lilgę.

— Czy wiesz gdzie jest Katombo?

— Nie.

— U hrabiego!

— U hrabiego? W jaki sposób się tam znalazł?

— Tego nie wiem? Ale grozi mu niebezpieczeństwo. Wydaje mi się, że hrabia chce się go pozbyć.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest twoim narzeczoną i ponieważ..., ale to już tajemnica, której nikt prócz *vajdy* znać nie powinien. Ty możesz jednak ocalić Katombo.

— Ale jak?

— Poprzez hrabiego. Kiedy ten człowiek pojawił się u nas po raz pierwszy, powiedziałam ci wtedy, że kochałam kiedyś jego ojca. Ten mnie wszakże porzucił. Teraz więc miłość jego syna do ciebie, powinna mi ułatwić zemstę. Dzięki tej miłości możesz ocalić Katombo. Nie możesz dużo z tego zrozumieć, ale nadejdzie czas, gdy wszystko stanie się dla ciebie jasne. Udaż więc, że go kochasz!

— A co z Katombo, który jest moim narzeczoną?

— Będzie jeszcze długo zazdrosny, potem jednak przebaczy. Dla Cyganów najważniejsza jest zemsta, a twoja czułość powinna mi ułatwić wyrównanie rachunków. Hrabia cię kocha, ale tak jak motyl kocha kwiat, z którego odfruwa ku innemu, skoro już poprzedniego zakosztował. Broń więc swojego serca, wiedząc, że jego miłość do ciebie jest coraz większa. Tymczasem bądź dla niego bardzo przyjacielska, obiecuj mu wszystko czego jedno z narzeczonych drugiemu odmawiać nie powinno. Wiem, że on jeszcze nie odszedł stąd, chce bowiem spotkać się z tobą. Idź i spróbuj go znaleźć, a potem wypytaj o Katombo, tak byśmy wiedzieli jakie ma wobec nas zamiary.

Lilga usłuchała, choć nie potrafiła oprzeć się gorzkiej refleksji, a więc to tak, ona miała być tylko narzędziem zemsty. Czuła, że ta gra prowadzona jest na poważnie. Tylko, że ona nie musiała udawać swej miłości do hrabiego, kochała go naprawdę, całym żarem jej dzikiego serca. Wysoko urodzony, dumny mężczyzna, z pewnością siebie nakazujący szacunek, oczarował ją, a miłość jaką jej okazał czyniła ją tak szczęśliwą, że cała sympatia okazywana jej przez Katombo przestała mieć znaczenie.

Poszła aby odszukać hrabiego. Jak się tego spodziewała, był tam gdzie już kilkakrotnie się spotykali.

— Lilgo, bałam się, że nie zechcesz przyjść.

— Czy zdarzyło się już tak kiedyś?

— Nie. Wiem, że mnie kochasz, a miłość jest władczynią punktualności. Dlaczego jednak nie chcesz spełnić mego największego życzenia?

— Chciałbyś abym przyszła do ciebie? *Vajdzina* nie zezwala mi chodzić do miasta, gdzie żyją tak źli, wyniośli i obcy ludzie.

— Czy i ja jestem dla ciebie obcy i zły?

— Nie.

— Dlaczego więc nie chcesz przyjść do mnie?

— Nie powinnam, musiałabym wymykać się nocą, a Katombo gotów byłby to spostrzec.

— Katombo? Sądziłem, że gdzieś przepadł?

— On jest u ciebie.

— Kto tak powiedział?

— *Vajdzina*. Dlaczego go uwięziłeś?

— Nie ja to uczyniłem, lecz sędzia.

— Sędzia? Czym Katombo zawinił? — zdumiała się.

— Wiele tego. Jego wczorajszą napaść wybaczyłem mu, aby ci się przypodobać, on wszakże wyruszył potem do miasta, zakradł się do mojej siedziby i usiłował mnie podstępnie zamordować. Został na tym przyłapany i teraz przyjdzie mu za ten zuchwały czyn zapłacić życiem!

— To niemożliwe! Katombo jeszcze nikomu nie wyrządził krzywdy, to nie on chciał cię zabić.

— To był on, nikt inny. Czy nie zamierzał już wczoraj tego zrobić?

— Rozdrażniłeś go przecież. Wybacz mu i uwolnij go!

— To nie leży już w mojej mocy.

— A jednak możesz to uczynić. Jesteś po księciu, najpotężniejszym i najmożniejszym panem w całym kraju i twoja wola musi zostać uszanowana.

— Mam ocalić człowieka, który cię całował?

— To mój brat, już go więcej nie pocałuję. Uwolnij go!

— Gdybym to ja go schwytał, mógłbym to z łatwością uczynić, lecz on znajduje się w rękach sędziów i jest tak wielu świadków jego morderczej próby, iż to prawie niemożliwe, aby jeden człowiek był w stanie coś zaradzić.

— Mówiłeś przecież, że mnie lubisz? — powiedziała przymilnym tonem Lilga

— Tak

— A mimo to nie chcesz spełnić mej prośby? Chcesz śmierci mojego brata! Odejdź, twoja miłość nie jest nic warta!

— Twoja również! Żądasz ode mnie czegoś, czego nikt inny nie odważyłby się żądać, a odmawiasz mi spełnienia maleńkiej prośby i jeden, jedyny raz nie chcesz przyjść do mnie.

— Rozkazuj, ja będę ci posłuszna. Każ tylko uwolnić Katombo!

— Naprawdę? Przyjdiesz do mnie? Dziś wieczorem?

— Tak. Ale nie znam przecież drogi?

— Wydam więc rozkaz, aby zwierzyńca nie zamykano. Dokładnie, godzinę przed północą, znajdziesz na drodze wiodącej do Fürstenberga powóz. Wystarczy, że podasz stangretowi hasło

„cygański książę”, wtedy zabierze cię i przewiezie do mnie. Nie odezwie się do ciebie ani słowem, także ty masz nic więcej nie mówić, nikt bowiem nie może wiedzieć, gdzie przebywasz.

Jeszcze długo siedzieli razem, wreszcie hrabia potajemnie opuścił zwierzyniec, a Lilga wróciła do swoich. *Vajdzina* przywołała ją natychmiast do siebie.

— Spotkałaś go? — spytała z napięciem.

— Byłam z mm aż do teraz.

— Pytałaś go o Katombo?

— Tak Katombo jest uwięziony.

— Gdzie?

— Tego nie wiem. Zjawił się w pałacu hrabiego, chcąc go zabić. Został na tym przyłapany i teraz czeka go śmierć.

Rysy na pomarszczonej twarzy starej Cyganki ściągnęły się jeszcze bardziej.

— Nie wierz białemu człowiekowi w ani jedno słowo, które wypowiada. Chce zguby Katombo, z powodu którego nie znasz, ale którego jeszcze się dowiesz.

— On nie chce go zgubić, uwolni go!

— Powiedział tak? Nie wierz mu, to kłamca i oszust, tak jak jego ojciec. Postaraj się dowiedzieć, gdzie uwięziony jest Katombo. Musimy go ocalić.

— Hrabia go uwolni, obiecał mi to.

Twarz starej stała się jeszcze surowsza.

— Obiecał ci to, to znaczy, że i ty musiałaś mu coś w zamian obiecać.

Lilga opuściła zakłopotany wzrok.

— Tak — wybąkała w końcu, wiedziała, że *vajdzinę* bardzo trudno wywieść w pole.

— Czego od ciebie zażądał?

— Rozmowy, dziś wieczorem, tu w lesie.

— Łżesz! To za mało, by mogło stanowić zapłatę za wolność Katombo. Tu w lesie może i bez tego cię spotkać. Chcesz oszukać swoją matkę i do tego jeszcze *vajdzinę*? Sądzisz, że już niczego nie widzę i że nie jestem dość bystra? Widzę i odgaduję, co chcesz przede mną ukryć. Masz go odwiedzić dziś wieczór u niego w pałacu! Odpowiadaj!

— Tak.

— Obiecałaś mu to?

— Tak.

Stara spoglądała chwilę gdzieś przed siebie długo nad czymś w ciszy rozmyślając, potem rzekła:

— Posłuchaj co ci powiem! Miałaś rozkochać w sobie hrabiego sama udając tylko uczucie. Rozpaliłaś ogień w jego sercu, ale i twoje nie pozostało zimne i też płonie miłosnym żarem. Chciałaś to zataić i oszukać swoją *vajdzinę*. Twoja kara polegać będzie na tym, że zniszczysz tego, który znaczy dla ciebie więcej niż moje rozkazy. Pójdiesz dziś do niego, lecz gdy on będzie chciał zatrzymać cię przy sobie, wtedy zjawimy się tam, żądając abyś odeszła razem z nami. Uważaj jednak, żeby nikt niczego nie zauważył.

Stara oddaliła się. Teraz Lilga mogła już liczyć tylko na siebie. Pograżona głęboko w myślach, włożyła się po lesie aż zapadła noc i zbliżać się zaczęła godzina spotkania wyznaczona przez hrabiego. Włożyła swoją najlepszą suknię i obserwowana tylko przez *vajdzinę*, wymknęła się z obozu, aż na drogę, gdzie po krótkiej wędrówce ujrzała czekający powóz. Kiedy podała hasło, stangret pomógł jej wsiąść, po czym ruszyli szybko w kierunku miasta. Pałac Hoheneggów położony był po drugiej stronie przepływającej przez Fürstenberg rzeki Oller, Lilga więc, aby się tam dostać, musiała przejść na drugi brzeg. Przy wiodących do pałacowego ogrodu schodach czekał już na nią hrabia.

— Możesz odejść — rozkazał słuzącemu, który przywiózł dziewczynę, ten natychmiast, bez słowa zniknął.

Von Hohenegg zbliżył się do okna z boku schodów, które było otwarte i wszedł przez nie do środka. Dziewczyna zawahała się.

— Chodź, niczego się nie bój — szepnął hrabia. — Musimy dostać się do środka takim właśnie tajnym przejściem, po to, aby nikt cię tu nie zobaczył.

Ruszyła za nim i zobaczyła w blasku latarni, którą wydobył, że znajdują się w zmyślnie zbudowanej piwnicy, z której nie dające się odróżnić od muru drzwi, prowadzą do długiego i niskiego korytarza. Po wąskich schodach dotarli do biblioteki, a stamtąd do gabinetu. Tutaj hrabia wskazał jej miejsce na sofie. Sam usiadł obok niej i ujął jej dłoń.

— Lilgo, dziecko moje, jak bardzo jestem ci wdzięczny, że spełniłaś nie życzenie i przysłałaś!

— Spełnij więc i ty moje, uwolnij Katombo!

— Katombo! — wykrzyknął hrabia. — Powinniśmy teraz mówić o miłości, a nie o tym nędzniku!

— Obiecałaś mi przecież, że go uwolnisz, jeśli spełnię twoją wolę.

— Właściwie nie obiecałem ci tego. To bardzo trudna rzecz uwolnić go z ręki sędziego.

— Nie dla ciebie jednak.

— Być może.

— Więc zwróć mu wolność!

— Pod jednym warunkiem!

— Jakim?

— Musisz na zawsze już pozostać u mnie, Lilgo.

— U ciebie! Przyszłam przecież tylko na chwilę!

Przyciągnął ją do siebie i pogładził pieszczotliwie po włosach.

— Czy naprawdę mnie lubisz, piękna?

— Tak.

— No więc zostaniesz ze mną! Ponieważ tylko pod tym warunkiem mogę ocalić Katombo.

Zmieszana spojrzała w dół. Miłość walczyła w jej duszy z dziewczęcym poczuciem wstydu i ostrożności.

— I co mam teraz począć?

— Zostań moją!

Długo jeszcze mówił do niej w ten sposób. Jego głos miał tak przymilny ton, że już to by wystarczyło, aby zwieść dziewczynę. Opowiadał jej o bogactwach i przepychu jakie na nią czekają, roztaczał przed nią tak wspaniałe widoki, tyle obiecywał, że jej opór musiał wreszcie osłabnąć. W końcu powiedziała:

— Wierzę ci i zostanę. Ale czy uwolnisz Katombo?

— Tak.

— Teraz, zaraz?

— Natychmiast. Wydam rozkaz, aby wypuszczono go na wolność.

Podniósł się. Lilga zatrzymała go jednak. Czyżby mimo wszystko jakiś wewnętrzny głos obudził w niej wątpliwości?

— Muszę przy tym być. Chcę przekonać się, że on rzeczywiście wyjdzie na wolność!

Hrabia zaśmiał się.

— Ty mały niedowiarku! Przecież spełnię twoją wolę, aby zupełnie cię uspokoić i przekonać. Lecz czy chciałabyś aby Katombo cię ujrzał?

— Nie, ale powinien przecież dowiedzieć się, że zostaję u ciebie, po to, aby on był wolny.

Hohenegg wyszedł na korytarz, a stamtąd do jakiegoś pokoju, gdzie dwóch mężczyzn czekało tylko na jego pojawienie się. Mieli na sobie stroje hrabiowskich urzędników i wyglądali na zaufanych.

— Przyprawdźcie Cygana! Wydam wam rozkaz uwolnienia go, wy jednak na dole aresztujecie go ponownie i ponownie wtrąćcie do piwnicy! Uważajcie jednak, aby nikt tego nie widział!

Następnie hrabia wrócił do Lilgi, po której można teraz było zauważyć, że nie bez obaw czeka na pojawienie się swego dotychczasowego ukochanego.

Po pewnym czasie, drzwi się otwarły i wszedł jeden z owych zauszników.

— Co z więźniem, łaskawy panie?

— Wprowadzić go!

Katombo wszedł do gabinetu. Jego pierwsze spojrzenie padło na dziewczynę.

— Lilga! — cofnął się do tyłu, jakby ujrzał jakąś zjawę. — Co tu robisz?

— Przyszłam prosić o łaskę dla ciebie.

— O tej porze? Nie potrzebuję wcale łaski. Chcę tylko sprawiedliwości.

— Nazwij to jak chcesz, łaską lub sprawiedliwością — przerwał mu hrabia. — Chcę tylko spełnić życzenie Lilgi, jesteś wolny. Rozwiążcie go i odejdźcie!

Służący spełnili rozkaz i opuścili pokój.

Kiedy Katombo rozprostował ręce przywracając w nich krążenie krwi, zwrócił się do Lilgi:

— Chodź!

Hrabia objął dziewczynę ramieniem i przyciągnął ją do siebie.

— Idziesz sam. Lilga zostaje u mnie.

— Ach tak!

Katombo powiedział tylko tyle, ale ton jakim to uczynił świadczył wymownie o uczuciu jakie go przepełniało.

— Nie mogłam cię w inny sposób ocalić — usprawiedliwiała się dziewczyna z wyraźnym zakłopotaniem.

— Za taką cenę nie chcę być wolny — rozległ się pogardliwy głos. — Porzuciłabyś mnie i tak, bez względu na to co teraz zrobiłaś. Nie powinnaś jednak udawać wspaniałomyślności, bowiem to maska, za którą ukrywasz swą niewinność. Upokorzyłaś się. Nie mam więcej obowiązku ratować cię, byłoby to zresztą daremne. Proszę cię jednak, abyś wróciła do *vajdziny*, ponieważ ja idę z powrotem do więzienia.

— Na nic ci się to nie przyda, Lilga zostaje u mnie, nawet jeśli ty wzgardzisz wolnością — odezwał się hrabia.

Mimo, że w głębi duszy Katombo przeżywał straszne cierpienie, udało mu się skwitować te słowa ironicznym uśmiechem. Wyprostował się i uczynił krok do przodu.

— Naprawdę wierzysz w to, że moim zamiarem było dać się uwięzić? Chciałem tylko zobaczyć i przekonać się, czy aby moje ocalenie nie jest niczym więcej niż daremną próbą otumanienia mnie. Idę już Lilgo, do ciebie czuję litość. Tobą zaś hrabio pogardzam, ukradłeś

mi kogoś, kto był mi najdroższy, ale ujrysz mnie jeszcze kiedy wrócę wyrównać z tobą rachunki.

Opuścił gabinet hrabiego, po czym zszedł po schodach na dół, gdzie stali dwaj służący, jeden z nich zastąpił mu drogę.

— Tu jest już zamknięte. Chodź do tylnego wyjścia! Ruszył jako pierwszy długim korytarzem prowadzącym w dół. Za nim postępował Katombo, z tyłu zaś drugi zaufany hrabiego. Idący przodem otworzył na końcu korytarza jakieś drzwi, za którymi zaczynały się schody.

— Tędy na dół.

Cygan w jednej chwili pojął, co go czeka. Odwrócił się błyskawicznie, rzucił o ziemię tym, który stał za nim i pobiegł korytarzem z powrotem. Obok dużej bramy znajdowały się jakieś niewielkie drzwi, w których tkwił klucz. W mgnieniu oka Katombo otworzył je, wpadł do środka i zasunął rygiel. Tymczasem służący ruszyli za nim w poгон.

— Będzie chciał uciec przez okno. Otwieraj szybko bramę i za nim! — krzyknął jeden z nich.

Wewnętrzny rygiel odskoczył, brama otworzyła się, zaś obaj mężczyźni wybiegli pospiesznie. Małe pomieszczenie, w którym znalazł się Katombo należało do odźwiernego. Jego samego nie było w środku, gdyż zgodnie z rozkazem hrabiego, który nie chciał obecności niepotrzebnych świadków, zezwolono mu pójść do domu. Na stole leżały ogrodowe nożyce, Cygan złapał je, otworzył okno i wyskoczył na zewnątrz. Jego stopy dotknęły ziemi w tej samej chwili, w której ścigający go prześladowcy wypadli z bramy pałacu. Natychmiast rzucili się na niego, od razu też ten, który był bliżej zwałił się na ziemię z głośnym krzykiem, Katombo pchnął go nożycami, a następnie zerwał się i pobiegł ogromnymi susami w kierunku rzeki.

— Na pomoc! Morderca! Łapać go! — zawołał ugodzony, któremu wszakże nic się nie stało.

Cygan w kilku skokach dopadł rzeki i rzucił się do wody. Jednakże wołania o pomoc jednego z prześladowców, okazały się dla niego fatalne w skutkach. Liczna hrabiowska służba usłyszawszy alarmujące krzyki, wybiegła z pałacu. Natomiast na przeciwległym brzegu zebrali się nocni spacerowicze, co uniemożliwiało płynącemu wydostanie się z wody, z tej bądź z tamtej strony. Miał jednak trochę szczęścia, bowiem w słabej księżycowej poświacie dostrzegł małą łódkę. Znajdowała się na środku rzeki i płynęła pod prąd. Siedział w niej jakiś człowiek. Gdyby Katombo potrafił się z nim uporać byłby uratowany. Jako doskonały pływak zrównał się szybko z łódką. Mężczyzna wciągnął wiosła i podniósł się.

— Kto tu?

Katombo się nie odezwał. Mając w prawej ręce ostre nożyce, odepchnął się mocno nogami, tak, że udało mu się podźwignąć prawie ponad burtę. Zanim jednak uchwycił się jej mocno lewą ręką, zamachnął się nożycami. Człowiek w łódce dostrzegł błysk stali i schwycił prawicę Cygana, która wskutek strasznej siły ucisku musiała wypuścić broń. On zaś sam poczuł, że został złapany za kaftan i z wielką mocą wrzucony do łódki. Przy tym ruchu ona sama o mało co się nie wywróciła, zakołysała się niebezpiecznie, a z obu stron nalało się do środka wody. Pasażer łódki wydawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi, trzymając w mocarnych uścisku schwytanego Katombo, odezwał się doń prawie przyjacielskim tonem.

— Hejże nicponiu jeden, czyżbyś chciał wyrządzić mi jakąś krzywdę? Kim właściwie jesteś?

— Ocal mnie, jestem niewinny — wykrztusił Cygan.

— Niewinny? I dlatego krzyczano za tobą jak za mordercą? Kim u licha jesteś?

— Jestem Cyganem i uciekłem hrabiemu von Hohenegg, ten bowiem wtrącił mnie do lochu, chciał odebrać mi narzeczoną.

— Hohenegg? Nie jestem mu zbyt przychylny, ale ty napadłeś na mnie i to z bronią w rękę.

— To z rozpaczy!

— Możliwe! — mówiący przyjrzał się uważnie obu brzegom i nie tracąc zimnej krwi rzekł: — Posłuchaj chłopcze! Znam hrabiego i to co mi powiedziałeś brzmi prawdopodobnie. Jeśli jesteś niewinny, stanę po twojej stronie, w przeciwnym jednak wypadku wydam cię policji. Opowiedz mi wszystko szczerze i nie próbuj uciekać! Dopóki nie skończysz, popłyniemy mimo tych wszystkich krzyków, na spacer po okolicy.

Puścił Katombo, tak że ten mógł się podnieść, a sam wziął się za wiosła. Dopiero teraz Cygan przekonał się, że ma przed sobą mężczyznę nadzwyczajnej wręcz budowy, kogoś kto nie musi się nikogo obawiać. Słysząc było jeszcze słabnące okrzyki prześladowców, jednak wiosłujący człowiek wcale na to nie zważał.

— Opowiadaj więc! — rozkazał.

Jego twarz i zachowanie wzbudzały tyle zaufania, że Katombo nabrał w końcu śmiałości. Przedstawił swe przeżycia tak szczegółowo, że gdy skończył miasto zostało już daleko, a ten który słuchał wciągnął wiosła i pozwolił, aby dalej sama woda niosła łódkę.

— Wierzę we wszystko co mi wyznałeś. Paskudne w tej całej historii jest to, że posłużyłeś się owymi nożycami. Gdyby nie one, alarm jak sądzę nie zostałby podniesiony, a hrabia z całą pewnością chciałby dać sobie spokój z tą sprawą. Najlepiej będzie, jeśli ulotnisz się stąd i to zaraz.

— Zamierzasz mnie wypuścić!?

— Oczywiście. W tych ciemnościach nikt nie rozpoznał ani mojej łodzi, ani mnie, a ty wydajesz się odważnym młodzieńcem. Może nawet twoi prześladowcy sądzą, że się utopiłeś.

— W takim razie, wysadź mnie proszę na brzeg. Muszę natychmiast udać się do zwierzyńca.

— Co też przyszło ci na myśl! Nietrudno wszak się domyślić, że wysłano już ludzi, po to aby cię tam schwytali.

— Ale ja muszę widzieć się z *vajdzinq!*

— Nie teraz mój chłopcze. Taka pomoc w żadnym wypadku nie jest moim zamiarem. Dzięki niej znowu zostałbyś pojmany. Gdybyś chciał przesłać wiadomość, ja zaniosę ją do zwierzyńca.

— Naprawdę?

— Tak, jeszcze dziś w nocy, jeśli tylko zechcesz.

— A gdzie ja się podzieję?

— U mnie w domu, tam będziesz bezpieczny.

— Kim jesteś?

— Nazywam się Albert Brandauer i jestem nadwornym kowalem księcia. Teraz przybijemy do brzegu.

— I potem wrócimy do miasta?

— Tak. Nic się jednak nie bój, u mnie jesteś całkowicie bezpieczny.

— A co z łódką? Ona może cię zdradzić.

— Należy do pewnego rybaka, który ma ją stąd rankiem zabrać.

Dopłynęli do brzegu i wciągnęli nań łódkę. Po czym zataczając szeroki łuk pomaszerowali do Fürstenbergu. Starannie unikając spotkania kogokolwiek i trzymając się stale ciemności, udało im się szczęśliwie dotrzeć do dworskiej kuźni.

— Wejdziemy tylnymi drzwiami — powiedział kowal i przeskoczył płot.

Katombo poszedł w jego ślady. Kiedy znaleźli się w warsztacie Brandauer, zapalił światło. W oczy rzuciła im się biała postać, która przykucnęła za kowalskim miechem, chcąc się tam ukryć. Był to jeden z terminatorów, który właśnie schodził na złą drogę, teraz został zaskoczony przez majstra, którego nie spodziewał się zastać w domu. Kowal wyciągnął go z kryjówki, a wtedy okazało się, że chłopak ma na sobie tylko koszulę i kalesony.

— Thomas, co tu robisz?

— Ja sam tego nie wiem, panie majster Pandauer.

— Ach tak! — kowal oświecił ką, w którym czeladnik starał się coś ukryć i przyniósł stamtąd tłące się jeszcze cygaro. — Co to jest?

— To? to zdaje się jest Ampalema!

— Palisz?

— Tylko troszeczkę, panie majster.

— Ale dlaczego tutaj?

— Na górze, w alkowie mam zapronione. Mógłbym od starszego czeladnika dostać po pysku.

— I należałoby ci się! — parsknął śmiechem Brandauer, który nie żywił do chłopaka żadnej urazy. — Pamiętaj jednak, że gdy zapalisz jedno cygaro, będziesz chciał zapalić następne, a potem jeszcze następne. Ale to nie wszystko, zatroszcz się o tego człowieka, powierzam go twojej opiece aż do czasu, gdy wrócę!

— Cały na rozkaz, panie majster! — odrzekł uśmiechając się filuternie młodzieniec i podążył za obu mężczyznami do izby, gdzie kowal otworzył szafę z ubraniami.

— Znajdź sobie tutaj jakiś przyodziewek, a potem pozwól, aby Thomas nakarmił cię i napił. Musi być przy tym wszystkim ostrożny, żeby nikogo nie budzić. Ja tymczasem wymknę się do zwierzyńca.

Brandauer opuścił dom. Katombo zaś, któremu udało się zaleźć dla siebie jakieś ubranie został, najlepiej jak tylko było można, ugoszczony przez czeladnika. Kiedy już zjadł, Thomas wszedł do warsztatu i wrócił po chwili z cygarem w ręku.

— Chcesz też zapalić? — spytał.

— Tak.

— Masz, ale pal rozważnie! To nie jest jakaś tam Hawana czy Kupa, tylko najlepsza Ampalema. Mam je od mojego prata Palduina, kramarza z naprzeciwka; dwie sztuki za trzy fenigi!

Na tym rozmowa się skończyła, gdyż czeladnik nie miał ochoty przerywać sobie rozkoszy swej „Ampalemy” niepotrzebnym gadaniem, Katombo zaś, zbyt głęboko pochłonięty był własnymi myślami, aby brać udział w rozmowie.

I tak upłynęły prawie dwie godziny, zanim wrócił Brandauer. Odesłał czeladnika spać, a sam opowiedział krótko co się wydarzyło.

— Nie spotkałem *vajdziny*.

— Jak to? Obóz przecież nawet w nocy łatwo odnaleźć.

— To prawda. Ale tam w ogóle nikogo nie było, zaś ja zupełnie nieoczekiwanie wpadłem na uzbrojonego strażnika. Wyjaśniłem mu, że zablądziłem i spytałem dlaczego rozstawione zostały straże. Powiedział, że jeden z Cyganów zakłuł jakiegoś człowieka, a następnie uciekł. Teraz cały zwierzyńiec został obstawiony, po to, aby go schwytać jak tylko tam wróci. Natomiast pozostałych Cyganów wywieziono pod zbrojną eskortą, nie wiadomo dokąd.

— Będę więc musiał się jutro tego dowiedzieć.

— To pozostaw już mnie! Tu jesteś bezpieczny. Umieszczę cię w pokoju, do którego nikt prócz Thomasa nie będzie miał wstępu, jemu rozkażę zaś, aby był ci we wszystkim pomocny. Jest wierny i potrafi dochować tajemnicy. Resztą zajmiemy się później.

NAD NILEM

Zdarzyło się to w Asjut nad Nilem. Jaskrawe, rozpalone południową porą słońce sprawiało, że w mieście nie można wprost było wytrzymać z gorąca i duszności. Z rzadka więc tylko, na jego wąskich uliczkach dało się słyszeć o tej porze, spieszne kroki jakiegoś przechodnia, krótki kłus osła, czy sapanie wielbłąda. Upał był tak wielki, że nawet wody Nilu nie stanowiły przed nim obrony, dlatego też nie widać było nawet najmniejszej łodzi czy barki płynącej po jej falach. Co prawda kilka *sandali*, tych małych bark pływających po Nilu stało w porcie, ale nie można było dojrzeć na nich nikogo z załóg. Chroniąc się przed skwarem ludzie zeszli na ląd, szukać orzeźwienia w chłodnych zakątkach jakieś kafejki.

Nad brzegiem rzeki stał ogromny budynek, o którym niewiele można było powiedzieć, bowiem całą posiadłość otaczał wysoki mur z palonej cegły. Należał do niej w głównej mierze ogród, w którym znajdowała się utworzona z czterech, przecinających się pod kątem prostym i nie posiadających okien budowla. Wybita w murze brama zwrócona była ku rzece, naprzeciw niej zaś znajdowało się wejście do budynku posiadającego dziedziniec z krużgankami. Stamtąd wchodziło się na szerokie schody które prowadziły do położonej w głębi i przenikniętej chłodem komnaty. Chłód pochodził z licznych, porowatych naczyń pełnych parujących wody, które umieszczono we wnękach ścian. Podłogę pokrywał wspaniały i ogromny perski dywan, utkany w piękne kolorowe wzory.

Na podniesieniu stała obita czerwonym aksamitem sofa. Miejsce na niej zajmował jakiś siedzący po turecku i palący fajkę człowiek. Mógł nie mieć jeszcze pięćdziesięciu lat, ale wyraz smutku jaki gościł na jego szlachetnej, męskiej twarzy postarzał go.

Miarę wartości bogactwa i pozycji człowieka w krajach Wschodu zwyczajowo stanowi fajka. Biorąc to właśnie pod uwagę, trzeba było uznać tego człowieka za bardzo bogatego. Główka jego fajki wykrojona była z kawałka morskiej pianki, rzadko spotykanej wielkości, cybuch z drzewa rózanego wzmocniony drutem z czystego złota świecił rozsianymi, licznymi perłami. Czubek stanowił duży kawałek bursztynu, a część znajdująca się pomiędzy cybuchem i czubkiem aż błyszczała od brylantów, szmaragdów i rubinów, które same w sobie stanowiły już bogactwo.

U stóp mężczyzny siedziało w kucki dwóch czarnych niewolników. Jeden z nich troszczył się o to, by fajka stale była gotowa do użycia, drugi przygotowywał w małych filiżankach, czarny napój z mokki, który tam podawało się w czystej postaci, bez cukru i śmietanki.

W pewnej chwili bocznymi drzwiami do komnaty weszła jakaś zasłonięta kobieca postać. Zbliżyła się do mężczyzny i podniósłszy nieco zasłonę, pocałowała go, a następnie rzekła półgłosem.

— Znów zaczynają się gromadzić chmury nad twoją głową, a cień przenika twe serce. Losy śmiertelników zapisane są i umieszczone w księdze przeznaczenia, i żadna ręka nie może zmienić woli Allacha.

— Masz rację Ayescho, lecz wola Allacha sprawia ból, kiedy rozrywa serce. Bowiem choć Allach kieruje ludzkim losem niczym woda strumieniem, to przecież pozostawia człowiekowi swobodę działania, aby ten mógł zarówno próbować jak i rozwijać swą moc i siłę. Moje życie było ciężką walką. *Kismet* wszakże sprzyjał mi dotąd. A teraz ugodził mnie niby ciosem maczugi, chcąc rozbić i zniszczyć moje życie. Walczę i przeciwstawiam się temu, lecz całe moje bogactwo, cała moja moc nie są w stanie mi ulżyć. Rozrzucam pieniądze na lewo i prawo, jak gdybym był w posiadaniu skarbów z „Tysiąca i jednej nocy”, wysyłam moich przyjaciół, służących i niewolników, ale żadnemu z nich nie udaje się przynieść mi wiadomości, której wyczekuję z takim utęsknieniem, z jakim noc wyczekuje światła dnia, pustynia rosy i deszczu, a dolina Nilu corocznego, miłosiernego wylewu płynącej przezeń rzeki.

— Ojciec jest ktoś taki, ktoś na tyle mądry i odważny, aby odkryć tajemnicę i dostarczyć ci upragnioną wieść Ale jego nie ma tutaj.

— Któż to taki?

— Katombo.

Mężczyzna spojrzał badawczo.

— Znasz go na tyle, aby móc tak twierdzić? Dziewczyna milczała przez chwilę. Następnie zaś odrzekła.

— Czyż nie opowiadałeś mi o nim?

— Istotnie tak było, a ty odgadłaś to o czym myślałem. Gdyby był tutaj, potrafiłby już dawno przywrócić memu sercu radość i otuchę. Dotąd bowiem nikt z tych, których wysłałem w celu znalezienia mego dziecka, Sobeide, nie uczynił tego.

— Allach jest wielki, może pomóc gdy zechce i często okazuje swą pomoc wtedy, gdy najmniej się jej spodziewamy. Dopiero co byłam na dachu, by odetchnąć wilgotnym powietrzem ciągnącym od rzeki, gdy ujrzałam płynącą po wodzie łódź. Miała znajome barwy i wiosłował nią jeden człowiek, który następnie zatrzymał się w porcie. Przybiegłam, aby ci to oznajmić. Czy to aby nie jedna z twych łodzi?

— Płynęła z prądem, czy pod prąd?

— Z prądem.

— Człowiek ten musiał więc dopłynąć już do brzegu i będzie tu lada chwila. Słyszysz?
Od dziedzińca docierał coraz wyraźniejszy odgłos szybkich kroków, zaraz też otwarły się drzwi: wszedł służący, pokłonił się aż do ziemi i rzekł:

— Efendi, jakiś żeglarz chce z tobą mówić.

— Niech wejdzie.

Służący pokłonił się raz jeszcze, wyszedł, po czym wpuścił nieznanego, ubranego w tradycyjny strój ludzi pływających barkami po Nilu. Cała jego postać była aż mokra od potu.

— Czego chcesz?

— Czy to ty jesteś Said Abdullah, wielki i słynny Abu er Reisan, przełożony kapitanów jednostek pływających?

— Tak, to ja.

— Przysłała mnie twój kapitan, Katombo.

— Katombo? — Abdullah wykonał taki ruch, jakby zamierzał podskoczyć do góry, opanował się jednak; okazywanie uczuć w taki sposób nie pasuje do spokoju, który u ludzi Orientu jest oznaką godności i powagi.

— Katombo — przytaknął zapytany, kłaniając się przy tym nisko na znak aprobaty. — Przysłał mnie, abym cię powiadomił o jego powrocie.

— Gdzie on się teraz znajduje?

— Niedługo przybędzie. Musiałem płynąć bardzo szybko, aby ci przynieść tę wiadomość.

— Jest już więc tak blisko? Wynika z tego, że albo znów spotkało go jakieś nieszczęście, albo odbył bardzo pomyślną i szczęśliwą podróż. Która z tych możliwości jest prawdziwa?

— Tego nie wiem. Katombo wynajął mnie dopiero w Dongola, w chwili, gdy zdecydował się na powrotną podróż.

— Czy z załadunkiem wszystko poszło dobrze?

— Było tego tyle, że ledwo starczyło miejsca dla załogi.

— Czy przepłynęliście szczęśliwie przez katarakty?

— Na tyle szczęśliwie, że ani żaden człowiek, ani najmniejsza część ładunku nie przepadły.

— Zatem podróż minęła dobrze. Zejdź na dół, do służby i każ podać sobie jadła.

Kiedy żeglarz się oddalił Said Abdullah podniósł się z sofy. Zupełnie nie zauważył, że jego córka na wiadomość o przybyciu Katombo, cała zaczęła drzeć z radości.

— Przygotuj ucztę Ayescho! Zejdę nad rzekę przywitać Katombo.

Dziewczyna szybko i bezszelestnie opuściła komnatę. Said Abdullah owinał przykrywający jego głowę fez długim, miękkim kaszmirowym szalem, którego oba końce, spod tak uformowanego turbana, spadały na twarz broniąc ją przed palącymi promieniami słońca.

Opuścił dom, przeszedł przez ogród, aż za bramę i skierował się ku rzece. Kto go znał, pomyślałby, że okazuje komuś wielki zaszczyt i wyróżnienie; najszlachetniejszy i najbogatszy żeglarz Nilu, sam we własnej osobie pofatygował się nad rzekę. Katombo musiał się cieszyć wyjątkowymi względami, skoro ktoś taki wychodził mu naprzeciw, zamiast oczekiwać go siedząc na swej chłodnej sofie.

Kiedy Said Abdullah dotarł nad Nil, spostrzegł niezwyklej wielkości barkę zmierzającą w stronę łądu. Żagiel miała zwinięty i płynęła teraz tylko dzięki ruchowi fal. Przy brzegu rzucono kotwicę. Młody człowiek stojący na tylnym pokładzie, położył nogę na krawędzi burty i odważnym skokiem wylądował na brzegu. Tam skrzyżował ramiona na piersiach i skłonił się głęboko aż do ziemi.

Said Abdullah rzekł na powitanie.

— *Habakek*, witaj Katombo! Czy Allah prowadził cię i twoją *dahabiję*.

— Allah miał nas w swej opiece, a dobre duchy niebieskie ubłagały fale i wiatr, aby nie czyniły nam krzywdy.

— Czy udało ci się zdobyć to, za czym wypłynąłeś?

— Byłem ci nieposłuszny, o Abu er Reisan. Miałem przywieść liście senerowe z Mek–Nimr, a tymczasem przywiozłem z Amhary

— Udałeś się do Amhary? — spytał Said Abdullah zaskoczony. — Jesteś chyba ulubieńcem Proroka, który zesłał ci pomyślne wiatry, a również posiadasz serce pełne męstwa i odwagi. Twoje nieposłuszeństwo przyniosło mi zysk. Czy wiesz, że liście senerowe z Amhary są lepsze i cieńsze, niż te, które kupuje się w Mek–Nimr?

— Wiem o tym, efendi. Dlatego popłynąłem po nie tak daleko.

— Ile zapłaciłeś?

— Zapłaciłem tyle ile miałem zapłacić za towar w Mek–Nimr.

— Na Allacha! Czy to możliwe? Sprawiliś, że zarobiłem na tym wielkie sumy. I przywozisz pełną barkę towaru?

— Na barce załadowane jest każde wolne miejsce, efendi. Muszę ci wszak uczynić pewne wyznanie, ponieważ liście senerowe, to nie jedyny towar jaki zabrałem na pokład.

— A co masz jeszcze, prócz tego? — spytał badawczo Said Abdullah, zaś czoło jego nieco spochmurniało. — Mam nadzieję, że nie kupiłeś niczego takiego, co musiałbym teraz sprzedać ze stratą.

— *Sinn elfil*, kość słoniową, efendi — odparł Katombo skromnie, jak gdyby chodziło o piasek lub wypalaną cegłę z okolic Asjut.

— Kość słoniową? — krzyknął Abdullah. — Ile tego?

— *Temann kantar*, osiemdziesiąt cetnarów!

— Osiemdziesiąt cetnarów? Jesteś wielkim ulubieńcem Allacha. Ale przecież na to wszystko nie mogło wystarczyć pieniędzy, które ci dałem?

— Wystarczyło, przywiozłem jeszcze resztę.

— Jestem zdumiony. Skąd jest kość słoniowa?

— Z Bahr el Asrak, dokąd przybywa karawaną z Kraju Tygrysów.

— Kupiłeś ją, czy wymieniłeś za coś?

— Nic z tych rzeczy, efendi, zdobyłem to jako łup. Słyszałeś zapewne o *sandalach* z rozbójnikami, które w Bahr al Abiad i Bahr el Asrak mają zwyczaj napadać na pokojowo usposobione statki handlowe?

— Wiem o nich, ale nie mógłbym żadnemu dać rady, przy próbie starcia. Jediną rzeczą, która by mnie ocaliła, to ucieczka.

— Ja jednak pomyślałem sobie, że odważne serce i mocna pięść nie mogą być złą bronią. Dlatego nie uciekałem, a gdy dwa takie *sandale* zaczęły mnie ścigać, stanąłem przeciw nim, zdobyłem je, a wszystkich rabusiów pozabijałem. Natomiast cały, zrabowany przez nich towar przywiozłem tobie, o Abu er Reisan. Była tam między innymi kość słoniowa, która zatrzymałem, a wszystko inne, łącznie z *sandalami* sprzedałem.

— Katombo jesteś wielkim bohaterem! Bohaterem, który jak nikt inny zna Nil, lecz który postąpił niesłusznie, sprzedając barki i przywożąc mi kość słoniową, gdyż była przecież własnością kogoś innego.

— Nikt z nich już nie żyje. *Sandale* należały do bandytów, których pozabijałem, zaś ci, których wcześniej obrabowano zostali wycięci w pień. Sam przecież powiedziałeś, że owi rabusie nigdy nie okazują miłosierdzia.

— Masz słuszość i zostaniesz wynagrodzony, tak jak na to zasłużyłeś. Pieniądze, które zostały są twoje.

— Efendi, twoja dobroć i szczodrość nie zna granic, lecz ja nie mogę przyjąć tak hojnego podarunku. Przywożę z powrotem prawie dwa razy tyle, ile otrzymałem od ciebie, *sandale* bowiem udało mi się w Chartumie sprzedać z korzyścią.

— Mimo to stanie się tak jak powiedziałem. Słowa Proroka brzmią „Dotrzymuj obietnicy, słów bowiem już wypowiedzianych cofnąć się nie da!” Ile przywozisz ze sobą?

— Pozwól efendi, abym sprawę z tego zdał ci już w twych komnatach. Twoja łaskawość przywiodła cię aż tu nad rzekę, a przecież słońce pali tak ostro, że twój wierny sługa obawia się abyś nie ucierpiał przez to na zdrowiu.

— Chodźmy zatem! Czy nie musisz jednak pozostać na *dahanbiji*.

— Sternik jest dzielnym żeglarzem i z powodzeniem mnie zastąpi.

Oddalili się do domu efendiego, gdzie zbiegła się już cała służba, radując się powrotem Katombo. Cieszył się on bowiem nie tylko względami swego pana, lecz był ulubieńcem tych wszystkich, którzy go znali. Zresztą i jego powierzchowność uległa niezwykle korzystnej zmianie. Urósł, zmężniał, z młodzieńca stał się mężczyzną, jego opalone policzki okalał wspaniały zarost, zaś sposób w jaki kroczył obok swego pana, mógł nasunąć przypuszczenie, że jest kimś wspanialszym, potężniejszym i bardziej godnym niż Egipcjanin, chociaż osoba tego ostatniego, z racji samego tylko tytułu jaki nosił, w pełni zasługiwała na szacunek.

Weszli do chłodnego pokoju, w którym Said Abdullach spożywał wcześniej posiłek; obaj niewolnicy oddalili się tymczasem. Abu er Reisan, tak jak i poprzednio zajął miejsce na sofie.

— Siadaj tu przy mnie, jestem bowiem z ciebie bardzo zadowolony!

Katombo usłuchał, ciesząc się po cichu z tego zaproszenia. Odłożył na bok zakrzywioną szablę i pistolety, które nosił przypięte do pasa, po czym wyciągnął z torby przeróżne papiery.

— Oto moje rachunki, efendi. Udowodnią ci one, iż byłem wiernym sługą.

Said Abdullach wziął je i klasnął w dłonie. Natychmiast zjawili się dwaj czarni niewolnicy.

— Tytoń!

Służący przynieśli dwie fajki, wręczyli je Abdullahowi i Katombo. Gdy zaś pachnący tytoń został już zapalony usiedli u nóg mężczyzn, oczekując na dalsze rozkazy. Said Abdullach przystąpił do czytania i sprawdzania papierów. Kiedy skończył położył je za siebie.

— Widzę dokładnie, że byłeś wiernym, odważnym i zręcznym sługą. Pieniądze, które przywiozłeś należą do ciebie, ja zaś zamierzam dać ci dowód mego zaufania, tak wielki, jakiego nigdy dotąd nie udało ci się jeszcze zdobyć.

— Mów zatem, efendi! Wysłucham cię i we wszystkim będę posłusznym.

— Chcę ci zlecić pewne zadanie, które być może uda ci się wykonać, jeśli gotów będziesz, gdy zajdzie taka potrzeba poświęcić nawet swe życie.

— Słucham z uwagą, efendi! Moje serce i moja miłość należą do ciebie, podobnie zresztą jak i moje życie!

— Wiesz dobrze, że żaden prawdziwy muzułmanin nie rozmawia z innym mężczyzną o swoim haremie. Jeśli więc ja, ten godny pochwały zwyczaj naruszam, to masz najlepszy dowód na to, że cię lubię i darzę najgłębszym zaufaniem. Otóż w odróżnieniu od innych wiernych nie mam haremu. Śmierć zabrała mi najukochańszą żonę. Me serce jest jej wierne aż do dzisiejszego dnia i żadna niewolnica, ani żadna inna kobieta nie mogły mi tej wierności odebrać. Kiedy odeszła zostawiła mi dwa największe skarby niego życia, moje dwie córki. Nigdy ich jeszcze nie widziałeś, chociaż już trzy lata przebywasz w moim domu. Są piękne

niczym hurysy w raj, urocze i miłe niczym skrzydło jaskółki, dobre i posłuszne niczym Ruth, o której opowiadają zarówno pisma kalifów, księgi żydowskie jak i chrześcijanie. To one były moją radością i rozkoszą. Wszystko co robiłem dniem i nocą miało tylko jeden cel — ich szczęście. Teraz wszak radość ta zmieniła się w cierpienie, gdyż Sobeide, starsza z mych córek przepadła bez śladu.

Said umilkł. Jego oblicze znowu spochmurniało, a w ciemnych oczach pojawiły się łzy. Katombo trzymał wzrok opuszczony w dół, wydawał się być zamyślony. Po chwili podniósł oczy i spojrzał na swego pana.

— Czy mogę coś powiedzieć, efendi?

— Mów i pytaj mnie o wszystko co chcesz, chętnie ci odpowiem.

— Kiedy Sobeide zaginęła?

— Jutro upłyną trzy tygodnie.

— Czy to zdarzyło się dniem, czy nocą?

— Wieczorem.

— Czy była wtedy sama?

— Tak. Poszła wtedy do altany znajdującej się w kącie ogrodu. Nigdy nie wiedzieliśmy, że ona często wybierała się w to ciche i spokojne miejsce. Teraz uciekła, a to uczyniło mój ból po dwakroć większym.

— Czy powiedziała, że idzie do altany w ogrodzie?

— Tak.

— Czy nie poprosiła swej siostry, aby jej towarzyszyła?

— Nie.

— Gdzie znajdowała się wtedy jej siostra?

— U mnie. Graliśmy w szachy. Sobeide też była tu z nami, podniosła się i wyszła w chwilę po tym, jak opowiedziała o swoich planach.

— Czy też grywa w szachy?

— Niechętnie i niezbyt często.

— Czy zanim opuściła dom wstąpiła jeszcze do siebie? Przypomnij sobie dobrze, efendi.

— Nie ponieważ zeszła od razu schodami w dół na dziedziniec, a stamtąd udała się do ogrodu. Widział ją Dawuhd, eunuch.

— W co była ubrana?

— Miała na sobie domowy strój.

— Czy zauważyliście brak jakichś jej ubrań, bielizny, ozdób, jej czy twoich pieniędzy?

— Nie brakuje niczego. Szukałem i ja, poleciłem uczynić to także Ayeschy.

— W takim razie, twoja córka nie opuściła cię z własnej woli, lecz została uprowadzona!

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki! Katombo wlałeś balsam w rany mego serca, lecz ma udreka się nie skończyła, gdyż i tak odebrano mi Sobeide.

— *Allah kerim*, Bóg jest łaskawy! On zabiera, a potem znów oddaje. Przecież nie zejdziesz z nieba po to, aby ci przynieść córkę, daje ci natomiast rozum, silne ramię i wiernego sługę, abys ty sam mógł odebrać to co ci zrabowano.

— Cóż mi po rozumie, skoro nie poznał jej planów, moje ramię zmęczyły troski, zaś służący, których wysłałem po nie dziecko, albo jeszcze dotąd nie powrócili, albo wrócili z niczym. Pozostałeś mi tylko ty Katombo. Czy zechcesz pójść i odszukać Sobeide?

— Uczynię to, efendi. Kiedy wysłałeś mnie *dahanbiją* do nieznanego kraju, czułem że podołam zadaniu, które przede mną postawiłeś, teraz kiedy chcesz, abym szukał twego porwanego dziecka, jakiś wewnętrzny, nieznanany głos mówi mi, że ją odnajdę.

— Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Katombo! Daleś mi nadzieję i przywróciłeś chęć życia. W tej komnacie jemy i pijemy. Teraz znów będę mógł je obie gościć, gdyż zaufałem tobie i twojej zręczności. Kiedy zamierzasz ruszyć?

— Pozwól mi, Abu er Reisa, dziś jeszcze pozostać tutaj. Muszę się wszystkiemu dokładnie przyjrzeć, nad wszystkim zastanowić, aby sporządzić plan działania. Inni nie zdołali niczego dokonać, bowiem odchodzili stąd nie czyniąc żadnych ustaleń ani przygotowań.

— Mówisz rozumnie i masz rację. Powinieneś przed wyprawą nabrać sił, zatem jedz i pij!

Służący wschodnim zwyczajem ustawili niski stół przed obu mężczyznami i zapełnili go wykwintnymi potrawami. Katombo nie marnował czasu, natomiast Said Abdullah jadł bardzo niewiele. Zmartwienia bowiem nie przysparzają apetytu.

Po zakończonej uczcie, Cygan opuścił swego pana. Już w czasie biesiady rozważył wszystko dokładnie i teraz udał się do altany, z której jego zdaniem, uprowadzona zostać miała Sobeide. Altana okazała się być drewnianym domkiem, zbudowanym w perskim stylu. Wchodziło się doń po kilku schodkach z wypalanej cegły. Wchodząc po nich, Katombo usłyszał jakiś dźwięk wewnątrz wytwornego domku. Otworzył przymknięte drzwi i zatrzymał się nie mogąc ukryć zdziwienia, na znajdującej się w altanie sofie siedziała Ayescha, która słysząc czyjeś kroki podniosła się.

— Katombo! — zawołała mimo woli.

Opuściła zasłonę i spojrzała nań swymi wielkimi, ciemnymi oczami. Katombo ujrzał jej zgrabne stopy w safianowych pantoflach i mały biały palec jej prawej ręki, którym przytrzymała zasłonę.

— Zechciej mi wybaczyć i jeśli przeszkadzam, pozwól mi odejść!

— Czego tutaj chcesz? — spytała przytłumionym głosem.

— Twój ojciec polecił mi odnaleźć Sobeide, ja zaś miałem nadzieję znaleźć tu jakiś ślad, który by do niej prowadził.

— Sądzisz, że uda ci się przywieźć ją z powrotem?

— O tym wie tylko Allah, ale ja uczynię wszystko co w mojej mocy, aby zwrócić ci twą siostrę.

— Wiem, że będzie tak jak mówisz, Katombo!

— Czy powonieniem sobie pójść?

— Nie, zostań i próbuj znaleźć jakiś ślad.

Katombo poczuł się zaskoczony taką odpowiedzią. To przyzwolenie obudziło na nowo w nim uczucie, drzemiące już od dawna gdzieś w głębi serca. Ayescha ponownie zajęła miejsce na sofie, podczas gdy on całą uwagę poświęcił poszukiwaniom. Niestety, wszystkie ewentualne ślady na podłodze, czy na innych, nielicznych zresztą przedmiotach zostały przez nieuwagę zatarte i mimo całej swej przenikliwości nie udało mu się niczego odkryć. Podeszedł do okna wychodzącego na mur. Mata chroniąca przed promieniami słońca podciągnięta była w górę. Sprawdził wszystkie miejsca wokół otworu okiennego i spostrzegł poniżej, w drewnianej ramie złamany kawałek jakiegoś stalowego czy żelaznego przedmiotu, który tam tkwił. Nie mógł to być gwóźdź, gdyż widoczna powierzchnia była długa i wąska, niczym przekrój klingi szabli. Wziął szybko do ręki swój nóż i wydobyl ów przedmiot. Był to czubek ostrza obosiecznego sztyletu. Teraz z kolei spojrzal przez okno, w dół na zewnętrzną stronę muru. Kilka cali powyżej miejsca gdzie domek opierał się o mur, wystawał głęboko wbity gwóźdź, na nim zaś coś się błyszczało. Katombo nachylił się, złapał ten przedmiot i podniósł do góry. Trzymał w ręku mały kawałek złotego sznura, takiego jakim ozdabiało się kaftany.

Podczas gdy przypatrywał się obu przedmiotom, z tyłu za nim rozległ się głos.

— Czy natrafiłeś na jakiś ślad?

Odwrócił się i stanął tuż przy Ayeschy, która podniosła się właśnie z sofy i podeszła do niego.

— Tego jeszcze nie wiem. Czy ty, albo Sobeide miałyście kiedykolwiek tutaj ze sobą broń?

— Nie.

— A ktoś inny?

— Nie Ten ogrodowy domek był przeznaczony wyłącznie dla nas i nikt nie mógł go otwierać.

— No, a twój ojciec, czy nie zaglądał tu czasami?

— Nie, był tu tylko wtedy, gdy szukaliśmy Sobeide.

— Czy towarzyszyłaś mu wtedy?

— Tak.

— Czy miał może przy sobie jakiś sztylet?

— Nie.

— Zatem to ostrze należy do kogoś obcego! Czy ktoś ze służby nosi strój z takim sznurem?

Wziął go i przytrzymał na wysokości zasłony, mimo tego Ayescha i tak niczego nie dojrzała, odwróciła się więc w bok, opuściła *kwef* i przyjrzała się dokładnie złotemu sznurowi. Wtedy właśnie Katombo dostrzegł jej twarz. Była tak piękna, że aż krew w żyłach zaczęła mu szybciej krążyć. Pomyślał o Lildze, która go zdradziła i porzuciła. To co od tamtych dni było schowane gdzieś głęboko w jego wnętrzu, w jednej chwili ożyło na nowo, wybuchając niczym ogień przy dostępie życiodajnego dlań powietrza.

Ayescha zakryła ponownie swe oblicze, obróciła się ku memu i rzekła:

— Takiego sznura nie ma nikt w naszym domu.

Katombo spuścił wzrok, by odzyskać zimną krew. Nagle jego oczy rozblęły a oblicze pojaśniało.

— Mam, mam! — wykrzyknął — *Allah kerim!* Bóg jest łaskawy!

— Co masz? Wiesz już gdzie znajduje się Sobeide i kto ją porwał? Była wzburzona, podeszła szybko do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Jej twarz znalazła się tak blisko niego, że poczuł gorący oddech dziewczyny. Nie potrafił już dłużej udawać, objął ją lewą ręką, prawą zaś zdjął jej zasłonę.

— Ayescho!

— Katombo, co uczyniłeś? — szepnęła zaskoczona i zmieszana a jednocześnie szczęśliwa.

— Ayescho, jasności mych oczu, czyż mógłbym cię ujrzeć, gdybym nie zdjął zasłony?

— Nie! Tak! Nie! — odpowiedziała podnosząc wraz z ostatnim słowem rękę, aby znów się zasłonić.

Katombo przeszkodził jej w tym.

— Och popatrz na mnie, tak abym mógł nasycić wzrok urodą twego oblicza.

Jej twarz zapłonęła, ale nie złapała za welon, ani nie starała się uwolnić od jego ramienia.

— Jesteś zuchwały Katombo, lecz ja cię kocham — cicho zabrzmiały wypowiedziane przez nią słowa.

— Kochasz mnie! Kochasz mnie! — wykrzyknął radośnie. — Och teraz czuję się silny i nie ugnę się przed niczym. Będę w stanie dokonać każdej rzeczy, choćby najtrudniejszej. Także i twoją siostrę przyprowadzę do domu!

— Wierzysz w to? Czyżbyś rzeczywiście natrafił tutaj na jakiś siad?

— Tego jeszcze na pewno nie wiem, ale zaraz zyskam pewność. Żegnam cię jedyna moja Ayescho, która jesteś dla mnie wszystkim! Dziś gdy gwiazda wieczorna dojdzie do zenitu, będę czekał tu na ciebie. Czy i ty przyjdiesz? Czy będziesz mogła przybyć tak, aby nikt tego nie spostrzegł?

— Tak Przyjdę ukochany.

Pocałował ją jeszcze raz i pozwolił jej wreszcie spocząć na sofie. Podszedł następnie do okna, wyostał się na zewnątrz i po wykonaniu śmiałego skoku znalazł się na dole przy murze ogrodu. Stamtąd skierował się pospiesznie ku rzece. Po przybyciu na *dahanbiję* udał się wprost do sternika.

— Czy człowiek, który w Asuanie prosił nas o zabranie na pokład opuścił już statek?

— Tak

— I wziął swój bagaż ze sobą?

— Nie miał ze sobą niczego, gdy się tutaj pojawił.

— Dokąd poszedł?

— Drogę w dół rzeki, która wiedzie nie gdzie indziej jak do kafejki Abd el Omana.

— Czy zapłacił za podróż?

— Tak

— Czy wiedział do kogo należy *dahanbija*?

— Pytał mnie o to, lecz ja podałem mu tylko twoje nazwisko. Powinno tak się czynić, po to aby tych, którzy zagrażają interesom naszego pana wyprowadzić w pole.

— W porządku. Skończcie rozładowywać towar, tak żeby jutro statek był gotów do drogi!

Katombo zszedł ponownie na ląd i podążył wskazaną przez sternika drogą. Jakieś kilkaset kroków od miejsca, gdzie *dahartbija* rzuciła kotwicę tuż nad rzeką znajdowała się gospoda, będąca w gruncie rzeczy kafejką, do której zgodnie ze zwyczajem przychodzili tylko marynarze. W wielkiej frontowej izbie zbierało się pospólstwo, natomiast z tyłu znajdował się mały, ale przewiewny pokój służący do podejmowania znaczniejszych gości, tak jak to się spotyka w oberżach i gospodach dla marynarzy we wszystkich portach świata.

Katombo wszedł tylnym wejściem i udał się do wspomnianego pokoju, gdzie nikogo nie było. Usiadł na kanapie ciągnącej się wzdłuż ściany, lekkim kłaśnięciem w dłonie przywołał jednego z Murzynów obsługujących gości. Ten trzymał już w rękach fajkę i kawę, którą podał młodemu kapitanowi barki.

— Gdzie jest Abd el Oman, twój pan? — spytał Katombo.

— W izbie, wśród gości, sidi.

— Zawołaj go, ale tak, by nikt tego nie spostrzegł!

Czarny służący wyszedł, a po minucie pojawił się *kahwedschi*, właściciel kafejki. Gdy ujrzał Katombo, skrzyżował ramiona na piersiach, skłonił się tak nisko, iż jego turban prawie dotknął maty przykrywającej podłogę i rzekł:

— *Salam aleik, ju Reis akbar*, pokój niech będzie z tobą wielki kapitanie, najlepszy i najsłynniejszy uczniu Said Abdullaha, najodważniejszego ze wszystkich żeglarzy.

Katombo na to powitanie odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

— *W aleik es salam, du Schech el kahwedschin*, największy spośród właścicieli kafejek w Egipcie, ty który podajesz najlepszy napój i najprzedniejszy tytoń pod słońcem.

— Sidi, tą mową czcisz mój dom i dodajesz otuchy memu sercu, ale czy aby twe usta nie szydzą z tego, który ci tak chętnie służy?

— Dlaczegoż to miałbym kłamać? Czyż nie siedzę z tobą, chociaż zaledwie przed kilku minutami powróciłem z wyprawy? Czy któryś z twych gości zauważył moje przyjście?

— Jest ich tylko czworo, sidi, trzech przyjaciół i jeden obcy.

— Obcy? Co to za jeden i skąd pochodzi?

— Pytałem go o to, jednak on nie odpowiedział. Zszedł wszakże z twojego statku.

— Czy powiedziałeś mu, że statek nie należy do mnie, lecz do Said Abdullaha?

— A czy powinienem to powiedzieć?

— Nie. Postąpiłeś bardzo rozsądnie. Rzeknij mu, iż pewien sidi chce tutaj z nim pomówić, przemilcz jednak, że chodzi o mnie! A kiedy wejdzie, zaczekaj pod drzwiami, póki cię nie zawołam.

— Sidi, nie znam twych zamiarów wobec tego człowieka, ale posłucham cię, bowiem twoja ręka nie uczyniła jeszcze nigdy niczego, czego zabrania Prorok.

Kohwedschi wyszedł i po kilku chwilach zjawił się obcy. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie był ani Egipcjaninem, ani Turkiem; przeciwnie jego wysoka i chuda postać, jego olbrzymi nos oraz małe, chytre oczy wskazywały raczej na pochodzenie ormiańskie. To zaś nie mogło mu służyć za rekomendację, wiadomo bowiem, że nikomu tak łatwo nie przychodzi wyrządzenie łajdactwa jak właśnie Ormianinowi. Miał na sobie turban, niebieski kaftan zdobiony złotymi sznurami i czerwone szarawary zwisające luźno od bioder aż do skórzanych butów. Zza pasa wystawały mu dwa stare pistolety o lśniących lufach, pomiędzy którymi Katombo dostrzegł pochwę sztyletu ze srebrną rękojeścią. Człowiek ten spojrzał zdziwiony, kiedy poznał kapitana *dahanbiji*.

— *Salam aleik!* — rzekł na powitanie, kładąc dłoń blisko serca.

Katombo skłonił tylko głową, ale nic nie odpowiedział.

— Jak się nazywasz!

— Moje skromne nazwisko brzmi Schirwan, sisi.

— Widzę, że zdziwiło cię wezwanie tutaj. Dowiesz się zaraz o co chodzi.

— Słucham cię zatem, sisi — odparł Ormianin.

— Gdzie kupiłeś swoje pistolety!?

— W Bulak na przedmieściu Kairu, u Abu Solimana, sławnego handlarza bronią.

— Są znakomite, poznałem to od razu, gdy spotkałem cię na statku. Miałem wielką ochotę spytać cię wtedy, czy je sprzedasz. Wszak to, czego kapitan zażąda należy mu podarować, i ty mógłbyś pomyśleć, że chciałem otrzymać twoje pistolety jako *bakszysz*. Dlatego czekałem z tym aż do tej chwili. Czy je sprzedasz!?

— Tak, sisi. Dlaczego nie miałbym ich sprzedać, skoro mogę za nie otrzymać jakąś dobrą cenę? Będę mógł przecież kupić sobie inne.

— Czy mógłbym je obejrzeć?

— Oto one — wyciągnął pistolety zza pasa i podał Katombo, który obejrzał je uważnie.

— Rzeczywiście, zostały nabyte u Abu Solimana, od dawna marzyłem o kupnie właśnie takiej broni u niego, ale nie byłem nigdy jeszcze dotąd w Kairze.

Kiedy to mówił niby przypadkiem rzucił spojrzeniem na pas Ormianina.

— A cóż to za sztylet masz tam jeszcze? Ten też wydaje się być znakomity.

— Jest wspaniały, dostałem go w spadku po swoim ojcu, ten zaś kupił go w Damaszku.

— W Damaszku!? To miasto słynie ze swych niezrównanych kling. Czy sprzedasz również i ten sztylet?

— Nie, sisi. Mój ojciec używał go zawsze w walce i moja dusza zostałaby przeklęta, gdybym się tego sztyletu pozbył.

— Ale obejrzeć go można?

— Oczywiście.

Wręczył Katombo bron wraz z futerałem w którym się znajdowała. Ponad wszelką wątpliwość wcześniej sztylet był dłuższy, później ostrze zostało złamane. Teraz broń chociaż krótsza, przybrała dawny kształt i ponownie została naostrzona.

— Bardzo dobra stal. Do tego, aby złamać ostrze potrzeba ogromnej siły — zauważył kapitan — Jak to się stało?

— Tego nie wiem. Był już taki, gdy otrzymałem go w spadku.

— Czyżby? Musisz w takim razie brać mnie za kogoś, kto zupełnie się na tym nie zna. Czy nie pojmujesz, że nie upłynęły nawet trzy tygodnie, odkąd klinga została odnowiona. A przecież to jasne, że twój ojciec zmarł dużo wcześniej.

— Wątpisz w prawdziwość moich słów? — spytał Ormianin na wpół obrażonym, a na wpół dumnym głosem.

— Tak — odparł Katombo i utkwiał weń swe surowe spojrzenie. — Przypatrz się swemu kaftanowi. Nie zauważyłeś, czy czegoś mu nie brakuje?

— Nie brakuje mu niczego, sisi.

— W takim razie ja ci pokażę.

Położył sztylet oraz pistolety obok siebie i wstał. W ten sposób Ormianin został bezbronny. Katombo wskazał mu palcem na jeden z ozdobnych sznurów przy kaftanie:

— A czy tu nie brakuje czegoś?

— Kawałek sznura — odparł mężczyzna nie spojrzawszy nawet na uszkodzone miejsce. Musiał więc zauważyć defekt, ale nie znalazł okazji, aby go naprawić.

— Dlaczego nie poszedłeś z tym kaftanem do jakiegoś krawca?

— Co cię może obchodzi mój kaftan — rzucił Ormianin, dla którego cała ta rozmowa zaczynała być coraz bardziej nieprzyjemna.

— Pytam cię dla twojego dobra, ponieważ to miejsce na kaftanie może się okazać dla ciebie czymś równie fatalnym jak twój sztylet.

— Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi. Mów jaśniej, sisi!

— Zaraz to uczynię. Twoja stal została złamana w tym samym momencie, w którym zerwałaś sobie sznur przy kaftanie. Spójrz, oto brakująca część ostrza sztyletu, tu zaś oderwany kawałek sznura!

Wyjął z torby obie rzeczy i podsunął je Ormianinowi pod nos. Ten odskoczył, ale natychmiast zbliżył się ponownie.

— Co mnie obchodzi to żelazo i ten sznur!?

— Obchodzi cię i to bardzo wiele! Ta stal to ostrze twego sztyletu, ten sznur także jest twój! Patrz jak pasuje!

Przyłożył ów kawałek do piersi mężczyzny by przekonać się, że to nie pomyłka. Ormianin domyślił się wreszcie celu rozmowy i tego, że został okpiony przez sprytnego rywala. Cofnął się o parę kroków.

— Czego chcesz ode mnie!? Nie sprzedam ci już mojej broni. Oddaj mi ją, chcę odejść!

— Zaczekaj jeszcze chwilę! Dokąd zabrałeś Sobeidę, córkę dowódcy floty Saida Abdullaha?

Zapytany zbladł, starał się jednak przybrać obojętną minę.

— Czyżby słoneczny zar poraził twój rozum, że zadajesz mi takie pytania?

— A czy to szatan ukradł twój mózg, że czynisz rzeczy, które tylko wariat czynić potrafi? Nie wiesz, że Mahomet ostrzega „Kto zło czyni, tego spotka kara!” Jak tylko cię ujrzałem, rzuciło mi się w oczy to miejsce, w którym brakuje ci sznura. Przypomniałem sobie o tym, gdy dowiedziałem się, że Sobeide została porwana, a ja znalazłem to ułamane ostrze razem ze sznurem w miejscu nieszczęścia. Powiedziano w Koranie „Przyznanie się do winy czyni ją o połowę mniejszą, zaś wyrażenie skruchy pozwala móc zapomnieć o pozostałej połowie”. Pomysł o swych słowach i otwórz swą duszę, byś mógł uzyskać przebaczenie!

— Niczego nie wiem. Zostaw mnie w spokoju i poszukaj lepiej swego rozumu. Najpierw jednak oddaj mi broń!

— A więc zaprzeczasz?

— Zaprzeczam. Oddawaj broń! — Ormianin przystąpił do Katombo i schwycił go za ramię.

— Masz ją tutaj!

Kapitan złapał jeden z pistoletów i wałnął nim Ormianina w skroń, tak że ten ogłuszony zatoczył się w tył. W okamgnieniu Katombo powalił go na ziemię i skrępował mu ręce jego szarfą. Następnie odciął kawałek materiału z kaftana i zakneblował mu usta.

— Abd el Oman!

Drzwi otwały się i wszedł czekający za nimi *kahwedschi*. Gdy zobaczył związanego i leżącego na ziemi Ormianina, załamał z przerażeniem ręce.

— *Esch elhdusibe di*, co za nieszczęście! Sidi, co uczyniłeś w moim domu? Powinienem cię mieć za zbója albo kata?

— Nie jestem żadnym z nich. Zbój leży tutaj. Pokonałem go i zamierzam oddać pod sąd.

— W takim razie musisz go zaprowadzić do naczelnika policji lub przed oblicze *kadiego*.

— Zrobię tak, albo i nie. Wszystko zależeć będzie od tego jak się ten człowiek zachowa. Teraz jednak przekazuję go pod twoją opiekę. Zwiąż mu jeszcze nogi i zamknij, wróć po niego za jakiś kwadrans.

— Czy on jest rzeczywiście rabusiem, sidi?

— Tak.

— *Allah kerim*, Bóg jest łaskawy! Jakże łatwo przysłoby mu także i u mnie popisać się swoim rzemiosłem. Zwiążę go tak mocno, aby mu się sumienie od tego ruszyło. Ostrzegę przed nim wszystkich, którzy są u mnie i wszystkich tych, którzy do mnie zawitają, a oprócz tego...

— Nic nie będziesz robił, rozumiesz? Teraz nikt nie może wiedzieć co się tu zdarzyło. Dlatego nie piśniesz nikomu ani słowa, do czasu aż ci na to nie pozwolę. Wiesz jak potężny i bogaty jest Said Abdullah, może cię zniszczyć jeśli będziesz rozprawiał o tym, co tu widziałeś!

— Sidi, potrafisz mówić mądrzej niż kalif i rozsądniej niż znawcy Koranu, będę milczał!

— To rozropne z twojej strony Przysłę tu moją służbę z lektyką, aby go zabrała. Dopilnuj, aby nikt nie widział, jak go będą do niej ładowali!

Kawedschi pokłonił się, gdy ujrzał monetę, którą Katombo zapłacił swą należność.

— Allah niech błogosławi twą rękę *sidi*, która czym tyle dobrego i tak hojnie wynagradza twego sługę. Nie zapomnij być znów gościem posłusznego niewolnika!

Katombo opuścił portową kafejkę i powrócił do domu swego pana. Ten siedział jeszcze na sofie i palił fajkę. Gdy kapitan wszedł, spojrzał na niego wyczekująco.

— Wróciłeś? Twoje oczy błyszczą niczym jutrzeńka zapowiadająca nastanie nowego dnia Co masz mi do powiedzenia?

— Efendi, czy wiesz, że rozmawiałem z twoją córką?

— Wiem, wyznała mi, że byłeś w ogrodowym domku szukać śladów porwania *Sobeide*. Znalazłeś podobno ostrze jakiegoś sztyletu i oderwany kawałek sznurka?

— Tak, efendi, a te rzeczy pochodzą z tamtego wieczoru. Odkryłem także porywacza.

Said Abdullah poderwał się do góry, lekko niczym piórko.

— Odkryłeś go? *Ma bidchul el akl*, to nie do wiary!

— Efendi, widziałem go już tydzień temu.

— Gdzie?

— Na mojej *dahanbiji*.

— Czyś ty oszalał?

— Nie, moje zmysły są równie w porządku jak i moje pięści, którymi niedawno powaliłem i związałem przestępcę.

— Pojmałeś go? Gdzie?

— W kafejce u *Abd el Omana*.

— Opowiadaj!

— Pozwól mi najpierw wysłać służących po niego.

— Uczyń to!

Katombo poszedł na dziedziniec i tam wydał stosowne polecenia. Następnie wrócił do swego pana i rozpoczął opowieść, podczas której weszła do komnaty *Ayescha*. Mimo powagi całej sprawy, ojciec pozwolił jej zostać i oboje słuchali w skupieniu słów opowiadającego. Kiedy skończył, *Said Abdullah* podał mu rękę:

— Katombo, powiedziałem ci wcześniej, że cię pokochałem, możesz za mną mówić jak syn z ojcem. Będę twym ojcem tak długo jak długo będziesz tego potrzebował, albo tak długo jak Allah zechce abym żył. Przypomnij mi o tym ślubowaniu, gdybym miał kiedykolwiek o mm zapomnieć!

— Dziękuję ci, efendi.

Katombo chciał mówić dalej, gdy czterech służących wniosło pojmanego Ormianina.

— Postawcie go tutaj i wyjdźcie! — rozkazał Katombo — Czekajcie jednak za drzwiami.

Przywiedli więźnia w pobliże sofy i opuścili komnatę. Ten stanął z ponurą miną przed swymi sędziami. Można było jednak zauważyć, że odwaga nieco go opuściła.

— Zaprzeczyłeś wczesmej wszystkiemu — rozpoczął Katombo, — czy teraz przyznasz się do tego, co ci się zarzuca?

Pojmany milczał.

— Czy to aby nie ze strachu odjęło ci mowę, już ja się postaram, żeby ci ją przywrócić. — Said Abdullah klasnął w dłonie i natychmiast pojawili się służący. — Zabierzcie go na dziedziniec i dajcie mu na początek po dziesięć różg w każdą piętę!

— Niczego nie zrobiłem, chcę być doprowadzony przed oblicze *kadiego* — wykrztusił z siebie więzień.

— *Maschallah*, groźba zostanie spełniona! Zabierzcie go, ale miejcie oczy otwarte! — Katombo zwrócił się ponownie do oskarżonego.

— Nie staniesz przed obliczem *kadiego*, nie poszedłeś bowiem do niego również wcześniej, zanim udałeś się do naszego ogrodu. Gdzie jest córka tego efendi?

— Nie znam jej i nie wiem czego chcesz!

— Posłuchaj człowiecze, widzę, że jeszcze nie całkiem przywróciło ci mowę, będę więc musiał zastosować obiecane ci lekarstwo.

Katombo klasnął i służący pojawili się kolejny raz.

— Dajcie mu zatem po dwadzieścia różg, jeżeli nie przyrzeknie, że będzie mówił!

Wyprowadzili go i wkrótce dał się słyszeć świst uderzeń, a wraz z nimi jęki uwięzionego. Ayescha jeszcze szczerzej okryła się zasłoną, całe to wydarzenie musiało nią mocno wstrząsnąć. Także i Said Abdullah wydawał się nad czymś rozmyślać.

— Katombo, czy musimy go chłostać? — wyraził swe wątpliwości — Czy nie powinniśmy raczej oddać go w ręce *kadiego*?

— To ormiański chrześcijanin nie jest poddanym wicekróla. Załatwimy tę sprawę szybciej niż *kadi*, któremu Ormianin jako obcokrajowiec mógłby narobić tylko kłopotów. Czy nie należy mu się kara, za to co ci wyrządził?

— Masz rację mój synu. Ale spójrz, prowadzą go.

Rzeczywiście, służący przyprowadzili oskarżonego, a jeden z nich zameldował, że pojmany otrzymał tylko dziesięć uderzeń, bowiem gotów jest mówić. Służący posadzili go, gdyż nie mógł już stać i odeszli.

— Dziękuj Bogu, że w porę przywrócił ci mowę — upomniął go Katombo, — i proś Go, aby ci ją zachował. Ponieważ przysięgam, że teraz czeka cię czterdzieści kijów, jeśli nadal nie będziesz chciał mówić.

— Jestem w twoich rękach. Przysięgałem, że będę milczał. Bóg raczy mi jednak wybaczyć, jeśli z bólu złamię swą przysięgę, — zabrzmiała trwożliwa odpowiedź.

— Czyli to ty porwałeś dziewczynę?

— Tak

— Nie mogłeś jednak być sam, kto był z tobą?

— Cała załoga pewnego *sandala*.

— Czy *sandal* został wynajęty przez tego, dla którego porwaliście dziewczynę?

— Tak

— Kto to jest?

— Namiestnik Asuanu.

— Namiestnik! — krzyknął Said Abdullah zaskoczony i upuścił fajkę na ziemię — Mój śmiertelny wróg, potężny Hamd el Arek, którym wicekról opiekuje się niczym swoim bratem! *Allah akbar*, teraz już wszystko pojąłem! On wiedział, że Sobeide jest perłą pośród córek Egiptu i kazał ją porwać, aby stała się ozdobą jego haremu, a jednocześnie zemścić się na mnie. Ruszaj natychmiast Katombo, ten człowiek nie może zostać oszczędzony.

— Słyszałeś? — zwrócił się kapitan do więźnia — Byłeś w służbie u namiestnika?

— Tak.

— Jak to?

Zapytany milczał zmieszany, a Katombo wybuchnął śmiechem:

— Pojmuję. Musiałeś mu oddać taką przysługę, o której nikt niczego nie powinien wiedzieć i która w związku z tym u namiestnika w domu nie ma żadnej mocy?

— Tak właśnie było.

— Polecenie, które otrzymałeś nie dotyczyło bezpośrednio Sobeide?

— Nie, miałem przyprowadzić temu efendi jedną, nie ważne, którą z sióstr.

Ayescha wykonała przerażony ruch. Jak łatwo mógł spotkać ją ten sam los, co siostrę!

— Jak znalazłeś się w ogrodowym domku?

— Dowiedziałem się, że obie córki Said Abdullaha przebywają wieczorami w ogrodowej altanie, więc zakradłem się tam z moimi ludźmi. A ponieważ zjawiała się Sobeide, pochwyciliśmy ją. Wbiłem mój sztylet w okienną ramę i zawiesiłem na nim drabinkę sznurową. Moi ludzie zleźli z dziewczyną w ten sposób na dół. Ja natomiast musiałem zeskoczyć. Wcześniej jednak, gdy z ramy wyciągałem sztylet, złamałem ostrze.

— Skok też ci się nie udał, w przeciwnym bowiem razie nie zaczepiłbyś o gwóźdź. Czy porwaną dostarczyliście na miejsce całą i zdrową?

— Tak.

— I teraz znajduje się w haremie namiestnika?

— Nie, bowiem jego faworyta jest zazdrosna. On nie może tam przyprowadzać żadnych młodych i pięknych dziewczyn.

— Gdzie zatem przebywa?

— W pewnym domu przy ulicy Bab er Run. Można go rozpoznać po umieszczonej nad jego drzwiami pierwszej surze Koranu.

— Ile zapłacono ci za tę robotę?

— Nie dostałem jeszcze nic, namiestnik ma mnie wynagrodzić dopiero gdy powrócę.

— Dlaczego przybyłeś ponownie do Asjut?

— Chciałem się zorientować, czy Said Abdullah nie wpadł przypadkiem na nasz ślad?

— Czy wiedziałeś, że *dahanhija*, na której przyplynałeś należy do niego?

— Nie, sternik podał mi tylko twoje nazwisko.

— Czy Hamd el Arek przebywa jeszcze w Asuanie? Słyszałem, że wicekról wezwał go do Kairu.

— Pozostanie jeszcze kilka dni w Asuanie, chcąc pozyskać przychylność Sobeide, ale nie ma na to zbyt wiele czasu.

— To wszystko co chciałem wiedzieć! — Katombo odwrócił się do Said Abdullaha i rzekł: — resztę muszę pozostawić tobie, efendi!

Ten zadał jeńcowi jeszcze kilka pytań na temat swej córki i dzięki temu uzyskał więcej szczegółów o samym porwaniu, niewiele natomiast dowiedział się o tym co działo się z nią obecnie. W związku z tym zdecydował:

— Pozostaniesz moim więźniem dopóki cała sprawa nie znajdzie swego końca! Dostanę swoją córkę nietkniętą z powrotem, będę dla ciebie łaskawym sędzią, w przeciwnym wypadku, będziesz musiał umrzeć.

Kazał wyprowadzić Ormianina i pilnie strzec, tak aby nie mógł uciec.

Potem jeszcze raz podał rękę Katombo:

— Powtarzam ci, że zostanę twoim ojcem. Allah trzyma swą dłoń nad tobą i nad twoimi najbliższymi. Przywróciłeś mi nadzieję, gdy ja wszelką porzuciłem, wskazałeś mi drogę, którą postanowiłem obrać. Jeszcze dziś wyruszę do Asuanu, aby zażądać zwrotu mego dziecka.

— Nie, ty tego nie uczynisz! Czy chcesz swoją drugą córkę pozostawić bez ochrony?

— Przekazuję Ayesche tobie, wiem bowiem, że pod twoją opieką jest bezpieczna, niczym w namiocie patriarchy.

Te słowa sprawiły, że Katombo ogarnęła duma i satysfakcja, mimo to odrzekł:

— Czy sam nie mówiłeś, że Hamd el Arek jest twym śmiertelnym wrogiem? Jest także ulubieńcem wicekróla. Chcesz więc wejść w paszczę lwa? Mało, że nie ocalisz swej córki to jeszcze sam zginiesz.

— Niegdyś miałem władzę, równą tej jaką on posiada. Dowodziłem całą flotą, która pływała po morzu, a wszystko co czyniłem było dobre i sprawiedliwe. Wicekról chciał nawet jedną ze swych córek oddać mi za żonę, ja jednak kochałem matkę mych dzieci i wzgardziłem tamtą. Ojciec mej niedoszłej wybranki skazał mnie za to na wygnanie. Wszystko zaś ukartowane zostało przez Hamd el Areka. Wiedział, że odrzucę rękę każdej kobiety, i że tym rozgniewam wicekróla. Tak też się stało, a El Arek wkradł się w łaski wicekróla zajmując moje miejsce, ubiegając się do tego o moje córki. *Allah inha! el Kelb*. Boże zniszcz tego psa, zabiję go, gdy tylko go znajdę.

— Pozwól, aby zajął się nim ten, którego nazwałeś swoim synem, efendi! Nie możesz udać się tam tak po prostu, bowiem *mudir* mógłby cię rozpoznać. Za to mnie nigdy jeszcze nie widział i nigdy o mnie nie słyszał. Znasz moje oko i moją rękę. Przysięgam ci, że wrócę tu z twoją córką, albo zginę.

Said Abdullaha ogarnęły wątpliwości. W tym samym momencie ręka Ayeschy spoczęła na jego ramieniu.

— Spełnij jego prośbę ojciec i pozostań ze mną. On powróci do nas, razem z Sobeide.

— I ty też moja córko? Niech więc tak będzie. Płyn Katombo w górę rzeki, do Asuanu! Zrób wszystko, by uwolnić moją córkę. Weź *dahanbiję*, jest już rozładowana! Stawiam ją pod twoje rozkazy.

— Wybacz, efendi! Ale *dahanbija* płynie zbyt wolno. Daj mi *sandal*, który zostanie przebudowany według mojego projektu.

— Nie możesz go wziąć, jest całkowicie załadowany.

— Przełożymy towar na *dahanbiję*. Jeśli wszyscy marynarze pomogą, zdążymy przed nadejściem świtu, a *sandal* popłynie tak szybko, że nadrobi stracony czas w dwójnasób.

— Zrób jak uważasz za słuszne. Niech *sandal* zostanie przebudowany zgodnie z twoim planem, nazwiesz go *Ter ej Dschennet* — „Rajski Ptak” i dopilnujesz, aby stał się najlepszym żaglowcem na Nilu. Ty zaś będziesz mógł jego pierwszy towar szczęśliwie dowieźć do mego domu. Idź więc mój synu i wydaj rozkazy, powinny zostać spełnione tak, jakby były moimi!

Katombo oddalił się. Kiedy znalazł się na dziedzińcu pospieszył mu naprzeciw jakiś arabski służący, o szczupłej lecz nadzwyczaj gibkiej i żylastej postaci.

— *Hamdulillah*, chwała i dzięki niech będą Allachowi, że cię znów widzę! Byłem chory gdy odpływałeś. Ugryzł mnie krokodyl, pozwolił mi jednak odpłynąć, gdyż nie znalazł na mnie zbyt wiele mięsa. Jednakże jego zęby tak głęboko weszły w moje ciało, że nie zdołałem już cię dogonić. Teraz jednak Allach przywrócił władanie mym członkom mam więc nadzieję, że jeśli znów popłyniesz, będę mógł się do ciebie przyłączyć.

— Tak, Sawabie będziesz i to nawet wkrótce, bowiem już jutro wcześniej rano wypływam na nowej barce „Rajskim ptaku”.

— Jutro wczesnym rankiem? Twoim *sandalem*, *sidi*? — Sawab wykonał z radości wspaniały skok i ciągnął dalej. — Jesteś najlepszym i najłaskawszym, *sidi*, jaki może istnieć w całym Muslimistanie, Persistanie, Indistanie i Frankistanie!

Katombo wybuchnął śmiechem. Ze wszystkich ludzi Said Abdullaha najbardziej lubił Sawaba, był bowiem, nie tylko wiernym i godnym zaufania służącym, lecz wyróżniał się niezwykle żywym usposobieniem przechodzącym często w wesołość, dzięki czemu potrafił obrócić niejedną rzecz w żart i rozładować napiętą atmosferę. Szczególnie z jednej jego cechy Katombo potajemnie stroił sobie żarty. Sawab mianowicie, jak wielu Arabów miał w zwyczaju dołączać do swego imienia, imiona swych przodków, by przez to dodać znaczenia swej własnej, niewielkiej wzrostem osobie. W związku z tym nazywał się on Hadzi Sawab Ben Hadzi Kafur el Kerimi Ibn Hadzi Schehab el Kadiri Ibn Hadzi Ghanem en Nur, co znaczy mniej więcej — Sawab syn Hadzi Kafura Łaskawego, syna Hadzi Schebaba Potężnego, syna Hadzi Ghanem Oświeconego.

— Bądź więc gotów Sawabie! — rzekł Katombo.

— *Sidi*, już jestem gotów. Popłynę zatem?

— Nie, — odrzekł śmiejąc się Katombo. — Ale skoro jesteś taki szybki, przedostań się na tamtą stronę, na *dahanbija* i powiedz wszystkim ludziom, aby zjawili się przy *sandalu*. Czeka na nich pilna praca.

— Już się robi! — Sawab wskoczył do wody i po chwili był na *dahanbiji*.

Jeden z ludzi, który go nie znał zastąpił mu drogę.

— Czego tu chcesz?

— Najpierw ty mi powiedz, czego tu chcesz, ty kaszkojadzie!

— Należę do załogi.

— W takim razie nie możesz być nikim innym jak tylko tym, który zagryza tu zbyt wiele myszy i szczury, od razu to poznałem po twojej wrednej gębie!

— Bacz na to co mówisz dupku! Jestem Hassan, strażnik żagla.

— Hassan, strażnik żagla? A któż to jest strażnik żagla, któż to taki Hassan? Strażnik żagla, to człowiek, który jest nikim, zaś Hassan to imię, które nosi tak wielu ludzi, ile jest piasku w morzu i pcheł na Saharze. Ja za to nazywam się Hadzi Sawab Ben Hadzi Kafur el Kenmi Ibn Hadzi Ghanem en Nur i jestem pierwszym służącym i ministrem mojego efendi, Katombo. Zobacz tylko jak ze zdumienia rozdziawiłeś gębę, jakbyś dopiero co połknął piramidę z Gizy, tak jak to robisz ze szczurami i myszami! Gdzie jest sternik?

— W kajucie! — odrzekł prawie szeptem, osłupiały Hassan.

Sawab pośpieszył we wskazanym kierunku.

— *Allah Kerim!* A więc jesteś już zdrow Sawabie! — pozdrowił go sternik — Co robisz na *dahanbiji*? Czyżby przysłał cię kapitan?

— Tak, Sidi. Katombo kazał ci powiedzieć, że wszyscy ludzie mają natychmiast zjawić się na „Rajskim Ptaku”, gdzie czeka ich wiele pracy.

— Ale przecież pracy nie brakuje nam również tutaj.

— Na to Allah obdarzył cię językiem, abyś nauczył się mówić rozumnie! Kiedy mój efendi rozkazuje, każdy powinien go słuchać. Czy wiesz, czyj rozum świeci jaśniej niż światło świata?

— No już dobrze, Hadzi Sawab Ben Hadzi Kafur i tak dalej — powiedział śmiejąc się sternik, który zbyt dobrze znał tego dowcipnisia, aby wziąć mu jego słowa za złe.

Wyszedł na pokład, aby zwołać wszystkich ludzi i pomaszerować z nimi do miejsca gdzie cumował *sandal*. Tam zastali już Katombo nadzorującego przeladunek frachtu na *dahanbiję*. Sternik spytał go o powody i cel tak niespodziewanego rejsu, jednak niczego się nie dowiedział.

Na przygotowaniach minęło gorące popołudnie. Nadszedł krótki w tych stronach zmierzch, a potem wieczór, mimo tego pracy nie zaprzestano. Była kontynuowana przy blaskach pochodni, pod osobistym kierownictwem Katombo, który przekazał nadzór nad wszystkim sternikowi dopiero gdy Wenus dosięgła najwyższego punktu na niebie.

Wtedy opuścił *sandal* i wrócił do domu. Ominął go wszakże kierując się ku bramie ogrodu. Udało mu się niepostrzeżenie dotrzeć do altanki, która była jeszcze zamknięta. Katombo więc ukrył się w zaroślach figowca i czekał na przybycie ukochanej. Po kilku minutach usłyszał ciche kroki. Zbliżała się kobieca postać w czarnym okryciu, dotąd oglądał Ayesche tylko w białych szatach, ale jego bijące głośno serce mówiło mu, że to musi być ona i że ubrała się w ciemne kolory, tylko po to, by nie zostać przyłapaną. Zatrzymała się przed nim, spojrzała na niebo w poszukiwaniu Wenus, po czym rozglądając się uważnie dokoła wyszeptała:

— Katombo.

— Ayescha.

— Jesteś chyba bardzo zajęty, sądziłam, że cię nie spotkam.

— Przyszedłbym nawet gdyby mnie chciało zatrzymać sto ramion. Czy to nie ja miałem zatem o wiele więcej racji pytając cię czy przyjdiesz?

— Wszak obiecałam ci to. Chodźmy do środka.

Wyszła po schodach, otworzyła drzwi, Katombo podążył za nią. Mata, która zasłaniała okno była podniesiona, dzięki czemu do środka wpadało światło gwiazd i księżyca. Usiedli obok siebie na sofie Katombo odchylił zasłonę jej twarzy i długo bez słowa wpatrywał się w ciemne oczy dziewczyny.

— Ayescho, czy ta chwila to nie sen, to nie *fata morgana*, która ma mi pielgrzyma niezwykle piękną i wspaniałą, aby potem pograć go w jeszcze większej rozpaczy?

— Nie, to wszystko prawda. Byłam jeszcze prawie dzieckiem, kiedy pierwszy raz cię ujrzałam i pokochałam, i będę cię kochać tak długo, jak długo Allah zechce darować mi życie.

— Dlaczego mnie pokochałaś. Przyszedłem mizerny i biedny, bez żadnego z licznych talentów jakimi Allah obdarowuje szczęśliwców.

— Masz najlepszą i najszlachetniejszą cnotę jaką Allah wynagradza tylko swych wybrańców. Jesteś bohaterem! Czy nie wiesz, że w tym kraju zna się tylko niewolników, którzy jednego razu pokornie schylają kark, innym zaś razem obnoszą się ze swą pychą. Czy to jest *kismet*? Prorok powiada „tak” i Koran mówi to samo. Lecz jeśli twoim przeznaczeniem jest być bohaterem to musisz nim uczynić siebie, ty sam właśnie. Mój ojciec przyjął cię, kiedy biedny i opuszczony zjawiłeś się u niego. Spytał się tylko o twoje nazwisko, o nic więcej; ale ty przecież posiadasz coś więcej.

— Tak, to prawda, że mam więcej, więcej nawet niż on, mam bowiem ciebie, a ty jesteś dla mnie droższa niż wszystkie skarby tej ziemi.

— Nie, ty masz siebie i tylko dlatego możesz mieć także i mnie. Widziałam ile włożyłeś trudu i starań w to, aby zdobyć miłość i zaufanie mego ojca. Widywałam światło w twojej alkowie, które świeciło się całymi nocami aż do nastania świtu. Siedziałeś przy książkach, które otrzymałeś od ojca i z których uczyłeś się trudnej sztuki żeglowania statkiem po rzece i po pełnym morzu. A kiedy udałeś się w podróż, byłam w twojej alkowie i widziałam wiele ksiąg w obcych językach, pełnych tajemniczych znaków, których nawet żaden uczonego w piśmie nie rozumie. Ojciec twierdzi, że jesteś mądrzejszy i zdolniejszy niż on sam. Jesteś bohaterem, a ponieważ nie wierzysz w *kismet* to tylko dzięki swej pracy i dzięki swym własnym staraniom staniesz się tym kim chcesz być. Dlatego moje oczy wypatrują ciebie i dlatego cię kocham.

Katombo czuł się cudownie słuchając tych słów. Widział się w swych najgłębszych myślach i dążeniach zrozumiany przez nią i to czyniło go jeszcze dumniejszym i szczęśliwszym niż jej

miłość. Skąd u niej poglądy, o które wychowanej na wschodni sposób dziewczyny zupełnie nie podejrzewał?

— Kto nauczył cię wątpić w przeznaczenie?

— Czy powinnam ci to powiedzieć, Katombo?

— Powiedz!

— Ale ty potem odwrócisz ode mnie swe serce, nie będziesz mnie już więcej kochał.

Złożył swą głowę na jej piersi i wyszeptał:

— Ayescho, przebywałem w pewnym obcym kraju, gdzie śpiewa się niezwykle piękną pieśń. W odpowiedzi, chcę ci wyrecytować słowa, które z niej właśnie pochodzą.

— Jak one brzmią?

— ”Pokochałem cię kiedyś, Kocham także dziś i wiecznie będę kochać już”.

— Jakie piękne słowa. W tym kraju muszą mieć równie dobrych jak i my poetów. Jak nazywa się ta pieśń?

— ”Almania”.

— Mogę więc wierzyć w to, co mówią słowa tej pieśni i bez obawy wszystko ci opowiedzieć?

— Możesz, bowiem wolałbym raczej umrzeć, niż wyrzec się twej miłości.

— Jak wiesz, mieliśmy pewną starą niewolnicę, która po śmierci naszej matki opiekowała się nami. Nie była muzułmanką, lecz chrześcijanką i dużo opowiadała mi i Sobeide o swym Zbawicielu Jezusie, synu Marii, który oddał swe życie za biednych i nieszczęśliwych. To czego nauczał było jak rosa w czasie suszy i jak balsam łagodzący ból. Wiele płakałyśmy przejęte jego męką. Kocham Go, a ponieważ On zakazuje wiary w *kismet*, chcę być temu zakazowi posłuszna.

— Czy twój ojciec wie o tym wszystkim?

— Nie. Ale czy ty nie odepchniesz mnie teraz od siebie?

— Nie, tak się nie stanie, bowiem w to co głosił syn Marii, wierzę również i ja, a ponieważ serce jest studnią, z której nie każdy potrafi czerpać, dlatego nie należy mówić o myślach i o uczuciach, które w nich mieszkają. Kto jest szczęśliwy nie powinien się ze swą szczęśliwością obnosić, a komu przyszło znosić cierpienie, nie powinien tego innym okazywać.

— A przecież ty pozwalasz aby inni to właśnie dostrzegli!

— Ja? Skąd wiesz, że noszę w sercu cierpienie?

— Czy śmiałeś się kiedykolwiek, odkąd cię poznałam? Czy byłeś kiedykolwiek wesoły? Na czole masz wypisane jakieś wielkie nieszczęście i dopiero dzisiaj po raz pierwszy twoje oczy nie były pochmurne. Chciałbyś mi powiedzieć co cię tak głęboko dotknęło?

— Tak, ale jeśli ci powiem, to muszę być przygotowany na to, że przestaniesz mnie kochać.

Położyła mu rękę na szyi i wyszeptała cicho:

— ”Pokochałam cię kiedyś, Kocham także i dziś i wiecznie będę kochać już”.

Pocałował ją w czoło głęboko wzruszony.

— Tak, noszę wielkie cierpienie w sercu. Co uczyniłabyś Ayescho, gdybym cię teraz od siebie odepchnął i pokochał inną, która i tak po tygodniu odrzuciłaby mnie i zakpiła z mej miłości?

— Katombo, nie rób tego, umarłabym... — powiedziała cicho.

— Nie moja duszko, nie uczynię tego. Uwierzyłem już, że będę musiał umrzeć, ale serce mężczyzny jest silne, krwawi mocno, lecz pozwala przecież żyć, a to jest gorsze niż śmierć.

Patrzyła na niego pytająco.

— Czyżbyś kochał inną, która cię porzuciła?

— Tak. Ale czy mimo tego nie odrzucisz mej miłości?

— Nie, przecież nie znałeś mnie jeszcze wtedy. Wprost przeciwnie, chciałabym mą miłość uczynić po dwakroć silniejszą, aby twe serce mogło zagoić rany.

— One już się zagoiły, dzisiaj, od chwili kiedy mi powiedziałaś, że mogę cię kochać.

— Ona... była na pewno... piękna, bardzo piękna? — spytała z ciekawością, zacinając się.

— Tak, była piękna, ale nie była tak dobra jak ty.

— Gdyby jednak jej nie było, nie mogłaby wyrzucić ci takiej krzywdy. Nienawidzę jej, ale nie za to że ją kochałeś, lecz za to, że była taka zła dla ciebie. Jak się nazywała?

— Lilga.

— Lilga. Zapamiętam sobie to złe imię, ale nigdy nie wymówię go przy tobie, żeby nie mącić szczęścia jakie chciałabym ci dać.

Te słowa ukochanej dziewczyny wzruszyły go do samej głębi. Wszystko to co czyniło go dotąd nieszczęśliwym, jeszcze raz z całej mocy dało znać o sobie, tak, że zrobiło mu się gorąco na sercu i z oczu popłynęła ciężka, pełna bólu łza. Potoczyła się po policzku Ayeschy. Dziewczyna otoczyła go ramionami i poprosiła sama, też cichutko łkając:

— Nie płacz Katombo, lecz miłuj mnie! Przy mnie musisz zapomnieć o wszystkich swych cierpieniach!

— A czy ty nie zapomnisz o mnie, gdy będę daleko?

— Będę o tobie myślała bezustannie, każdego dnia, o każdej godzinie i w każdej chwili. Czy możesz mi wybaczyć, że cię wypędziłam tak daleko, tam gdzie czekają na ciebie same niebezpieczeństwa?

— Ty?

— Tak, ja, wtedy, gdy prosiłam ojca aby wysłał ciebie zamiast sam jechać do Asuanu.

— Powinienem raczej ci podziękować za pomoc.

— Wiem, że tylko ty powrócisz tu z moją siostrą. Wiem, że pokonasz wszystkie niebezpieczeństwa. Ojciec zaś nigdy by już nie wrócił. Jego serce jest chore. Ale ty go uleczysz, Katombo. Kochasz mnie przecież i jego też, a on wszak nazwał cię synem.

— Obiecałem mu, że albo umrę albo wrócę tu z Sobeide, a nigdy jeszcze mego słowa nie złamałem. Nazwał mnie swoim synem, ale czy będę mógł zgodnie z naszą wolą być mężem jego córki?

Przy tym pytaniu w uchylonych drzwiach mignął jakiś cień, i oto Said Abdullah stanął przed nimi. Podnieśli się zaskoczeni, ale on położył ręce na ich głowach:

— Będziesz nim mógł być Katombo, ponieważ wy kochacie się tak, jak ja dawniej kochałem swą żonę i zasługujecie na to, aby być szczęśliwymi. Chciałem ci powiedzieć dobranoc, Ayescho, a ponieważ nie zastałem cię w twoim pokoju, poszedłem cię szukać. Słyszałem wszystko co powiedziałaś. Płyn do Asuanu Katombo i gdy przywieziesz z powrotem Sobeide, Ayescha zostanie twoją żoną. Jest to królewska nagroda, postaraj się więc zdobyć ją dla siebie!

NIEWOLNICA NAMIESTNIKA

Słońce wychyliło się z za horyzontu Morza Czerwonego. Na falach Nilu toczyło się wartkie życie, a na ulicach i w zaułkach Asuanu panował wielki ruch, który wszakże po kilku godzinach, gdy gwiazda dnia przesunie się wyżej i jej palące promienie staną się nie do wytrzymania, zmuszony będzie ustać zupełnie.

Przy brzegu, pomiędzy innymi statkami, stał pewien *sandal*, który skupiał na sobie spojrzenia wszystkich znajdujących się na sztuce żeglarskiej. Szczególnie wyraźny i odbiegający od innych był wysmukły i mocno zaokrąglony kadłub *sandala*. Nie można było zobaczyć jaki miał żagiel, gdyż leżał na rufie, ale jego osobliwe i niezwykle olinowanie pozwalało domyślać się, że musiał posiadać jakiś niezwykły kształt i ustawienie.

Na jego przednim pokładzie siedzieli liczni mężczyźni, palili tytoń i z obojętnością przyglądali się temu, co działo się na brzegu. Na tylnym pokładzie, zupełnie blisko steru, stało dwóch ludzi pograżonych w ożywionej rozmowie i nie zwracających najmniejszej uwagi na otoczenie.

Jednym z nich był rosły, młody mężczyzna w stroju kapitana, drugi szczupły i o wiele niższy, wyróżniał się ruchliwością.

— A więc Bab er Run, efendi. Moja pamięć jest długa jak Nil, w przeciwnym wypadku jak mógłbym zapamiętać swoje własne nazwisko?

— A nad drzwiami tego domu umieszczona jest pierwsza sura Koranu.

— Pierwsza, to dobrze, nie będę miał wiele do liczenia. Gorzej jakby to była dziewięćdziesiąta albo sto piętnasta.

— Poradzisz sobie z tym Sawabie?

— *Maschallah*, czy kiedykolwiek zrobiłem coś źle? Tylko jeden, jedyny raz strzeliłem głupstwo nie zjadając krokodyla wcześniej niż on zdążył się do mnie zabrać. Niczego się jednak nie obawiaj, sidi. Asuan nie słynie z tego, że zamieszkują go szczególnie mądry ludzie.

— Masz tutaj pieniądze. Niewykluczone, że mogą ci się przydać.

— *Maschallah*, wiem, że zawsze mi ich trochę potrzeba, ale to co zostanie uczciwie ci zwrócę. Pieniądze są jak ptak, wiadomo z którego gniazda się wykluł, ale jak już z niego wylezie, to nie wiadomo dokąd polecą.

— Idź już! — powiedział, śmiejąc się Katombo.

— *Salam*... — owego *aleik* nie było już dobrze słyszeć, bowiem Sawab w tym czasie, po udanym skoku, lądował na brzegu.

Tam zaczął od razu udawać kogoś, kto bez jakiegoś specjalnego celu urządził sobie miłą przechadzkę. Po dłuższej chwili podszedł do jednego próżnującego tragarza.

— *Salam aleik!*

— *Aleik!* — padła krótka odpowiedź.

— Czy zgoda panuje w tym domu?

— Zawsze.

— A czy szczęście sprzyja ci w tym czym się zajmujesz?

— Allah daje każdemu, to co ten potrzebuje. Daje wiele, jeśli potrzeba wiele, daje mniej, jeśli potrzeba mniej.

— *Hamdulillah!* Chwała Bogu, że znalazłem to czego szukam!

— A czego szukasz?

— Spytaj raczej, kogo szukasz? Szukam jakiegoś mądrego człowieka, który odpowiedziałby mi na pewne pytanie. A ponieważ twoje poprzednie słowa zabrzmiały niczym wyjęte z ksiąg *kadiego*, zatem mniemam, że to ty będziesz mi mógł udzielić odpowiedzi.

— Pytaj! — odrzekł tragarz, któremu to pochlebilo i oczekiwał pytania, na które odpowiedź wymagała będzie niezwykłej bystrości.

— Gdzie znajduje się ulica Bab er Run?

Twarz tragarza spochmurniała.

— Jeśli to jest uczone pytanie, to zmiataj lepiej tam skąd przyszedłeś, bo jeśli nie, to zaraz ci pokażę tym tutaj, gdzie jest ulica Bab er Run — to mówiąc podniósł do góry kij, na którym zazwyczaj umocowywał swe sidła, po to, aby zarzucić je sobie na ramiona. — Sądzisz, że uczciwy człowiek pozwoli kpić z siebie jakiemuś żartownisiowi. Precz, bo jeżeli nie to wylecisz stąd szybciej niż myślisz — wykonał przy tym tak wymowny ruch swym kijem, że Sawab czym prędzej wziął nogi za pas.

— *Maschallah*, a cóż to za grubianin! W ten sposób nic nie wskóram. Trzeba wymyślić coś innego.

Skręcił pospiesznie w jakąś uliczkę, gdzie natknął się na sprzedawcę *sorbetu*. Podszedł do niego i spytał krótko:

— Gdzie jest ulica Bab er Run?

Handlarz położył swoje naczynie ze sprzedawanym napojem na ziemię, po czym przytknął rękę do uszu.

— Co? Czego tam?

Sawab zorientował się, że ten człowiek był przygłuchy, przysunął się więc do niego na ile tylko można było, aby krzyknąć mu swe pytanie prosto do ucha. W tym samym momencie

znalazły się tam również dwa muły, które dźwigały lektykę. Siedziała w niej jakaś dobrze urodzona dama, bowiem przed lektyką biegło dwóch służących, głośno wołając owe „na prawo” i „na lewo”, po to, aby napotykanii ludzie ustępowali z drogi. Każdy z nich trzymał w prawej ręce ciężki pejcz, który służył, zgodnie ze zwyczajem panującym w tym kraju, do wymuszania należytego posłuchu.

Właśnie gdy Sawab ryknął:

— Gdzie jest ulica Bab... — otrzymał straszny cios w plecy i odwrócił się szybko, mocno rozgniewany.

— Na lewo! — zagrzmiął w jego kierunku głos służącego, który wymierzył mu drugi, równie mocny cios w to samo miejsce.

— *Allah kerim*, ale żeby zaraz bić za to człowieka!

Uskoczył szybko w bok, przewracając przy tym przez nieostrożność naczynie handlarza *sorbetu*. Naturalnie, ten jeszcze gorzej niż Sawab słyszał ostrzeżenia i drugi służący okładał go pejczem krzycząc bez przerwy „na prawo”. Zanim więc sprzedawca zdołał podnieść swe naczynia, został odrzucony gdzieś w kąt, przez niosące lektykę muły. Kiedy Sawab spostrzegł co narobił, otrzepał się pospiesznie z kurzu i ruszył z miejsca, nie przerywając biegu wcześniej niż nie poczuł się zupełnie bezpieczny.

— *Allah akbar*, Bóg jest potężny, ale te ciosy były jeszcze potężniejsze. Co za szczęście, że udało mi się stamtąd uciec. Handlarz jak nic, kazałby mnie pojmać i oskarżyłby mnie o wszystko, przyszłoby mi jeszcze płacić za jego *sorbet*. Coś mi się widzi, że dziś moje przeznaczenie nie chce, abym znalazł ulicę Bab er Run.

Rozejrzał się dokoła i dostrzegł woziwodę, który popędzał przed sobą obładowanego dwoma beczkami osła. Zaczekał, aż człowiek ten przybliży się, po czym wyszedł mu naprzeciw.

— Zechciałbyś mi powiedzieć gdzie jest ulica Bab er Run? Zbudowany niczym Herkules mężczyzna obejrzał go w milczeniu, z góry na dół, zanurzył swój czerpak głęboko w jednej z beczek i kiedy ten był już pełny, lunął Sawabowi wodą w twarz. Następnie bez słowa ruszył dalej, tak jakby nic się nie stało. Sawab pozostał w tym samym miejscu głęboko urażony i upłynęło sporo czasu, zanim przyszło mu na myśl, że może przecież odwiązać swą szarfę i wytrzeć się nią.

Znajdował się akurat naprzeciw warsztatu krawieckiego, którego właściciel widział całe zajście i teraz zapraszał go do środka.

— *Salam aleik!* — pozdrowił go Sawab.

— *Salam*, pokój niech będzie z tobą! Dlaczego ten człowiek oblał cię wodą?

— Nie wiem, może ty mógłbyś mi to wyjaśnić?

— Co mu powiedziałeś?

— Spytałem go, gdzie znajduje się ulica Bab er Run.

— Jesteś obcy w Asuanie?

— Tak.

— Skąd przybywasz?

— Z Kairu — skłamał Sawab.

— *Maschallah*, w takim razie niesłusznie cię ukarał. Chodzi o to, że jesteś właśnie na ulicy Bab er Run, a ten człowiek sądził zapewne, że z niego kpisz. Czego szukasz na tej ulicy?

— Domu namiestnika.

— Jest niedaleko stąd, a możesz go poznać po świętym tekście umieszczonym nad drzwiami. Czego chcesz od Hamd el Areka?

Chociaż Sawaba spotkały już dwa nieszczęścia, to mimo tego nie stracił nic ze swej przebiegłości, ujął więc rzecz krótko:

— Chcę szukać u niego sprawiedliwości.

— Sprawiedliwości? — spytał krawiec przeciągle — Prorok powiada: „kiedy spotkasz przyjaciela, otwórz przed nim swe serce, a nie będzie więcej błdził”. Mów dalej.

— Jesteś moim przyjacielem?

— Sprawdź to, a wkrótce się dowiesz! Jestem przyjacielem wszystkich sprawiedliwych, lecz wrogiem niesprawiedliwych.

— Mam brata w Wadi el Maghrib, które leży niedaleko stąd. On umarł i pozostawił mi swój majątek. Kiedy jednak przybyłem z Kairu do Wadi to...

— ...to namiestnik skonfiskował twój spadek — wpadł mu krawiec w słowo.

— Zgadłeś.

— I teraz chcesz iść do niego i domagać się zwrotu tego co ci zabrał?

— Tak! — przytaknął Sawab.

Krawiec rozejrzał się ostrożnie dokoła, położył dłoń na usta i wyszeptał:

— Czy wiesz co cię tam czeka?

— Co?

— Chłosta, a z twojego spadku otrzymasz nie więcej niż ziarnko prosa. Nie idź do niego, lecz wracaj jak najszybciej do Kairu!

— Mówisz prawdę?

— Powiedziałem ci przecież, że znam tego człowieka. Przez cały okrągły rok bierze ode mnie ubrania, a kiedy przychodzę do niego i pokornie proszę o swą zapłatę, udaje, że mnie nie

zna i rozkazuje zakłuć w dyby. Mój rachunek wypłacany jest rzetelnie, bowiem za każdą straconą przeze mnie sztukę srebra otrzymuję jedną różgę! *Allah icharkilo*, Boże spraw, żeby go piekło pochłonęło!

— Co więcej, przypadła gdzieś córka mojego brata, to zapewne też jego sprawka.

— *Maschallah*, czy to prawda? W takim razie umieścił ją w swoim haremie. Ściąga piękne, młode dziewczęta w jedno miejsce, ale tak, żeby się o tym nie dowiedziała jego żona Saida. Więzi je w tym domu, który ci opisywałem, wiem o tym, gdyż moja siostra jest nadzorczynią w jego haremie.

— A czy siostra przychodzi tu czasem, aby cię odwiedzić?

— Przychodzi tu codziennie, bowiem do jej obowiązków należy także robienie zakupów dla tamtejszej kuchni.

— Czy zezwoliłbyś mi porozmawiać z nią chociaż raz?

Krawiec zaczął kiwać znacząco głową.

— To zbyt niebezpieczne.

— Ależ człowieku, pozwól, że ci powiem. Córka mojego brata ma narzeczonego, który wraz ze mną przybył do Asuanu. Jest bardzo zamożnym kupcem i ma ze sobą sakiewkę pełną złota. Chętnie by z tobą porozmawiał. Czy mogę go tu przyprowadzić?

Krawiec patrzył w dół namyślając się.

— Zaczekaj chwilę, spytam co powie na to mój *kismet!*

Sięgnął do kieszeni swoich białych szarawarów i wyciągnął z nich trzy kości. Potrząsał nimi przez chwilę w obu dłoniach, po czym rzucił je na podłogę, policzył oczka i zawyrokował:

— Idź, przyprowadź go! Mogę wam zaufać!

Sawab opuścił sklep i chyłkiem powrócił na *sandal*, gdzie Katombo oczekiwał go z niecierpliwością. Gdy zobaczył powracającego, zszedł do położonej niżej kajuty, aby tam go przyjąć.

— No, więc?

— Sidi, jestem Hadzi Sawab Ben Hadzi Kafur el Keremi Ibn Hadzi Scheheb el Kadiri Ibn Ghanem en Nur, a co mi rozkazałeś to spełniłem.

— Znalazłeś ulicę?

— Natychmiast — potwierdził zapytany, bijąc się przy tym w pierś.

— I co dalej?

— Na tej samej ulicy mieszka krawiec, wielki wróg namiestnika, odkąd tamten zamiast zapłacić mu za kupione ubranie, kazał go wychłostać. Siostra tego krawca jest nadzorczynią haremu namiestnika i ma przyjść dzisiaj do warsztatu. Czy chcesz z nią porozmawiać?

Powiedziałem, że mój brat z Wadi el Magrib zmarł, i że przybyłem z Kairu po spadek jaki zostawił. Tymczasem namiestnik zarekwirował go, a do tego jeszcze uprowadził córkę brata, której ty jesteś narzeczoną. Będziesz kupcem z sakiewką pełną złota.

— Sawabie, twój rozum jest tak wielki jak długie jest twoje nazwisko. Zaczekaj chwilę, zaraz będę gotowy. Nie mogę przecież pójść tam w stroju kapitana.

Po chwili udali się na ulicę Bab er Run, gdzie krawiec wydawał się czekać na nich.

— Mój przyjaciel polecił mi twój sklep — rozpoczął Katombo, gdy się przywitani. — Miałbyś tu jakieś ubranie dla mnie?

Oczy krawca pojaśniały z zadowolenia, przekonał się, że ma przed sobą człowieka, który wie jak należy podejść do wyjątkowo delikatnej sprawy.

— Znajdziesz u mnie wszystko, czego zażadasz. Chcesz dobrego, czy taniego materiału?

— Dobry jest zawsze najtańszy.

— Mówisz mądrze, widać, że znasz się na rzeczy. Usiądź i zapal fajkę, ja zaś pokażę ci towar.

Przyniósł przeróżne ubrania, tak, aby było w czym wybierać. Katombo zatrzymał jedno z nich i zapłacił za nie podwójną cenę. Krawiec podziękował i rzekł:

— Błogosławiona niech będzie ręka, która chętniej daje niż bierze. A teraz zechciejcie powstać! Wejdźcie przez te drzwi, a za nimi znajdziecie to, czego szukacie.

Posłuchali jego słów i weszli do małego, ciasnego pokoju, w którym siedziała niska, gruba i zakryta zasłoną kobieta. Katombo pokłonił się bardzo głęboko, chociaż dobrze wiedział, że ma przed sobą tylko służącą.

— *Salam aleik*, pokój i szczęście niech będzie z tobą. W Koranie powiedziano: „Serce kobiety zawsze przypomina pełną uroku i miłego zapachu różę”. Niech mi będzie wolno podziwiać tę, która jest twoją siostrą.

Obok kobiety stało gliniane naczynie, w które wetknięta była róża. Katombo podniósł ją i wdychając zapach kwiatu, wrzucił jednocześnie do naczynia pełną garść złota, po czym odstawił wazon na swoje miejsce. Taki początek spotkania przyniósł nieoczekiwany skutek, zasłona została odrzucona i ukazała się pełna, dobroduszna twarz wpatrzona w wazon. Dwie tłuste ręce schwyły go i wyciągnęły z wody pieniądze.

— Widać, że studiowałeś Koran. Znasz gładkie słowa i potrafisz elegancko postępować. Będę ci służyć na tyle, na ile tylko potrafię.

— Jesteś nadzorczynią w haremie namiestnika? Czy znasz nazwiska wszystkich przebywających tam kobiet?

— Tak, znam.

— A czy wiesz z jakich krajów pochodzą?

— Tego nie wiem o żadnej z nich. Dlaczego miałabym sprawiać im cierpienie pytając o ojczyście strony?

— Czy znasz tę z nich, którą nazywają Sobeide?

— Znam ją, ale ona nie jest jego żoną. Nie pozwala mu się do siebie zbliżyć, grożąc, że się zabije.

— Kiedy ją tam przyprowadzono?

— Przed niecałym miesiącem. Skąd pochodzi tego nie wiem.

— To moja narzeczona. Czy mógłbym kiedyś z nią porozmawiać?

— Jeśli przysięgniesz na brodę Proroka, że potem będziesz milczał!

— Przysięgam.

— Musiałoby dojść do tego jak najprędzej, bowiem namiestnik jeszcze dziś odpływa do Kairu i zabiera ze sobą niektóre ze swych żon, a między nimi może się także znaleźć Sobeide.

— Którym statkiem ma płynąć?

— Tego nie wiem. Weźmie ten, który mu się spodoba, nie pytając właściciela o pozwolenie.

— Kiedy mógłbym w takim razie ujrzeć Sobeide?

— Dokładnie w południe. Będzie wtedy w ogrodzie. Jeśli przyjrzesz się dokładnie domowi namiestnika to z łatwością odnajdziesz mur z tyłu ogrodu. Jak się tam dostać musisz już sam wiedzieć. Sobeide będzie w miejscu, gdzie drzewo cytrynowe wyrasta ponad mur.

— Czy mogę na tobie polegać?

Zaklinając się położyła grubą rękę na sercu.

— Z całą pewnością!

— *Kattar cherak*, dziękuję ci. Gdybym miał ci coś jeszcze do powiedzenia, to przyjdę tu, do twojego brata.

— Uczyń tak.

Katombo i Sawab pożegnali się, i poszli ulicą w dół, aż natrafili na dom, nad którego drzwiami umieszczony był święty tekst. Na jednej z przyległych uliczek rozpoczęli poszukiwania miejsca, z którego można by przedostać się na tyły ogrodu. Udało im się to i ku ich radości zauważyli, że korzystne położenie całej posesji sprzyja ich przedsięwzięciu. Otoczenie domu okazało się na tyle ustronne, że nie trzeba było obawiać się nikogo ciekawskiego, ani żadnego szpiega. Katombo powrócił na *sandal* zadowolony. Zaledwie zdążył się przebrać, gdy wszedł Sawab.

— Sidi, w stronę rzeki jedzie konno kilku oficerów. Mówi się, że szukają statku dla namiestnika.

Natychmiast więc udał się Katombo na pokład i pojawił się tam w odpowiednim momencie, by spostrzec, że jeden z tych ludzi zsiada z konia z zamiarem wejścia na jego pokład. Kiedy stanął na brzegu zażądał opryskliwym tonem deski, żeby po niej móc dostać się na *sandal*. Deskę przerzucono, a ów osobnik dostał się na pokład.

— Gdzie jest kapitan?

Wskazano Katombo, który oczekiwał przybysza z ciekawością.

— Czy ty dowodzisz na tym statku?

— Tak, ja.

— Co za towar macie na pokładzie?

— Nie mamy żadnego towaru.

— Dokąd *sandal* zmierza?

— Do Bahr el Abiad.

— Co chcesz stamtąd zabrać?

— Liście senerowe.

— Skąd przybywasz?

— Z Kairu.

— Pokaż mi wnętrze twojego statku.

— *Min inte*, kim jesteś?

— Nazywam się Hamd el Arek i jestem namiestnikiem Asuanu. Znasz mnie?

— Wprawdzie nigdy cię nie widziałem, ale twoje nazwisko słyszałem często. Chodź i obejrzyj.

Pokazał mu kajutę i wszystkie inne miejsca. Gdy wrócili z powrotem na pokład namiestnik wyglądał na bardzo zadowolonego. Położył dłoń na ramieniu Katombo.

— Jesteś dobrym żeglarzem?

— Sam osądź. *Sandal* został zbudowany według mojego planu.

— Zaufam ci. Jego wykonanie i urządzenie nie mają sobie równych. Nie popłyniesz jednak do Bahr el Abiad.

— Nie? — spytał kapitan z udanym zdziwieniem.

— Nie, ponieważ wrócisz do Kairu.

— Po co mam wracać do Kairu?

— Po to, aby mnie tam zawieźć, moją służbę i jedną z mych żon. Jeśli dopłyniemy szczęśliwie zostaniesz hojnie nagrodzony.

Katombo postarał się nadać swej twarzy wielce markotny wyraz i udało mu się to tak znakomicie, że aż *mudir* zmarszczył z oburzenia czoło.

— Mam nadzieję, że zrozumiałeś już jakim zaszczytem jest moja obecność na twym pokładzie. W przeciwnym bowiem wypadku ten pejcz sprawi, abyś lepiej wszystko pojął. Moja służba zamieszka pod przednim pokładem, świta pod namiotami, ja sam w kajucie, a kobieta w kabinie obok mnie. Spróbuj tylko odpłynąć tym *sandalem* beze mnie, a każę cię zachłostać na śmierć.

— Będę posłuszny! — oświadczył Katombo.

— Spodziewam się tego po tobie. Ty masz troszczyć się tylko o zakwaterowanie i o szczęśliwą podróż. Wszystkim innym już ja się zajmę.

Opuścił statek, wskoczył na konia i odjechał. Katombo nie wiedział czy powinien się z tego wszystkiego cieszyć czy nie. Aby się o tym przekonać trzeba było zaczekać i przekonać się co też wydarzy się w południe. Do tego czasu miał dużo pracy, trzeba było bowiem wydać odpowiednie rozkazy po to, aby zarówno we wnętrzu jak i na pokładzie *sandala* poczynione zostały odpowiednie zmiany. Jednak tuż przed południem Katombo wraz z Sawabem opuścili statek udając się do ogrodu namiestnika.

Nie zauważeni przez nikogo dotarli na upatrzone wcześniej miejsce i przeszukali starannie otoczenie, aby upewnić się, że nikt ich nie szpieguje. Później podeszli, gdzie znad muru wyrastało cytrynowe drzewo.

— Sawabie muszę wspiąć się po twoich ramionach!

— *Maschallah*, już mi to miłsze niż gdybyś musiał wychodzić mi na nos! Tak to będę mógł cię utrzymać, sidi!

— Za to na dół zeskoczę już bez twojej pomocy. Do tego czasu przycupniesz gdzieś w krzakach i będziesz obserwował czy ktoś nie idzie. Jeżeli tylko zobaczysz coś podejrzanego, dasz znać, udając krzyk sępa.

— Ten potrafię dobrze naśladować, sidi. Kiedy bowiem intonowałem *Lubeka Allak Humeh* — pieśń pielgrzyma, musiałem pokrzykiwać w ten właśnie sposób. No teraz stoję już pewnie i mocno jak słoń. Chcesz wchodzić?

— Tak.

Wdrapał się na ramiona służącego, skąd mógł sięgnąć górnej krawędzi muru. Wystarczył jeden mocny chwyt, jedno zwinne podciągnięcie i już siedział na górze.

— *Hamdulillah*, Bogu niech będą chwała i dzięki, że to nie ja tam siedzę. Nie potrafiłbym stamtąd zleźć na ziemię, nawet gdybym użył mego długiego nazwiska jako liny — rozległo się z dołu. Następnie Sawab wślizgnął się za upatrzony krzak.

Katombo z kolei ukrył się za gałęziami i stamtąd spoglądał w dół ogrodu. Jakaś biała ubrana postać szła wolno w jego stronę. Czy była to ta, oczekująca spotkania czy nie? Zapomniał

powiedzieć nadzorczyńni haremu swoje imię, dlatego nie dziwił się, że Sobeide mogła nabrać podejrzeń wobec całej tej sprawy. Zauważył jednak, że postać obserwuje przez zaslonę uważnie całe miejsce, w którym się znajdował, zdecydował się więc upewnić, narażając się przy tylko tym na niewielkie ryzyko.

— Sobeide! — szepnął.

Zawołana usłyszała to i nagle się przestraszyła.

— Sobeide, twój ojciec przysłał mnie abym cię uwolnił.

Postać zrobiła jeszcze kilka kroków, które dzieliły ją od drzewa i zapytała prędko:

— Kim jesteś?

— Jestem Katombo.

— Katombo? Czy to naprawdę ty?

— Tak. Nie patrz jednak w górę, tylko udawaj, że zrywasz kwiatki. W domu wszystko dobrze. Ojciec i siostra pozdrawiają cię. Odkryłem miejsce twego pobytu i przybyłem, aby cię uratować.

— *Ma jimkinnisch*, to niemożliwe. Muszę jeszcze dziś nocą udać się na statek, namiestnik zabiera mnie ze sobą do Kairu.

— Ach tak, to ciebie! W takim razie wszystko w porządku, bowiem odpłynie on do Kairu moim *sandalem*.

— *Allah kerim!*

— Zostaniesz ulokowana obok jego kajuty. Po drugiej stronie twojej kabiny luźniej umocuję jedną z desek, po to żebyśmy mogli ze sobą rozmawiać. Strzeż się jednak uczynić cokolwiek, z czego mógłby wnioskować, że znasz mnie i moich ludzi!

— Czy masz ze sobą jakiś nóż? Jeśli tak, rzuć mi go.

Katombo wyciągnął zza pasa nóż i rzucił go do ogrodu.

— Masz, ale mam nadzieję, że to nie ty go potrzebujesz. Rozległo się ciche wołanie.

— Nadzorczyńni daje mi znak. *Ma 'assalame*, bywaj zdrów!

— *Salam we amal 'aleik*, pokój i nadzieja niech będą z tobą.

Oddaliła się pośpiesznie, Katombo zeskoczył z muru na ziemię.

Z krzaków wynurzył się Sawab.

— Czy widziałeś ją i rozmawiałeś z nią, sidi?

— Tak.

— Czy nie mówiła nic o mnie?

Ta próżność służącego sprawiła, że Katombo się roześmiał.

— *Na 'amjakesa*, oczywiście, że mówiła!

— A co powiedziała, sisi? Powtórz mi to szybko!

— Pytała mnie, dlaczego dziś rano byłeś taki mokry?

Sawab zakłopotany opuścił wzrok.

— Czy to może znowu krokodyl wciągnął cię do wody?

— Nie, sisi. To była straszna powódź na ulicy Bab er Run, o której opowiem ci przy innej okazji.

— Dobrze, mogę z tym zaczekać, a teraz chodź! Nie jesteśmy tu bezpieczni.

Oddalili się i robiąc duże koło wrócili nad rzekę.

W ciągu popołudnia wszystkie potrzebne rzeczy znalazły się na *sandalu*, zaś pośród wrzawy i hałasu, które nieodmiennie towarzyszą przygotowaniom do podróży, nikt nie zwrócił uwagi na dodatkowy, którego sprawcą był Katombo, poluzniający deskę w kabinie Sobeide. Przymocował także zasuwę, dzięki której to małe pomieszczenie mogło być mocno zamknięte od środka. Tym sposobem dziewczyna była chroniona przed każdym niebezpieczeństwem.

Przy tych pracach szybko nadeszła noc. Gwiazdy jasno świeciły, jak gdyby dzięki ich blaskowi na ziemi mogło nie być ani cierpienia, ani bólu, ani strachu, ani troski.

W miejscu gdzie *dahanbije* i *sandale* zarzuciły swoje kotwice nagle rozbłysły pochodnie. Czterech tragarzy niosło *palankin*, który eskortował czarny strażnik haremu. Orszak zbliżył się do „Rajskiego Ptaka” i zażądano pomostu, po którym *palankin* został wniesiony na pokład. Eunuch trzymał w ręce pejcz.

— Gdzie jest kapitan? — spytał swym nienaturalnie cienkim głosem, który stanowił jaskrawy kontrast w stosunku do jego atletycznej sylwetki.

— Jestem tutaj — odrzekł Katombo podchodząc bliżej.

— Otwórz pomieszczenia dla tej damy, ale szybko, bo jeśli nie to cię pogonię.

Kapitan przyjrzał się mężczyźnie.

— Otworzę, ale tak szybko jak sam będę chciał. Tu na pokładzie liczy się tylko mój pejcz.

Eunuch wyszczerzył na niego wielkie, białe zęby, ale brakło mu odwagi by spełnić pogroźkę. Lektyka została zniesiona do kajuty, a strażnik haremu zszedł za Sobeide. Kilka minut później przybiegł z powrotem szybkimi susami, kierując się ku Katombo.

— Daj mi młotek i kleszcze!

— Po co?

— Jak mogłeś przybić zasuwę do drzwi, które oddzielają żonę od jej męża? Ona jest jego własnością i on może bywać u niej tak często jak tylko zechce. Chcę usunąć zasuwę!

— Ty chcesz? *Allah akbar!* Bóg jest wielki, w niebie i na ziemi, a ja jestem panem na swoim statku. Zasuwa zostanie tam gdzie jest!

— Poczekaj no, ty psie!

Eunuch zamachnął się pejczem, lecz Katombo był szybszy. Wyrwał mu go z ręki, zdzielił nim czarnego strażnika trzy, czy cztery razy przez głowę, a następnie złapał go za gardło. Niewiele wysiłku kosztowało go powalenie Murzyna na ziemię.

— Związać go! — rozkazał swoim ludziom, którzy zdążyli już nadbiec. — Zakneblujcie go i wrzucie do karceru!

Rozkaz wypełniono, zaś Katombo poszedł do słabo oświetlonej kajuty. Drzwi do sąsiadującej z nią kabiny były zaryglowane. Zapukał do nich.

— Kto tam?

— Katombo.

Teraz drzwi otwarły się gwałtownie i Sobeide z głośnym, spazmatycznym szlochem przypadła mu do piersi. Wszelkie reguły, wszelka surowość i powściągliwość, wszystko to zostało zapomniane i nieszczęsna dziewczyna poddała się wybuchowi zrozpaczonego serca.

— Katombo, czy teraz jestem już bezpieczna?

— Teraz już jesteś i niczyja ręka nie ośmieli się nawet cię tknąć.

— Gdzie jest ten straszny człowiek?

— Uwięziony, tu na statku.

— *Ja Allah!* O Boże, nieszczęśliwczko! Ten człowiek cieszy się wielkimi względami namiestnika, jesteś zatem zgubiony

— Jeszcze nie. Gdybym nie miał cię jeszcze tutaj, musiałbym być pokorny. Teraz jednak, kiedy ty jesteś bezpieczna, ja jestem kapitanem mego *sandala* i biada temu, kto ośmieli się wystąpić przeciwko moim prawomocnym postanowieniom! Ta zasuwa jest mocna, obroni cię także przed Hamd el Arekiem, zaś tę deskę wystarczy tylko odsunąć na bok i będziesz mogła się dostać do pomieszczenia, które przygotowałem dla siebie, bowiem namiestnik chce przebyć podróż w mej kajucie. Rozkazuj, a zostanie spełnione to czego żądasz!

— Ale przecież nie będziesz mógł niczego przeciwko niemu wskórać, przybywa on wszak z więcej niż z dwudziestką ludzi!

— Nie bój się, chociaż ja mam ze sobą tylko dziesięciu.

— Uciekaj, zanim on przybędzie.

— *Di majissah'hisch*, nie mogę tego uczynić. Ciebie miałem prawo mu zabrać, ale na pokładzie jest cały jego bagaż i jeśli odpłynę bez namiestnika, będzie miał prawo ściąć mi głowę, a także wszystkim moim ludziom.

— Ale obroń mnie przed nim i przed tym strasznym Murzynem!

— Nie martw się, nie spotka cię nic złego.

Poszedł znów na górę i zobaczył, że na brzegu zrobiło się jasno. Przybył namiestnik ze swoją świtą. Katombo kazał poczynić już wszystko co było potrzebne do odpłynięcia. *Sandal* trzymał się jeszcze tylko na jednej linie, z żaglem gotowym do wciągnięcia na maszt: ledwie chwila była potrzebna do tego, aby statek znalazł się w głównym nurcie rzeki.

Rzucono pomost i mające się udać w podróż towarzystwo weszło na pokład. Musiało zapewne nadejść jakieś naglące wezwanie od kedywa, bowiem w przeciwnym wypadku namiestnik nie spieszyłby się tak bardzo. Katombo przyjął go na śródpokładzie, jednakże zamiast wypowiedzieć powitanie, rzucił tylko w stronę wyniosłego urzędnika jedno słowo:

— *Jalla*, odpływamy!

Tego właśnie Katombo życzył sobie najbardziej, bowiem skoro tylko statek znajdzie się w nurcie rzeki, wtedy to zgodnie z żeglarskim prawem kapitan staje się jego jedynym panem.

— *Ho, ih!* — zabrzmiał głos Katombo i zaraz też została wciągnięta lina kotwiczna. Także żagiel poszedł na maszt. *Sandal* obrócił się rufą przeciw falom i niebawem znalazł się na głębokiej wodzie.

Tymczasem pokład stał się widownią ogromnego zamieszania, bowiem wszyscy jednocześnie chcieli się wygodnie urządzić. Wreszcie udało się zaprowadzić jaki taki porządek, który wkrótce i tak miał zostać naruszony, a następnie całkowicie zniszczony. Oto bowiem w luku, którym schodziło się do kajuty ukazał się namiestnik. W blasku płonącej pochodni jego twarz przybrała wyraz najwyższej wściekłości.

— Kapitan! — ryknął, tocząc dokoła gniewnym wzrokiem.

Katombo podszedł do niego wolno. Jeden ruch wystarczył, aby jego ludzie zebrali się za nim. — Wołałeś mnie?

— Tak, wołałem cię! Kto ci rozkazał umieścić zasuwę w drzwiach pokoju sąsiadującego z moją kajutą. I zostało to zrobione dzisiaj, kiedy bowiem oglądałem *sandal*, nie było tego.

— Rozkazał? — odpowiedział Katombo cicho, ale z wyraźnym naciskiem. — Rozkazać nie mógł mi nikt, bowiem uczyniłem to z własnej woli.

— Rozkazuję ci więc, natychmiast tę zasuwę usunąć!

— Rozkazujesz? — kapitan przybrał znów ten sam ton co poprzednio. — Do kogo należy ten *sandal*?

— Obecnie, do ciebie!

— Dziękuję ci za to co usłyszałem, i właśnie dlatego ja jestem tym, który może tu rozkazywać. Jeśli ktoś, czegoś sobie ode mnie życzy, może tylko prosić!

— *Kel!* Psie! — ryknął Hamd el Arek i zrobił taką minę jakby zamierzał się rzucić na Katombo. Jednak nagle uprzytomnił coś sobie i rozejrzał się wkoło, szukając kogoś. — Asmar!

— Asmar? Masz może na myśli swojego Murzyna?

— Tak. Gdzie on jest?

— W areszcie. Groził mi pejczem, musiała go więc spotkać za to kara.

— Człowieku, ty oszalałeś!

— Nie w takim jednak stopniu co ty. Znam swoje prawa. Ty zaś chcesz tego, co ci się nie należy.

— Wypuść zatrzymanego, bo jeśli nie to cię zastrzelę! Powinienem cię obedrzeć ze skóry, za to co mu uczyniłeś! Hej, wy tam, do mnie! Schwytąć go!

Katombo cofnął się kilka kroków, tam gdzie znajdowali się jego ludzie, w jego rękach zabłysły lufy pistoletów.

— Co to znaczy? — zagrzemiał — Bunt? Wzywasz tych ludzi, aby wystąpili przeciwko mnie? Czy nie wiesz, że tutaj ja jestem panem życia i śmierci? Na co liczysz z taką garstką ludzi? Pozostali tkwią pod pokładem i nie będą mogli tu przybyć, bowiem kazałem zaryglować luk, jeśli tylko odezwiesz się do mnie podniesionym głosem.

Namiestnik rozejrzał się dokładnie i spostrzegł, że chwilowo rzeczywiście na pokładzie znajdowało się tylko pięciu jego ludzi.

— Wyrwać zasuwę! — rozkazał powtórnie, ale jego głos nie miał już w sobie takiej pewności jak przedtem.

— Czy masz prawo żądać tego? Czy przebywająca w kabinie kobieta jest twoją żoną?

— Tak.

— *Ja kisbe!* Kłamstwo!

— Człowieku! — wycedził namiestnik. — Czy wiesz czym ryzykujesz?

— Ja nie ryzykuję niczym, ale ty ryzykujesz swoim życiem, jeśli natychmiast nie udasz się do swojej kajuty.

— Kto powiedział, że to nie jest moja żona i moja niewolnica?

— Schirwan, Ormianin.

To imię wywarło na namiestniku niesłychane wrażenie. Cofnął się do tyłu i mimo woli przejechał ręką po głowie.

— Schirwan! Znasz go?

— Znam.

— Gdzie go spotkałeś?

— W Asjut. Jest tam uwięziony.

— Uwięziony? Przez kogo?

— Przez Said Abdullaha, najsłynniejszego Abu er Reisana.

Wulgarnie przekleństwo wyrwało się z ust namiestnika.

— Łżesz psie! Rozdepczę cię jeszcze dziś, albo jutro!

— Powiedz do mnie, do kapitana tego statku jeszcze raz, że łżę, a przeciągnę cię po gębie pejczem twego własnego kata! To właśnie ja, a nie kto inny uwięziłem Schirwana. To ja także wypytałem go o wszystko i ja też byłem w twoim ogrodzie, aby obwieścić Sobeide jej wybawienie. I wiedz, że ten *sandal* należy nie do kogo innego, a właśnie do Said Abdullaha, którego ty prześladowałeś. Aż do Asjut będę twoim panem, potem opuścisz statek i będziesz mógł się udać dokąd zechcesz. A teraz oddaj broń!

Te słowa raziły Hamd el Areka niczym piorun, tak że nie stawiając najmniejszego oporu dał sobie odebrać pistolety, szablę i nóż. Pozostali poszli za jego przykładem. Nie odzywając się ani słowa namiestnik poszedł do kajuty. Na znak dany przez Katombo, Sawab pospieszył za nim i zasunął rygiel; namiestnik był uwięziony.

Tymczasem *sandal* pomknął naprzód z prędkością parowca. Katombo, który sprawował władzę na statku, rozkazał jeszcze tej nocy postawić na pokładzie namiot dla Sobeide, w takim jednak miejscu, w którym nikt nie mógł jej widzieć. Katombo zszedł na dół, odsunął deskę na bok i poprosił aby Sobeide poszła za nim.

— Na górę?

— Na górę!

— Gdzie namiestnik?

— Uwięziony.

— A jego ludzie?

— Także.

— *Remallah*, niech Bóg broni! Co uczyniłeś!

— Tylko to, za co jestem odpowiedzialny.

Poprowadził szczerze zasłoniętą dziewczynę na górę, gdzie chłodne, nocne powietrze przypadło jej znacznie bardziej do gustu niż zatęchła duszność poprzedniego, niewielkiego pomieszczenia.

OKROPNOŚCI NOCY POŚLUBNEJ

Kilka dni później, wschodnie wybrzeża pustyni libijskiej przemierzała karawana składająca się z czterdziestu cennych wielbłądów wierzchowych i z licznych wielbłądów jucznych. Nieco z przodu jechał młody człowiek w stroju Mameluka, na jednym z tych wspaniałych koni arabskich Bakarra, które posiadają najwięcej podobnych do jedwabiu, srebrnoszarych włosów i nie dają się prześcignąć żadnej innej rasie. Cienie padające na piasek były już dłuższe od zwierzęcia i jeźdźca; znaczyło to, że słońce pokonało większą część swej drogi i niebawem miało dojść do kresu wędrówki.

W pewnej chwili kroczący na przedzie karawany wielbłąd, wyciągnął daleko przed siebie swą długą szyję i łyknął głęboki haust powietrza, po czym ruszył, niczym gnany burzą we właściwym kierunku. Mężczyźni wydali okrzyk radości i pogonili swe zwierzęta. Znajdujący się bowiem na czele wielbłąd, zwietrzył nasycone i napływające z doliny Nilu powietrze. Już wkrótce karawana zjeżdżała z piaszczystych wzgórz, ku zielonej pachnącej dolinie.

— Asjut! — krzyknął jeździec na srebrzystoszarej klaczy — Jedzcie do *karawanseraju* i czekajcie tam na moje rozkazy!

Popuścił zwierzęciu cugli i przemknął tuż obok kafejki Abd el Omana, który stał właśnie przed jej drzwiami. Gdy ujrzał cwałującego jeźdźca, mruknął pod nosem:

— Omar Bathu, książę Mameluków, ten to jest jeszcze bogatszy niż sam kedyw! Jedzie z wizytą do Abu er Reisana.

Abd el Oman miał rację, bowiem jadący na koniu skręcił w bramę posiadłości Said Abdullaha, przemknął przez ogród, wpadł na dziedziniec i zatrzymał się przed schodami wiodącymi do komnat. Musiał doskonale znać miejscowość i drogę.

Tętent konia został natychmiast usłyszany. Kilku służących pospieszyło w jego stronę, na górze zaś w jednych z drzwi ukazał się właściciel domu.

— Abdullah!

— Bathu!

Zaledwie przebrzmiały okrzyki, a już obaj mężczyźni rzucili się sobie w ramiona.

— Błogosławiona niech będzie myśl, która sprowadziła cię do mnie! — powitał Abdullah przybysza — Wejdz proszę i bądź moim gościem!

Kilka chwil później siedzieli już obaj z dymiącymi fajkami przy pachnącej mokce.

— Minęły miesiące odkąd cię nie widziałem. Gdzie rozbijałeś przez ten czas swoje namioty?

— To tu, to tam, gdzie przyszło akurat mieczem wojować. Zwyciężyliśmy i zdobyliśmy mnóstwo łupów, gdyż Allah sprzyja odważnym i błogosławi ich poczynaniom. A co u ciebie? Gdzie ten śmiałek Katombo i jak się miewa Sobeide? — ostatnie słowa zostały wypowiedziane cicho i z wahaniem.

— Katombo popłynął *sandalem* do Asuami, a Sobeide... ona... ona... jest...

— Wiem, mężczyzna nie rozmawia o swoich kobietach, ale o Sobeide powinienem przecież spytać, ona mnie kocha, a ty zaręczyłeś mnie z nią. Jeszcze dziś przybędę tu, aby oficjalnie prosić o nią, a następnie sprowadzę ją do Kairu, do mego pałacu jako jedyną żonę, którą kiedykolwiek będę miał. Wielbłądy z moim posagiem leżą już w *karawanseraju*.

— Przyjacielu, wielkie nieszczęście spotkało mój dom, Sobeide gdzieś przepadła.

— Przepadła?

Mameluk skoczył w górę, ciskając fajkę w najdalszy kąt i kładąc rękę na rękojeści swej szabli.

— Tak, przepadła

— Musiała zostać porwana, bowiem samowolnie Sobeide nigdy by nie uciekła. Co za diabeł mi to uczynił?

— Szukałem jej tygodniami, wszystko jednak na próżno, dopiero Katombo, który powrócił z Bahr el Asrak odkrył nazwisko porywacza.

— O tak, Katombo jest mądry, odważny i dzielny, to mój przyjaciel. Ale powiedz, kim jest rabuś? Muszę zobaczyć jego głowę u mych nóg!

— Jest tak potężny, że do zdobycia jego głowy nie wystarczy nawet tysiąc szpad.

— Podaj wreszcie jego nazwisko! — krzyknął Bathu — Do wszystkich diabłów, muszę je znać!

— To Hamd el Arek, namiestnik Asuanu.

— Kto? Ulubieniec kedywa? Z nim to wszystkie duchy powinny tak zatańczyć, żeby rozsypał się już w powietrzu, lecąc do piekła. Co uczyniłeś?

— Chciałem sam się do niego udać i zażądać aby mi oddał córkę.

— Kazałby cię powiesić — przerwał Bathu.

— Jednak Katombo uprosił mnie, abym wysłał właśnie jego.

— Miał rację. Jeśli ktoś może ją tutaj sprowadzić, to właśnie on, ale gdybym ja...

Przerwał, gdyż drzwi się otworzyły i do środka wszedł Sawab.

— *Salam aleik*, efendi. Pokój niech będzie z tobą!

— Sawab — krzyknął Abdullah, a teraz także i jemu wypadła z rąk fajka. — Powracasz z Asuanu, jaką wiadomość przywozisz?

Książę Mameluków rzucił się ku przybyszowi i złapał go za ramię.

— No, mów prędko! Czy dotarliście szczęśliwie do Asuanu?

— Tak, sidi. Popłynęliśmy tam, aby odzyskać Sobeide, córkę naszego pana.

— I co udało wam się wskórać?

— Sidi, nazywam się Hadzi Sawab Ben Hadzi Kafur el...

— Do licha z tym! Chcę wiedzieć czy sprzyjało wam szczęście czy nie?

— Pozwól mi spokojnie wypowiedzieć się, to wtedy dowiesz się wszystkiego.

— Mów więc!

— Nazywam się Hadzi Sawab Ben Hadzi Kafur el Kerime Ibn Hadzi Schehab el Kadiri Ibn Hadzi Ghanem en Nur i co raz postanowię to zawsze spełnię.

— *Hamdulillah!* Chwała Bogu! To znaczy, że ją widzieliście?

— Tak, najpierw widział ją Katombo, kiedy siedział na murze, potem ja ją widziałem, gdy...

— Zamilknij! Powiedz wreszcie; przywieźliście ją ze sobą?

— Oczywiście. Przy płynąłem przodem, małą łódką, aby was o tym zawiadomić.

— No, a Hamd el Arek, co on na to powiedział?

— Co on na to, tego nie mogłem usłyszeć, ponieważ siedzi aresztowany w kajucie.

— Namiestnik?

— Namiestnik! Sidi, Katombo uwięził go i wszystkich jego ludzi na *sandalu*.

— To nie do wiary, opowiadaj!

Pocziwy Sawab rozpoczął swą opowieść. Trwała bardzo długo, przerywana setkami pytań, bez których nie można było się obejść. Gdy skończył, od rzeki rozległy się odgłosy pistoletowej salwy, zwiastującej przybycie *sandala*.

Said Abdullah i Omar Bathu pospieszyli natychmiast do portu. Sawab i cała służba podążyli za nimi. Statek rzucił właśnie przednią kotwicę i zgrabnie skręcał rufą ku brzegowi. Minęła może minuta i wszyscy wskoczyli na pokład.

Sobeide ogarnięta ogromnym wzruszeniem klęczała w swoim namiocie. Ojciec bez słowa pochwycił ją i przytulił do swej piersi. Na tylnym pokładzie uścisnęli się Katombo z Omarem. Służba witała się z żeglarzami. To była scena, której nie da się opisać. Zamieszanie ustało dopiero, gdy Sobeide pod ramię z ojcem wyszła ze swego namiotu, aby zejść na ląd. Ojciec poprowadził ją do Omara Bathu.

— Masz tutaj tę, o którą dzisiaj się ubiegałeś. Jest twoja i tylko ty sam możesz ją wprowadzić do domu jej ojca!

Omar ujął dłoń Sobeide, pomógł jej zejść na brzeg, by stamtąd udać się z nią do posiadłości Abdullaha.

Wszyscy byli zdumieni zachowaniem Abu er Reisana, który całkowicie złamał mahometański zwyczaj. Teraz jednak Abdullah podszedł do Katombo i podał mu swe obie ręce.

— Mój synu, przyjmij spóźnione podziękowania. Zdziwi cię moje zachowanie, ale masz więźniów na pokładzie, a wściekłość w gorącej wodzie kąpanego Bathu, byłoby trudno pohamować, na widok namiestnika. Musimy szybko działać, co mi radzisz?

— Twojej córce nic się nie stało. Dlatego zrezygnuj z osobistej zemsty i poprzestań na oskarżeniu namiestnika przed wicekrólem. Jeśli bowiem targniemy się zbrojnie na niego i jego ludzi, będziemy zgubieni, gdyż kedyw nie będzie słuchał nas, tylko jego.

— Mówisz mądrze, dlatego cię posłucham. Gdzie są więźniowie?

— *Mudir* znajduje się w kajucie, a jego ludzi trzymam zamkniętych razem w pomieszczeniu z przodu ładowni.

— Zwróć im wolność! Po drugiej stronie cumuje pewna barka, która odpływa do Kairu. Nasi ludzie przeniosą tam wszystkie ich rzeczy. Odebrałeś im broń?

— Tak.

— Oddaj im. Wolny człowiek nie zna większego upokorzenia, niż pozbawienie broni.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby otrzymali ją dopiero po przejściu na barkę?

— Nie, Katombo. Czy *mudir* ma myśleć, że się go boimy? Jego oblicze musi zarumienić się ze wstydu, kiedy zobaczy z jaką uprzejmością traktuję porywacza swego dziecka.

— Uczynię to, ale bardzo niechętnie. Jeśli jednak ty tak rozkazujesz, ja będę posłuszny.

Rozkazał, aby zwrócono broń ludziom *mudira*, a potem dał znak, aby otworzyć luk, który prowadził do ładowni, sam zaś odryglował drzwi kajuty. Hamd el Arek wyskoczył stamtąd niczym ranny tygrys. Gdy jednak zobaczył ile osób jest na statku, odwrócił się, podszedł do burty i tam stanął zachowując się tak, jakby nikogo nie zauważył. Jego ludzie wyszli już na pokład, brakowało tylko eunucha.

— Jesteście wolni — oświadczył Said Abdullah. — Zabierzcie swoją broń.

Wziął pistolety, szablę, i nóż *mudira* i zbliżył się do niego.

— Hamd el Areku, bierz co twoje!

Ten złapał broń, nie odwracając się nawet. Katombo nie zapomniał również o czarnym strażniku haremu, rozkazał go przyprowadzić. Jeden z jego ludzi zszedł na dół, aby go uwolnić. Kiedy tylko Murzyn wyłonił się z luku, ukazał swą strasznie zeszpeconą twarz, całą spuchniętą od ciosów zadanych przez Katombo i zniekształconą przez nieopisaną wściekłość. Eunuch szukał wzrokiem Katombo i ledwie go dostrzegł, wyrwał zza pasa najbliższego stojącego człowieka nóż i rzucił się na kapitana.

Odwrócony tyłem Katombo nie zwracał na niego uwagi i dopiero podniesiony krzyk pozwolił mu się zorientować w sytuacji. Byłoby jednak za późno, gdyby nie Said Abdullah, złapał bowiem Murzyna za ramię. Jednak wściekłość zwielokrotniła siły atakującego, wyrwał się i ugodził obrońcę kapitana nożem w policzek. Ranny cofnął się o krok, po czym rzucił się z całą siłą na eunucha, zatapiając wyrwany mu uprzednio nóż, między zębami. Na to zerwał się namiestnik.

— Co, krew? Dobrze, będziecie ją mieli! Dalej! Razem, na nich! Odwiódł kurek pistoletu i wycelował w Abdullaha. W tym samym momencie, w którym padł strzał Abu er Reisan rzucił się w bok wyrwijąc jednocześnie Katombo jeden z pistoletów. Strzał namiestnika przeszedł obok. Teraz błysnęło z ręki Abdullaha i *mudir*, trafiony między oczy zwałił się na pokład. Na ten upadek swego dowódcy Asuańczycy podnieśli straszny krzyk i natarli na Asjutańczyków. Wywiązała się ogólna walka, która wprawdzie skończyła się całkowitą klęską ludzi *mudira*, ale także wielu zwycięzców odniosło rany.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu niecałych pięciu minut. Omar Bathu odprowadzał Sobeide do domu. Nagle usłyszał strzał i krzyki walczących. Przybiegł pospiesznie na statek, ale losy były już rozstrzygnięte. Właśnie padł powalony ostatni z Asuańczyków.

— *Allah akbar*, co się wydarzyło? — spytał. — Kto zwrócił broń uwięzionym?

— Ja — odpowiedział niepewnie Said Abdullah.

— Ty!? Dlaczego!?

— Chciałem, *maschallah*, chciałem uniknąć największego błędu, jakiego dopuściłem się w swoim życiu.

— Masz rację w tym co powiedziałaś. Czy widzicie policjantów i człowieka na ich czele? Kto to jest?

— *Kaschef*, naczelnik policji

— Pozwolicie zatem, że się oddalę. Jeśli mam was uratować, nie mogą mnie tu spotkać.

Naturalnie w mieście również usłyszano strzały, zaalarmowano naczelnika policji i ten przybył na statek ze swymi ludźmi, aby poznać przebieg wypadków. Wszedł na pokład z miną nie wróżącą nic dobrego.

— *Schu sar hene*, co się tutaj zdarzyło? — zapytał.

— Doszło do walki, jak widzisz — mruknął Abdullah.

— Pomiędzy kim?

— Między ludźmi z Asuanu, a moimi marynarzami.

Naczelnik rozejrzał się wkoło i rozpoznał zwłoki namiestnika.

— *Remallah!* Kto to jest? Czy to aby nie Hamd el Arek, namiestnik Asuanu?

— Tak, to on.

— Kto go zabił?

— Ja Ponieważ strzelał wcześniej do mnie.

— Możesz to udowodnić?

— Wszyscy ci ludzie byli tego świadkami.

— Ich świadectwo jest na nic, bowiem oni także brali udział w walce. Jak *mudir* znalazł się na twojej barce?

— Chciał nią płynąć do Kairu.

— Co, był gościem na twoim statku, a ty zadałeś mu śmierć? Muszę cię aresztować.

— Zaczekaj dopóki nie dowiesz się wszystkiego. Katombo, opowiedz mu jak było!

Katombo, któremu mocno krwawiło ramię przedstawił krotką, ale wystarczająco dokładną relację z tego, co zaszło. Wydawało się, że to złagodziło surowość urzędnika. Zwrócił się do Abdullaha.

— Czy nie wiedziałeś, że namiestnik jest przyjacielem wicekróla? Teraz nie żyje, więc nie można go o nic oskarżyć. Ty natomiast zostaniesz potraktowany z całą surowością.

Podczas, gdy naczelnik czynił niezbędne notatki, rannym udzielano pomocy. To co się wydarzyło, stanowiło dobrą okazję dla policyjnego urzędnika, aby moc się wykazać. Dlatego też podszedł on do swych obowiązków z niezwykłą skrupulatnością.

Zbliżał się wieczór, gdy wreszcie podjął odpowiednie decyzje.

— Said Abdullahu, postanowiłem nie aresztować cię, ponieważ zostałeś ciężko znieważony i poniżony, ale pilnuj się, ty i twoi ludzie, aby nikogo nie brakowało, kiedy zostaniecie wezwani do sądu. Ten *sandal* nie może podnieść kotwicy, dopóki z Kairu nie przybędzie deputacja. Zabici zostaną pochowani jak tylko *kadi* ich obejrzy. Pozostałych przy życiu Asuańczyków aresztuję w imieniu prawa i wicekróla, i zabieram ze sobą.

Z poważną, urzędową miną skłonił się Abdallahowi i opuścił *sandal*, pozostawiając na nim dwóch swoich ludzi.

Said zwrócił się do Katombo.

— Miałeś rację, mój synu, kiedy nie chciałeś zwrócić im broni. Byłem tak szczęśliwy z powrotu mego dziecka, a teraz cień śmierci naznaczył mą radość. Do tego wszystkiego jeszcze i ty jesteś ranny. Zamiast podziękować ci za twą wierność i miłość, jakie mi okazałeś, winny jestem przelaniu twojej krwi.

— Efendi nie wolno ci tak mówić! Chodźmy do domu, jesteś tam oczekiwany.

Poszli Przed bramą posiadłości stał Omar.

— I co ustalono? — spytał.

Said Abdullah opowiedział mu o wyniku policyjnego dochodzenia. Omar Bathu zaczął się zastanawiać.

— Czy naczelnik policji wiedział że byłem przed jego przybyciem na pokładzie *sandala*? — zapytał

— Nic o tym nie mówił.

— Być może więc uda się ocalić cały twój majątek.

— Czyżbyś sądził, że mógłbym go utracić?

— Uważam to za bardzo prawdopodobne. Naczelnik musi i to jak najszybciej zawiadomić o wszystkim wicekróla, a Hamd el Arek był przecież jego ulubieńcem. Najprawdopodobniej jeszcze dziś wyśle do Kairu łódź z kimś zaufanym, a co będzie dalej, tego możesz się już domyślać. Wicekról jest sprawiedliwy, a ty jesteś bogaty, sprawiedliwość do tego, aby istnieć potrzebuje bogactwa, wyciągnie więc swe ramiona aż po Asjut, aby uwolnić cię od mamony, która stanowi zagrożenie dla twojej duszy. A być może kedyw zamierza uwolnić twą duszę nawet z więzów cielesności przeszkadzających jej w tym aby mogła wznieść się w górę, do Allacha. Chodźmy teraz do ciebie, tam porozmawiamy o tej sprawie.

Minęli dziedziniec i schodami udali się w górę. W komnacie Abdullaha zostali przyjęci przez obie dziewczyny, które najpierw zajęły się swym rannym ojcem Katombo wzruszony obserwował dziecinną troskliwość z jaką Ayescha obchodziła się z raną ojca. Jednak w pełni uszczęśliwiony poczuł się, kiedy ukochana krzyknęła z przerażeniem na widok jego rany.

— Katombo! — szepnęła i mimo woli uczyniła krok w jego stronę. Said Abdullah posłyszał to wszystko.

— Bądź spokojna moja córko — zwrócił się do niej i łagodnie ujął za rękę. — Przypomnij sobie moją obietnicę, którą wam dałem, kiedy Katombo wyruszał do Asuanu po Sobeide. Przysięgłem, że zostaniesz jego żoną, jeśli szczęśliwie powróci do domu. Podejdz do niego i zaprowadz go do swojej komnaty, będzie przecież twoim mężem. Ma on nic za ciebie nie płacić, lecz być moim synem, który po mojej śmierci wraz Omarem Bathu, mężem twojej siostry podzieli się moim spadkiem.

Słyszac te słowa ksiązę Mamelukow podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu Abd er Reisana

— Said Abdullahu, wiesz, że posiadam tyle skarbów ile posiada niewielu spośród tych, którzy mieszkają nad Nilem czy na pustyni. Daj Katombo cały swój majątek, jest go wart i zasłużył nań. Mnie daj tylko Sobeide, bowiem ona sama potrafi uczynić mnie szczęśliwszym niz całe twoje złoto i drogie kamienie. Tam w dole, w *seraju* zatrzymały się moje wielbłądy z darami, które przywozłem ci w zamian za Sobeide. Pozwól, abym kazał je tutaj sprowadzić.

— Dlaczego miałbym przyjmować od ciebie bogactwa, skoro być może nie będę mógł zachować swych własnych?

— Będziesz mógł je zatrzymać tylko wezwij *kadięgo*, abyśmy od razu, teraz zawarli nasze małżeństwa.

Said Abdullah kiwnął głową na znak, że się zgadza, po czym klasnął w dłonie. Pojawił się służący, któremu wydany został odpowiedni rozkaz.

— *Ta'ala*, chodź — szepnęła Ayescha do Katombo.

Na poły czule, na poły niezdecydowanie ujęła jego dłoń i wyszła prowadząc go do swego pokoju. Tam Katombo musiał spocząć na sofie, zaś Ayescha zajęła się opatrywaniem jego rany. Jej opiekuńczość sprawiła mu wielką przyjemność, spytał więc cicho.

— Ayescho, czy myślałaś o mnie, gdy byłem w Asuanie i czy wierzyłaś w to, że powrócę z Sobeide?

— Nigdy w to nie wątpiłam, ponieważ wiedziałam, że potrafisz spełniać wszystko to, co wcześniej postanowiłaś uczynić.

— I tak powinno być. Mąż powinien wierzyć w miłość żony, a ona w jego siłę. Twoja miłość jest prawdziwa i głęboka i uczyni nas szczęśliwymi. Oby jednak twa miłość nie utraciła swej mocy, nadchodzą bowiem złe dni. Nad nami wznosi się *samum* i niebezpieczeństwo śmierci czyha na nas niczym fale wielkiego wodospadu, zdolnego pochłonąć wszystko. Czy mocno i odważnie staniesz po mojej stronie? Czy zaufasz Allahowi który strzeże nieba i mnie który po tysiącokroć oddałby swe życie aby tylko obronić twoje.”

— Ufam Jemu i tobie.

Objął ją ramieniem i patrzył głęboko w jej piękne i szczere oczy.

— Dziękuję ci. A teraz mech się dzieje co chce musimy być przygotowani na wszystko i nie tracić nadziei.

Gwiazda ku której niegdyś wznosił oczy będąc zakochanym zgasła bezpowrotnie. Lilga została zapomniana a na niebie zajaśniało nowe światło, którego blask już nigdy go nie zawiedzie.

Siedzieli tak razem aż ucyliła się lekko kotara i weszła Sobeide.

— Chodźcie, przyszedł *kadi*.

— Czy nie musimy się przebrać? — spytała Ayescha.

— Nie. Ojciec powiedział, że nie ma na to czasu.

Udali się do komnaty, w której *kadi* został posadzony obok Abdullaha i Omara Bathu, aby zgodnie ze zwyczajem zapalić najpierw nargile.

Kadi wstał, pokłonił się głęboko przybyłym i usiadł z powrotem w pełen godności sposób. Katombo także zajął miejsce obok nich i wziął od jednego z niewolników podaną mu fajkę. Obie dziewczęta natomiast usadowiły się na poduszkach, które specjalnie w tym celu położono na dywanie.

Milczenie trwało tak długo aż *kadi* wypalił swą fajkę. Wreszcie odłożył ją na bok po czym chrząknął na znak że ceremonia zaraz się zacznie. Rozpoczął od świętego tekstu, który stanowi pierwsza sura Koranu i która nie może zostać pominięta przez wiernych przy żadnej okazji:

W imię Boga miłosiernego litościwego! Chwała Bogu Panu światów miłosiernemu litościwemu Królowi dnia sądu. Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą, drogą tych których obdarzyłeś dobrodziejstwem nie zaś tych na których jesteś zagniewany i nie tych którzy błędzą.

— Pozwól nam rozpocząć Panie od Omara Bathu, wielkiego i budzącego strach księcia Mameluków.

Omar wstał, *kadi* położył na kolanach zwój pergaminu i ujął służącą do pisania trzcinę aby poczynić niezbędne zapisy.

— *El ism el ken*, jak brzmi twoje dostojne nazwisko?

— Omar Bathu.

— Jak nazywał się twój ojciec i ojciec twego ojca?

— Moim ojcem był książę Mamelukow Kaman Ibn Aku el Aret Ben Ommanam. Jego ojcem zaś był sławny książę Pehelewan Aku el Aret Ben Ommanam, który cieszył się względami samego Napoleona!

— Jakie jest nazwisko twojej matki?

— Prawdziwy muzułmanin nie daje żonie innego nazwiska. Moja matka była siostrą sułtana Nurredina z Tabnzu.

— Widzę, że jesteś prawowiernym synem Proroka. Możesz usiąść.

Teraz urzędnik zwrócił się do Said Abdullaha.

— Jak brzmi tve pełne nazwisko!?

— Said Abdullah Ben Halal

— Którą ze swych córek chcesz sprzedać Omarowi Bathu?

— Starszą.

— Ile daje ci za nią?

— Posag, który przywiózł znajduje się jeszcze w *karawanseraju*, ale Said Abdullah nie będzie przeliczał jego wartości.

— Czy macie jeszcze jakieś uwagi? Nie? Złóżcie zatem podpisy pod tym, co tu napisałem. Kiedy zostało to zrobione, *kadi* zwrócił się do Katombo.

— Teraz może mówie młody kapitan. Jak brzmi twoje chwalebne nazwisko?

— Katombo.

— Czy nie jest ono dłuższe?

— Nie.

— Jakie jest nazwisko twego ojca?

— Nie znam go.

Kadi poruszył się wielce zaskoczony. O ile na Wschodzie nie jest obecnie już niczym nagannym posiadanie tylko jednego nazwiska, o tyle jest wielkim wstydem nie znać nazwiska swego ojca.

— *Allah kerim*, Bóg jest łaskawy! Nie znasz nazwiska swego ojca!?

— Nie.

— A jak nazywa się ojciec twego ojca!?

— Tego także nie wiem.

— Czyją córką była twoja matka!?

— Nie znałem ani jej, ani jej ojca.

— *Allah akbar!* Bóg sprawia, że każde drzewo ma pestkę, z której powstaje, a każde zwierzę swego rodzica, a tobie nie kazał oglądać swego ojca. Jesteś nieszczęsny pośród dzieci tej ziemi i opuszczony pomiędzy synami człowieczymi! Co mam napisać, skoro ty nie masz ojca?

— Powściągnij raczej swój język, *kadi*, nie jestem bowiem przyzwyczajony do tego aby mi urągano! Zostałem porwany memu ojcu, gdy nie potrafiłem jeszcze mówić, kto jest temu winien, ja czy ty?

— Ani ja, ani ty.

— Allah oświecił twój rozum, tak abyś mógł poznać to co słuszne, dlaczego więc mówisz słowa, które mnie obrażają? Zapisz zatem nazwisko tego, który potem został moim przybranym ojcem!

— Podaj je więc.

— Kanaveda el Vajda el Boinjari! — powiedział Katombo, który jednocześnie, na tyle na ile potrafił, przetłumaczył nazwisko swego cygańskiego ojca na język arabski.

— A kim była twoja matka?

— Była nią *vajdzina*, to znaczy księżna ludu zwanego Lombardami.

— Allah cię błogosławił, mój synu, że miałeś tak wielkich i sławnych rodziców. Ale muszą oni zamieszkiwać jakiś bardzo odległy kraj, bowiem słów, które wypowiedziałeś nie spotyka się w kraju Arabów.

Ponieważ Katombo był ostrożny, to nie udzielił żadnego wyjaśnienia, zwrócił się więc *kadi* kolejny raz do Said Abdullaha.

— Twoje nazwisko już zapisałem. Którą ze swych córek chcesz oddać za żonę temu oto Katombo Ibn Kanaveda el Vajda el Boinjari?

Zapytany, który podobnie jak pozostali nie potrafił ukryć uśmiechu z faktu, że Katombo nagle otrzymał tak długie i dumnie brzmiące nazwisko, odpowiedział.

— Młodszą.

— Ile daje on za nią?

— Zapłacił już tyle, ile mógłby dać sam król. Nie wezmę więcej od niego nic.

— Czy macie jeszcze jakieś uwagi?

— Nie.

— Złóżcie zatem podpisy na tym pergaminie.

Tak się też stało i *kadi* dołączył do tego swą pieczęć, i swój podpis, po czym podał Omarowi Bathu i Katombo odpowiednie dokumenty. Następnie podniósł się i rzekł:

— Wstańcie, aby uszanować powagę mego urzędu, będziemy się modlić słowami dziewięćdziesiątej siódmej sury Koranu:

W imię Boga miłosiernego i litościwego! Zaprawdę zesłaliśmy go w noc przeznaczenia! A co cię pouczy, co to jest noc przeznaczenia? Noc przeznaczenia, lepsza niż tysiąc miesięcy! Aniołowie i Duch zstępują tej nocy, za pozwoleniem swego Pana, dla wypełnienia wszelkich rozkazów. Ona to pokój, aż do pojawienia się zorzy porannej! — *kadi* uczynił krótką pauzę i dodał do tego co już zostało powiedziane.

— Mężowie, drzwi do pokoi waszych żon stoją przed wami teraz otwarte, prowadźcie je zatem tam, gdzie powinny być dla was niczym hurysy w raju, aby uszczęśliwić wasze serca i napełnić wasze ciała siłą, potrzebną w walce i trudach życia!

Obie pary nowożeńców opuściły komnatę. Pozostał tylko Said Abdullah i *kadi*. Gospodarz sięgnął za swą poduszkę i wyjął stamtąd wypełnioną złotem sakiewkę.

— ”Twoja dłoń powinna być hojna dla brata swego i sownie wynagrodzić sługę Proroka”, mówi Koran. To dla ciebie, *kadi*, bierz co ci się należy!

Urzędnik schwycił sakiewkę, nie kryjąc swej radości. Potem przez chwilę milczał, jakby walczył z jakąś decyzją, a wreszcie spytał:

— Czy będziesz dziś urzędował dla mężów swych córek ucztę, tak jak to przyjęło się wśród dzieci Proroka?

— Nie. Smutek i zmartwienie spadły na mnie i cały mój dom. Jesteś sędzią i wiesz o czym myślę.

— Tak, wiem.

— Czy naczelnik policji wszystko ci opowiedział?

— Był u mnie, — *kadi* zawahał się przez moment, ale widać bogaty prezent rozwiązał mu język, bowiem kontynuował półgłosem: — Przekazał mi swój urząd, abym sprawował go pod jego nieobecność. Wypływa o północy, twoim statkiem do Kairu.

— Moim statkiem, nie był przecież u mnie w sprawie jego wynajęcia?

— Nie ma zamiaru go wynajmować. O północy wkroczy wraz z dziesięcioma policjantami na twój *sandal*, aby popłynąć nim do Kairu, po to, żeby wicekról osobiście zobaczył statek i skutki walki jaka się na nim rozegrała.

Said Abdullaha ogarnęło przerażenie, bowiem pojął teraz, że mu nie będzie już w stanie go uratować, jeśli naczelnikowi policji uda się w ten sposób zakończyć całą sprawę.

— A tobie zaś rozkazał, abyś mnie i moich ludzi strzegł jak najpilniej?

— *Na 'am jakessa*, dokładnie tak jak mówisz — skierował swój wzrok na Abdullaha, mrugając doń, następnie skłonił się i szepnął: — Ile warta jest dla ciebie twoja wolność?

— A ile znaczy dla ciebie życie naczelnika policji?

— O widzę, że jesteś mądrym człowiekiem, Abu er Reisan. Wyjaw mi zatem, lecz szczerze swe zamiary!

— Ty zostaniesz naczelnikiem, jeśli obecny nie dopłynie do Kairu, a także nigdy już nie powróci ze swej podróży.

— Twoje myśli wydają się być moimi. Mów dalej!

— Co cenisz sobie wyżej, mą zgubę, czy swą pozycję?

— Allah obdarował mnie wszelkim dobrem, a także dał mi stanowisko. Naczelnik policji zaś powróci i ty będziesz musiał umrzeć!

— Sądzisz, że Said Abdullah boi się kata, i że z niewolniczą pokorą złoży swą głowę pod jego miecz? Kto będzie mnie pilnował aż do północy, ty czy on?

— Ja, ponieważ on nie ma na to czasu, musi się bowiem przygotować do podróży. Mam postawić dwunastu policjantów na straży twego domu, do czasu aż on nie powróci, a wychodzić i wchodzić będą mogli jedynie ci służący, którzy dostarczają ci żywność.

— W takim razie uważaj teraz na to co ci powiem. Przysięgam ci na brodę Proroka, że on nigdy już nie powróci, jeśli tylko ty przysięgniesz, że do północy będziesz trzymał swych policjantów z dala ode mnie. Uczynisz tak?

— Uczynię.

— Przysięgnij zatem.

— Przysięgam na brodę Proroka, że tak się stanie!

Podali sobie ręce. Następnie Said Abdullah wyciągnął niezwykle drogocenny pierścień i wręczył go *kadiemu*.

— Weź ten pierścień, niech on będzie gwarancją mej przysięgi. Jest ogromny i posiada większą wartość niż kilka sztuk złota. Możesz go nosić bez żadnych obaw ponieważ tutaj nikt go jeszcze nie widział.

— Twoja ręka jest niczym błogosławieństwo poranka. Allach niech będzie zawsze z tobą!
Salam aleik!

— *W'aleik*, pokój niech będzie z tobą!

Kadi oddalił się. Zrobił najlepszy interes jaki tylko mógł mu się kiedykolwiek trafić. Said Abdullah tymczasem wydał rozkaz jednemu ze swych czarnych służących, aby natychmiast wezwał obu zięciów. Gdy się pojawili podzielił się z nimi szczegółami rozmowy z *kadim*.

— Jedz ze mną! — zaproponował Omar Bathu — Nigdzie nie będziesz tak bezpieczny jak u mnie na pustyni.

— Tam także dotrą zbiry kedywa.

— Potrafię cię obronić!

— Będziesz mnie bronił i zginiesz wraz ze mną. Nie Omarze, bierz Sobeidę, dary które dla mnie przywozłeś i wracaj do swoich! Znam pewne miejsce, gdzie będę bardziej bezpieczny niż w dzikich górach Tibesti. Stamtąd będę czasami przyjeżdżał, aby odwiedzić ciebie i Sobeidę.

— *Fenfi el matrah di'!* Gdzie znajduje się takie miejsce?

— To taka samotna wyspa na morzu, z dala od wszelkich dróg, którymi płyną statki. Odkryłem ją, gdy byłem jeszcze *bejem* u wicekróla. Tam właśnie udam się z Katombo i Ayeschą, i tylko mewy unoszące się w przestworzach będą o nas wiedziały.

— Chcesz więc przepłynąć cały Nil?

— Tak, mym *sandalem* i mymi *dahanbijami* na które do północy załaduję cały swój majątek.

— I naczelnika policji, który także chce płynąć twym *sandalem*?

— Ten popłynie w kajdanach, w przeciwnym razie będzie oczekiwał dnia zmartwychwstania na dnie Nilu.

— Pozostanę z tobą do chwili, aż będziesz bezpieczny.

— Ty musisz opuścić Asjut jeszcze dzisiaj i troszczyć się wyłącznie o bezpieczeństwo Sobeide. Mam przy sobie Katombo i wielu wiernych służących, na których mogę polegać. To wszystko, teraz chciałbym porozmawiać jeszcze ze swymi córkami.

Niedługo potem pomiędzy rzeką a domem Abdullaha rozkwitło w nocnych ciemnościach bujne życie. Na *dahanbijach* dało się słyszeć odgłosy wnoszenia i ładowania najróżniejszych pak i skrzyń. Pracowite postacie uwijały się tam i z powrotem, i jedynie *sandal* stał samotny niczym morski potwór, który we śnie pozwala się cicho kołysać falom.

Tymczasem za miastem, w ciemnościach kwaterowała ta sama karawana, która wieczorem przybyła do Asjut. W jej środku leżał jeden z tych hodowanych przez plemię Bischann hedzinów, które uważano za najszlachetniejsze i najlepsze zwierzęta pustyni. Nosił jak można było dostrzec przy blasku gwiazd, wyściełany i obwieszony kosztownymi dywanami *tachtirewan*. Wśród jeźdźców którzy posiadali z wielbłądów i czekali w ich pobliżu panowała głęboka przejmująca cisza, którą przerwał dopiero, dający się słyszeć odgłos zbliżających się kroków.

Dwóch bosych służących dźwigało lektykę, za nimi z tyłu kroczyli Said Abdullah i Omar Bathu. Lektyka została postawiona na ziemi i otwarta. Wyszła z mej Sobeide. Gdy spostrzegła obcych mężczyzn, którzy mieli ją zabrać ze sobą, rzuciła się ojcu na szyję i wybuchnęła szlochem. Abdullah podniósł lekko jej zasłonę i pocałował ją w czoło.

— Nie płacz moje dziecko, bowiem me serce i tak już krwawi na myśl o twoim rozstaniu z Ayeschą. Ukryj swe cierpienie gdzieś w głębi serca, Allah bowiem jest łaskawy i sprawi, że znów się zobaczymy!

Szlochala nadal, dopóki nie znalazła się w ramionach Omara Bathu.

— Została mi zabrana i ponownie zwrócona. Teraz oddaję ją tobie lecz dziecko ma ojca tak długo, jak długo bije jego serce. Zobaczę się znowu z tobą i z nią.

— Mój namiot będzie zawsze otwarty dla ciebie, ilekroć twa noga zechce wstąpić doń, abys mógł tam cieszyć się ze szczęścia swego dziecka. Chętnie towarzyszyłbym ci aż do Kairu, jestem przecież najpotężniejszym spośród mego rodu i nie nazwisko mogłoby ci wiele pomóc. Ty wszakże nie przystałeś na to.

— Przywiódlbym cię jedynie do zguby, która czeka mnie w chwili, gdy zostanę pojmany. Znam cię i wiem, że moje dziecko będzie u ciebie bezpieczne. Żegnaj moja córko, żegnaj mój synu, żegnajcie i wy ludzie! *Salam aleikum*, pokój i szczęście niech będą z wami!

— *Salam aleik!* — krzyknęli na pożegnanie zebrani wkoło jeźdźcy. Sobeide zajęła miejsce w *tachtirewanie*, a łzy ciągle jeszcze kapały jej po policzkach. Po jej szczęśliwym powrocie do

domu to rozstanie nastąpiło zbyt szybko i nieoczekiwanie. Wielbłądy podniosły się z ziemi, jeźdźcy powsiadali na swe zwierzęta i po ostatnim *salam*, gromada formując się w karawanę ruszyła w drogę.

Jeszcze kilka minut stał tak Said Abdullah samotnie, aż zupełnie ucichły odgłosy znikającego w oddali orszaku. Wreszcie odwrócił się z westchnieniem i ruszył z powrotem. Nie kierował się jednak do swego pustego już teraz domu, lecz nad brzeg rzeki, gdzie czekali nań jego ludzie.

Gdyby to był dzień, to dałoby się ujrzeć, gdzieś poniżej nadbrzeżnej kafejki, płynące *dahanbije*, najpierw jedną, potem drugą, trzecią. Mając opuszczone jeszcze żagle starały się odbić od brzegu jak najciszej, pozwalając się z początku nieść tylko samej sile fal.

Na *sandalu* nadal jeszcze panowała taka sama cisza jak przedtem. Abdullah podszedł doń ukradkiem. Na brzegu obozowała tymczasem, przykucnąwszy pomiędzy różnorakimi linami i krokwiemi, pewna liczba mężczyzn, których Said wybrał spośród swych poddanych. Był z nimi również Katombo.

— Gdzie jest Ayescha? — spytał Said.

— Tam, siedzi na zwoju lin.

— Czy nie powinniśmy ulokować ją gdzieś w bezpieczniejszym miejscu? Mógłbym ją przecież „zaokrętować” na którejś *dahanbiji*, stamtąd zaś zabralibyśmy ją na pokład *sandala*.

— Ona nie chciała ani na chwilę pozostawać bez nas. Ma odważne serce i nie będzie nam w niczym przeszkadzać. Tu jest drabina sznurowa, gdy wszyscy już wejdą, przymocuj ją do liny i naciągnij tak, żeby Ayescha łatwo mogła dostać się na górę. Ja muszę już tam iść, ponieważ zbliża się północ i naczelnik może nadejść w każdej chwili.

— Bądź ostrożny mój synu, aby nasz plan zakończył się szczęśliwie.

Katombo wszedł do wody i pobrnął cicho aż do burty statku. Zwisiała tam z pokładu lina. Ujął ją i wspiął się w górę. Opierając się czubkami stop o burtę i trzymając się mocno liny, rozglądał się po pokładzie, aby dojrzeć wartowników. Siedzieli oni z tyłu, przy sterze, w świetle okrętowej latarni. Po ruchach ich ramion, Katombo poznał, że grają w kości. Szybko wskoczył na pokład i poczołgał się ostrożnie pomiędzy leżącymi tam wszędzie trupami, do luku prowadzącego do ładowni. Stamtąd ześlizgnął się po schodach na dół i podszedł do bocznej ściany, gdzie otworzył rozsuwane drzwi, na tyle wielkie, że mógł się przecisnąć przez nie jeden rostry mężczyzna. Katombo wiedział, że w ładowni, gdzie nie było teraz żadnego godnego wzmianki towaru, znajduje się wystarczająca ilość lin. Zabrał jedną, zamocował ją na gwoździu obok okienka i pozwolił jej swobodnie opaść po zewnętrznej stronie burty. Ludzie

Said Abdullaha spostrzegli linę i natychmiast jeden po drugim zaczęli wchodzić do wody, wspinać się go góry i wskakiwać na pokład.

W końcu na brzegu pozostał tylko Said Abdullah z Ayeschą. Abd er Reisan wszedł do wody, aby umocować drabinę sznurową do liny, którą następnie podciągnięto w górę i pospiesznie wrócił po córkę. Przeniósł ją przez wodę i postawił na chwiejących się szczebelkach. Chwytał następnie drabinę, tak aby ta się naprężyła i Ayescha łatwo już mogła wejść na górę. Tam odebrał ją Katombo i zaprowadził do wnętrza statku. Teraz wspiął się jeszcze do góry Said Abdullah i jako ostatni, wciągnął drabinę na pokład.

— Wszyscy na dół, do komory balastowej! — rozkazał przytłumionym głosem Katombo. — Tam chyba nikt nie będzie zaglądał, nawet, gdy statek będzie przeszukiwany.

Rozkaz został wykonany. Tymczasem Katombo zaprowadził swą młodą żonę do kabiny, którą wcześniej przygotował dla Sobeide. Wychodząc zaryglował drzwi kajuty i wrócił do Said Abdullaha, który czekał na niego przy luku.

Nie upłynęło wiele czasu gdy spostrzegli liczne postacie zbliżające się do brzegu.

— Nadchodzą — szepnął Said Abdullah — Teraz musimy wrócić do Ayeschy.

Gdy znaleźli się razem z dziewczyną, szczelnie zasunęli za sobą poluzowane deski. Kilka sekund później usłyszeli hałas, to *kaschef* wkraczał ze swymi ludźmi na statek. Potem w ładowni pojawili się ludzie, mający za zadanie przeszukać wszystkie kąty.

Stało się jednak tak jak oczekiwał Katombo, ludzie *kaschefa* wrócili na górę nie schodząc nawet do komory balastowej. Zaraz też dało się słyszeć skrzypienie pokładu oraz zwijanie lin. Potężne uderzenie na dziobie oznaczało podniesienie kotwicy. *Sandal* ruszył z miejsca, z podniesionym żaglem i rufą zawadzającą o brzeg, potrzebował czasu, aby nabrać rozpędu. Kiedy jednak fale znalazły dla siebie miejsce i wdarły się pomiędzy burtę a nabrzeże, *sandal* zaczął obracać się szybciej. Fale napierały z milczącą siłą na lewą burtę, przy prawej natomiast huczały, opierając się wodzie, dopóki rufa nie pożegnała się z lądem, a statek całkowicie nie podporządkował się nurtom rzeki.

— Czy on dobrze płynie!? — spytał Said Abdullah.

— Nie.

— Skąd możesz to wiedzieć!?

— Gdyby *sandal* płynął szybciej niż woda, musiałyby cały skrzypieć, trudno jednak usłyszeć najmniejszy choćby hałas, zatem tylko dryfuje.

— Stałeś się mądrzejszy od swego nauczyciela, Katombo i jeśli nadal będziesz studiował książki, zostaniesz wielkim i sławnym żeglarzem.

— Sama znajomość ksiąg nie wystarczy, trzeba też znaleźć się na pełnym morzu, a tam nigdy dotąd jeszcze nie byłem.

— Popłyniemy tam teraz.

— Tym statkiem?

— Tak, naszym „Rajskim Ptakiem”. Nie mogliśmy zabrać żadnego innego, by nikt nie wyśledził naszej kryjówki.

— Uważasz, że ten *sandal* jest zdolny do odbycia morskiej podróży?

— Nie nadawałby się do niej gdyby został zbudowany z tak bardzo płaskim dziobem jak inne statki rzeczne, ty jednak ostro osadziłeś go na kilu, i jeśli przerobimy trochę ożaglowanie, to przy nienajgorszych wiatrach będziemy mogli zaryzykować trwającą nawet wiele dni podróż.

Po pewnym czasie drzwi do kajuty obok zostały otwarte i do środka wkroczył naczelnik policji w towarzystwie jednego ze swoich ludzi. *Kaschef* rozparł się na poduszce po czym ziewając leniwie stwierdził.

— Zostanę tutaj, póki nie zaczniesz świtać, gdyby zdarzyło się coś ważnego, zawołajcie mnie. Przynieś mi jeszcze moją fajkę!

Policjant oddalił się. Katombo trącił Said Abdullaha.

— *Dilwakt!* Teraz! — szepnął.

— *Lesch!* Dlaczego!?! Nie spiesz się tak.

— Nie będzie lepszej okazji, żeby go pojmać, ponadto ludzie nie wytrzymają zbyt długo w komorze balastowej.

Katombo cicho odsunął rygiel, pociągnął drzwi do siebie i w tej samej niemal chwili złapał naczelnika za gardło, tak, że ten nie zdążył nawet krzyknąć. Następnie zaciągnął go do Abdullaha.

— Przytrzymaj go, zanim nie rozprawię się z tym drugim. Abdullah złapał jeńca, Katombo zaś wrócił do kajuty. Nie minęło kilka chwil, gdy pojawił się policjant trzymając w ręce fajkę. Natychmiast spostrzegł kogo ma przed sobą, nie miał jednak czasu na ucieczkę, bowiem Katombo ścisnął go za kark i szarpnął ku sobie.

W tej chwili usłyszał za sobą głośny krzyk, obejrzał się i zobaczył błyszczącą w blasku światła i wystającą z kryjówki lufę pistoletu. Szybko i zdecydowanie wyszarpnął zza pasa swój sztylet i ugodził nim policjanta w pierś. Abdullah popełnił błąd zabierając rękę z szyi naczelnika, który dzięki temu zyskał swobodę, wyciągnął pistolety i strzelił. Szczęśliwym trafem, kula nie trafiła nikogo, uderzyła w jedną z desek kryjówki

— Zabić go! — krzyknął Katombo, widząc upadającą na podłogę Ayeszę.

Było to tylko omdlenie, lecz Katombo sądził że została trafiona, rzucił się więc na naczelnika i wbił mu sztylet w samo serce. Potem zaryglował drzwi kajuty.

— Jesteś ranny, ojcze!?

— Nie — odpowiedział Abdullah

— Udaj się prędko do komory balastowej, wezwij ludzi i idź z nimi na pokład, nikt nie powinien nam ujść! Ja zostanę tutaj, przy Ayesche.

Said Abdullah wydostał się z kryjówki. W tym samym niemal momencie do drzwi kajuty gwałtownie zapukano. Katombo zajęty Ayeschą zupełnie się tym nie przejął.

— *Hamdulillah!* Bogu niech będą dzięki. Nie jest ranna — dopiero teraz stanął za drzwiami i wyciągnął oba swe pistolety.

— Naczelniku! Sidi! Efendi! — wołano z zewnątrz i kiedy nie usłyszano żadnej odpowiedzi, mocno kopnięto w drzwi.

Z pokładu dał się słyszeć głośny krzyk przerażenia i to była najodpowiedniejsza chwila dla Katombo, aby zaczął działać. Otworzył gwałtownie drzwi. Na wąskich schodach stało trzech mężczyzn, ostatni z ruchu właśnie się odwrócił, aby zobaczyć co się stało na pokładzie. Huknęły dwa strzały, potem trzeci, wszystkie celne. Niewielką przestrzeń wypełnił gęsty dym. Katombo ponownie zaryglował drzwi kajuty i skierował się ku kryjówce.

— Ojcze! Katombo! — usłyszał wołanie Ayeschy, odgłosy wystrzałów wyrwały ją z omdlenia.

— Tutaj Ayescho!

— Allachu, pomóż nam! Co się stało?

— Zwyciężyliśmy. Zostań tutaj, ja zaraz wrócę!

Wydostał się na pokład. W świetle gwiazd ujrzał jak Abdullah zabija policjanta, ostatniego, który tam jeszcze był.

— Załatwione!?! — spytał Katombo.

— Dopiero siedmiu. Gdzie są pozostali!?

— Martwi, na schodach prowadzących do kajuty.

— Zabierzcie ich na górę! — rozkazał Abdullah swoim ludziom. Po krótkim czasie, trupy leżały na przednim pokładzie obok poległych Asuańczyków. Ayescha wyczerpana ostatnimi przeżyciami dochodziła do siebie pod tym samym namiotem, w którym jeszcze tak niedawno przebywała Sobeide. Na pokład przeniesiono z ładowni kamienie, którymi obciążano zatapiane zwłoki.

Tymczasem po obu stronach rzeki, z tyłu za *sandalem* zabłyśły pochodnie z zapalonych trzcin. Na brzegach usłyszano strzały, jednak wspaniały statek zdążył odpłynąć tak daleko, iż nie można było niczego dostrzec.

W końcu oddano falom ostatnich zabitych i teraz najważniejszą sprawą było zatarcie siadów walki.

— Hej ludzie, zaczerpnijcie wody, wyszorujcie pokład i kajutę! — rozkazał Abdullah — Rankiem wszystko musi lśnić jak dawniej, wtedy podniesiemy żagiel i dogonimy nasze *dahanbije*.

Na pokładzie marynarze zaczęli się rażno uwijać, dozorował ich sam Abdullah. Katombo natomiast siedział w namiocie, starając się uspokoić swą młodą żonę i odegnąć od niej strach. Położyła głowę na jego piersi i zasnęła, kołysana pieszczotami. Także i zmęczonego przeżyciami Katombo zmógł w końcu sen.

OD KAPITANA DO ADMIRAŁA

Kiedy Katombo się zbudził, słońce stało już wysoko nad górami Dżebel Mokattam. Pokład lśnił czystością, nie było na nim najmniejszego śladu nocnych walk, na maszcie zaś trzepotały wciągnięte żagle. Mocno naprężone bez trudu łapały wiatr w swoje objęcia i już wkrótce prędkość *sandala* wzrosła ponad dwukrotnie. Nad połyskującymi w słońcu falami krążyły jaskółki, imienniczki statku, bowiem Arabowie nazywają je *Tijur el Dschennet*, rajskimi ptakami. Święta historia opowiada o nich, że nie chcąc opuścić wypędzonego z raju człowieka, przeleciały nad płonącym mieczem archanioła i dołączyły do wygnańca. W trzcinach harcowały — uważane przez tubylców za święte — białe, nilowe gołębie, nie zważając przy tym wcale na krokodyle, które niczym oblepione błotem drewniane kloce wylegiwały się, czy to na brzegu, czy na jakiejś piaszczystej ławicy. Gdzieś wysoko w powietrzu dał się słyszeć przeraźliwy krzyk sępa, gdyż zwinny sokół uderzył nań, by odebrać mu jego zdobycz. Wzdłuż brzegów ciągnęły się na przemian różnobarwne pola uprawne i zieleniące się plantacje, a nad wszystkim górowały giętkie pióropusze liści palm. Niekiedy można było zobaczyć na wpół odzianego *fellaha*, wsiadającego do swej nędznej łódki i wyruszającego na połów. Innym razem jakąś młodą wieśniaczkę, przechodzącą nad rzeką, aby napełnić wodą swój gliniany dzban, a potem ponieść go na głowie do domu.

Zdarzało się również widzieć pole, którego właściciel posługiwał się, ciągnionym przez woły drewnianym pługiem, tak prostym w swej budowie, jak ten, którego używali Egipcjanie już przed trzema tysiącami lat. Takie było tu życie, surowe i pełne osobliwości, stąd też zapewne tak urzekające wydawało się wszystkim cudzoziemcom.

Z wolna prąd rzeki stawał się coraz silniejszy i po kilku godzinach *sandal* prześcignął wszystkie trzy *dahanbije*. Podróż minęła szczęśliwie i „Rajski Ptak” nie doznawszy żadnego uszczerbku, rzucił kotwicę w Bulak, na przedmieściu Kairu.

Tutaj zaczęto czekać na *dahanbije*, a następnie po zabranii z nich najbardziej niezbędnych dla uciekinierów rzeczy, natychmiast sprzedano statki wraz ze wszystkim co na nich jeszcze pozostało. Ich załogi nic nie wiedziały o tym co się wydarzyło na *sandalu* i dlatego mogły zostać odprawione bez żadnych obaw.

Inaczej rzecz miała się z załogą „Rajskiego Ptaka”. Spośród tej, Said Abdullah zatrzymał przy sobie tylko najlepszych i najwierniejszych ludzi, zamierzając ich zabrać na swoją samotną wyspę. Wszystko to zostało poczynione w największym pośpiechu, dzięki czemu można było nie zwlekając opuścić Kair i popłynąć do Aleksandrii.

Także i tu „Rajski Ptak” dotarł pomyślnie i spokojnie, od razu też Abdullah ściągnął na pokład potrzebnych pracowników, aby dokonali na statku niezbędnych, zaplanowanych przez niego zmian. Liczono się z tym, iż przeróbki mogą zająć sporo czasu, a wyjście na pełne morze było obecnie wyjątkowo niekorzystne.

Porta Otomańska prowadziła wojnę z Anglią, która właśnie wysłała ogromną eskadrę swych okrętów wojennych na tureckie wody. Kilka z nich krążyło nieustannie w okolicach Aleksandrii.

Niewiele już pozostało do całkowitego zakończenia prac na *sandalu*, a Abdullah i Katombo dzielili się swoimi uwagami co do dalszej podróży. Dłużej nie mogli pozostać w Aleksandrii; nocą zaś zaufać można jedynie portowemu pilotowi, a podniesienie kotwicy w biały dzień, niechybnie groziło wpadnięciem w ręce nieprzyjacielskich okrętów.

— Lepiej jeśli zostaniemy — przekonywał Said Abdullah. — Bardzo trudno będzie teraz rozpoznać nasz *sandal*, ma przecież zmienioną nazwę. Ten zaś kto zechce obejrzeć jego takielunek, pomyśli że ma przed sobą jakiś mały przybrzeżny kliper.

— Łatwo poznać za to ciebie i mnie, nawet gdybyśmy nie opuszczali statku i nie odwiedzali żadnego *seraju* ani kafejki. Musimy znaleźć jakiegoś pilota, który potrafi wyprowadzić nas z portu nocą.

— A co potem? Trzymając się brzegu stale napotykać będziemy wrogie okręty.

— Sądzisz, że popłyniemy wzdłuż brzegu? Nie, ruszymy na otwarte morze.

— Jesteś pewien, że poznałeś już na tyle książki żeglarskie i że dasz sobie radę ze wszystkimi obliczeniami?

— Wezmę sobie do pomocy jakiegoś marynarza — roześmiał się Katombo.

— To już lepiej. Ja także znam się na morskiej żegludze. Trzeba być bowiem przygotowanym na różne ewentualności. Ale, ale... kim jest ten człowiek, który tak się pilnie przygląda nam i naszemu okrętowi?

— Który?

— No ten, koło portowego żurawia, w tym lewantyńskim stroju.

— Ach ten! Wydaje mi się, że przypomina Mameluka.

— Mameluka? Rzeczywiście! *Allah akbar!* Bóg jest wielki, a moje oczy zaś ogarnęła ślepotą. To ten sam Mameluk, który towarzyszył stale Omarowi Bathu, w czasie jego wizyt u mnie. Czyżby nas szukał? Zawołam go!

Nie trzeba było wcale głośno wołać, wystarczyło tylko skinąć, bowiem Mameluk patrzył właśnie w ich stronę. Na dany mu znak, zbliżył się i wszedł po kładce na pokład.

— *Salam aleikum!*

— *Aleik!* Kogo szukasz?

— Nie wolno mi znać nazwiska tego, którego szukam.

— Kto ci tego zabronił?

— Mój pan, Omar Bathu, bej Mameluków. Mam tu odszukać dwóch mężczyzn i jedną kobietę, a potem prędko wrócić z powrotem, aby zameldować, że pomyślnie udało im się dotrzeć do morza.

— Właśnie znalazłeś tych, których szukasz. Jak się miewa moja córka?

— Mój pan kazał ci powiedzieć, że jest zdrowa i szczęśliwa. Smuci się tylko tym, że nie możesz być u niej, wraz ze swą córką i synem.

— Jak to możliwe, że przybyłeś tak prędko do Aleksandrii?

— Mój pan dał mi swoje dwa najlepsze wierzchowce, bischarińskiego hedzina i tureckiego bułanka.

— Dlaczego więc nie przyszedłeś do mnie zaraz, skoro tylko mnie ujrzałeś?

— Poznałem cię wprawdzie, ale nie wiedziałem, czy ten statek należy do ciebie, mój pan bowiem opisał mi go zupełnie inaczej.

— Czy miałeś mi jeszcze coś więcej powiedzieć?

— Tak. To, że przepadł gdzieś *kaschef* z Asjut wraz z dziesięcioma swymi ludźmi; wiadomo już o tym w Kairze. Uważa się też, że to ty go zamordowałeś. Nie zatrzymuj się więc dłużej w Aleksandrii!

— Posłucham twej rady, a teraz zejdz na dół i pokrzep się!

— Nie mogę wcześniej spocząć, zanim nie wypełnię rozkazów mego pana. Czy chcesz, efendi, abym przysłał ci pilota, który mieszka w Rosette niedaleko stąd i na pewno będzie umiał wyprowadzić was nocą z portu? To jest brat mojej żony.

— Uczyń to, a dziesięć sztuk złota wpadnie ci do kiesy.

— Daj je jemu, jeśli już chcesz dać, bo ja muszę być posłuszny Omarowi Bathu i nie mogę niczego od ciebie przyjąć *Salam aleik!*

Pojawienie się Mameluka rozproszyło wszelkie wątpliwości i niejasności, wszystko zostało przygotowane do odpłynięcia, teraz oczekiwano tylko jego powrotu. Ale on nie nadchodził, zaczynało się już ściemniać i Abdullaha oraz jego zięcia coraz bardziej ogarniały złe przeczucia, kiedy jakiś człowiek, w którym od razu można było rozpoznać żeglarza wszedł na kładkę

— *Min inte?* Kim jesteś? — spytał badawczo Abdullah.

— Nazywam się Esla Ben Afram. Przysyła mnie mój szwagier.

— Kim jest zatem twój szwagier?

— Rozmawiałeś już z nim, efendi kiedy przyniósł ci pozdrowienia od Omar Bathu, beja Mameluków.

— *Fen huwe*, ale gdzie on jest teraz?

— Wrócił do swego pana, wiedząc, że nie zawiodę.

— Dlaczego jednak nie przyszedł tu z tobą?

— Nie chciał nawet słyszeć o żadnej nagrodzie.

— Kiedy będziemy mogli ruszyć?

— Natychmiast, gdy tylko rozkażesz, efendi. Wieje sprzyjający wiatr, a za dziesięć minut nastanie noc.

— Gdzie masz łódź, którą wrócisz z powrotem?

— Czeka na mnie na redzie.

— W takim razie możemy zaczynać!

— W imię bezgranicznie miłosiernego Boga! — dodaje prawdziwy muzułmanin i jak zwykle bije przy tym głębokie pokłony w stronę, w której znajduje się Mekka.

Nie tracąc czasu, podniesiono kotwicę i wciągnięto do góry żagiel. Nikt nie zwrócił uwagi na odpływający *sandal*, gdyby jednak było inaczej to należało sądzić, że zmierza on tylko do Rosette. Tymczasem *sandal* na wysokości owego portu zatoczył szeroki łuk i zbliżył się w stronę otwartego morza. Pilot stał na dziobie i głośno wdawał swe polecenia. Przy sterze zaś znajdował się Katombo i to on sam kierował statkiem.

Wieczór był bardzo ciemny, gwiazdy nie zdążyły zająć jeszcze swego miejsca na niebieskim firmamencie. Stopniowo komendy pilota stawały się coraz cichsze, aż nagle złapał on jakąś latarnię, zakreślił nią trzy razy w powietrzu koło, a potem postawił ją za osłoną. W odpowiedzi na ten sygnał dał się słyszeć krzyk mewy i prawie natychmiast ukazała się zmierzająca w stronę *sandala* łódź.

— Rzućcie linę, to moje czółno! — wyjaśnił pilot.

Uczyniono tak i na pokład wskoczył chłopak w wieku czternastu lat, łódź tymczasem została wzięta na hol.

— Czy widziałeś nieprzyjaciela? — spytał ojciec syna.

— Tak.

— Z bliska?

— Tak — chłopak skinął głową z taką miną, jakby cała rzecz nie była warta nawet wspomnienia.

— Gdzie on się teraz znajduje?

— Żegluj na północny-wschód czyli stąd wprost na wschód, kierując się do Danuette.

— No, to teraz mamy już pewność. Wywieście z przodu latarnię po to abyśmy mogli trzymać się szlaku!

Natychmiast zostało to wykonane i pilot znowu zaczął wydawać głośnie polecenia z zajmowanego na dziobie statku stanowiska. Mimo niebezpieczeństw jakie czyhały na tym szlaku udało im się w niecałe dwie godziny wyjść na pełne morze. Portowy pilot zbierał się właśnie do odejścia, kiedy Said Abdullah wyciągnął pełną garść złotych monet.

— Bierz! Zasłużyłeś na to w pełni.

— Sidi, zatrzymaj swoje pieniądze! Mąż mojej siostry prosił mnie, abym przeprowadził cię przez blokadę i uczyniłem to, bowiem chciałem przysłużyć się jemu i Allahowi. Twoje podziękowanie zatem miłsze mi jest, niż pieniądze.

Wszedł na reling i mimo panującej ciemności, z wielką pewnością skoczył w dół, do łodzi. Jego syn uczynił to samo i to z nie mniejszą zręcznością.

— *Salam aleik!* — dały się słyszeć oddalające głosy.

Fale uniosły łódź w górę i skryła się ona za nimi kiedy znów opadły. Tak wyglądało pożegnanie uciekinierów z ich ojczystymi stronami. Said Abdullah podszedł do Katombo.

— Czy wierzysz w to, że istnieją dobrzy ludzie, i że Allah darzy ich swą miłością?

— Wierzę, a przekonał mnie o tym właśnie ów człowiek.

— Allah będzie mu łaskaw, a także wszystkim tym, których los związał z nami. Teraz jednak oddaj mi ster, potrzebny ci jest wypoczynek; rankiem przejmiesz go z powrotem, a wtedy ja pójdę spać.

Katombo posłuchał, a kiedy się zbudził wszędzie dokoła widział tylko niebo i wodę. Statkowi udało się szczęśliwie wydostać z otoczonego portu na pełne morze. Nocą nie było to jeszcze takie pewne, tuż przed świtem mógł przecież łatwo ich zauważyć jakiś powracający do portu krążownik. Także sprzyjający wiatr i piękna pogoda sprawiły, że *sandal* przez prawie półtorej dnia mógł bez najmniejszych przerw i zakłóceń kontynuować swą podróż.

Drugiego dnia po południu Abdullah i Katombo siedzieli w namiocie u Ayeschy, podczas gdy jeden z ludzi stał przy sterze. W pewnej chwili pojawił się, należący do załogi Sawab i zaklaskał w dłonie, oznajmiając w ten sposób, że chce coś zameldować. Na wejście do namiotu nie mógł sobie jednak pozwolić, ponieważ znajdowała się tam kobieta. Katombo podniósł się i wyszedł na zewnątrz.

— O co chodzi Sawabie?

— Spójrz tam, sidi! — mówiąc to wskazał ręką na północ.

— Żagiel! — stwierdził Katombo.

— Jeden żagiel, sisi? Allah błogosławi twoim oczom, ale jeden z nas widzi fałszywie, a moje oczy nie zawiodły mnie jeszcze nigdy.

Katombo przeszukał wzrokiem cały horyzont, ale nie udało mu się odkryć niczego, ponad to co już zobaczył.

— W takim razie zawiodły cię teraz, ponieważ widać tylko jeden żagiel! — odparł.

— Sidi, wiesz przecież, że się nazywam Hadzi Sawab Ben Hadzi Kafur el Kerimi Ibn Hadzi Schehab el Kadiri Ibn Hadzi Ghanem en Nur i to co mówię jest prawdą, gdyż ten statek, który tam płynie, ma nie jeden, lecz bardzo wiele żagli.

Katombo nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Istotnie, tak rzecz ujmując racja jest po twojej stronie. Ten statek ma wiele żagli, ale marynarz nie powie nigdy widzę statek, lecz widzę żagiel. Musisz to sobie zapamiętać. Zawołaj Said Abdullaha.

Gdy ten przyszedł. Katombo pokazał mu statek.

— Pod jaką banderą może on płynąć? — spytał Katombo.

— Nie wiem i nawet nie chcę wiedzieć.

— Czy nie powinienem trzymać się bardziej południowego-wschodu?

— Aby wejść mu w kurs? Nie, to niepotrzebne, ponieważ widzę, że płynie on teraz ostro na południe i tym sposobem nie dojrzy nas.

— Przedtem wszakże płynął na południowy-wschód!

— To tylko tak się zdawało, teraz pod większym kątem można dostrzec wyraźniej, gdzie się kieruje. Wracam do namiotu, ty też tam przyjdź, jeśli tamten nie zmieni kursu!

Abdullah poszedł. Katombo obserwował zaś dokąd płynie obcy statek. Rzeczywiście teraz skręcił wyraźnie na południe. Gdzieś za kwadrans przepadnie za horyzontem, młody kapitan mógł więc wrócić do namiotu. Nie omieszkał jednak wdać polecenia Sawabowi, aby ten prowadził nadal obserwacje morza i natychmiast meldował, gdyby coś się wydarzyło.

Przepuszczenia potwierdziły się, gdyż po kwadransie służący ponownie zaklaskał w dłonie. Katombo wynurzył z namiotu tylko głowę.

— Co się tam dzieje?

— Statek zniknął, sisi.

— *Melih*, to dobrze!

Upłynęła godzina, gdy kolejny raz dało się słyszeć klaskanie Sawaba.

— *Fi chaber gedid?* Coś nowego? — spytał Katombo.

— Tak, sisi. Znów jakiś statek.

— I ma wiele żagli?

— Tak. Wygląda zupełnie jak ten poprzedni. Katombo opuścił pośpiesznie namiot.

— Gdzie on jest?

— Tam! Na południu, prawie wprost przed nami!

Katombo rozpoznał w nim ten sam statek, który płynął wcześniej na północ od *sandala*, a później zmienił kurs i pożeglował na południe.

— Sprowadź tu natychmiast Abu er Reisana!

Said Abdullah zjawił się pośpiesznie i nie krył zaskoczenia, widząc z jaką prędkością obcy statek przepłynął z jednej strony na drugą. Wziął do ręki lunetę i obserwował go z wielką uwagą.

— Katombo, jesteście zgubieni!

— Dlaczego?

— To okręt wojenny i do tego jeszcze prawdopodobnie nieprzyjacielski.

— Czy ma wywieszoną banderę?

— Nie, ale płynął przecież najpierw na północ względem nas, a potem zmienił kurs, tylko po to, aby odciąć nam drogę do Dorny. Tak, to pewne. Nie mogę tylko pojąć jak udało mu się przeprowadzić ten manewr z tak wielką prędkością. *Allah hjarif*, tylko Allah to wie.

— Podaj mi lunetę! — rzeki Katombo i uważnie zaczął spoglądać przez nią. — Masz rację, tylko Allah to wie, ale ja też.

— Skoro tak, wyjaśnij mi to

— To jest parowiec, korzystający także z siły żagli, kiedy tylko wiatr na to pozwala. Czy widzisz tę lekką smugę za jego rufą? Będzie coraz grubsza i ciemniejsza. Teraz znalazł się naprzeciw nas i ruszył pełną parą. Masz rację, on poluje na nas.

— Cóż mamy robić? Poddać się?

— Nie, będziemy się bronić.

— Ależ to niemożliwe, tam jest z dziesięć razy więcej ludzi niż u nas, nie mamy również dział.

— Chcesz im wydać na łup swoje dziecko i swój majątek?

— Oni nie prowadzą wojen z kobietami, zaś to co posiadam nie zostanie mi zabrane, bowiem nie jestem żołnierzem.

— Czyż zatem co uważasz za słuszne! Podporządkuję się twojej woli.

— Niech się wypowie w tej sprawie także i reszta załogi.

Okręt wojenny był już coraz bliżej. Załoga *sandala* uchodziła za bieglą w posługiwaniu się bronią i nie można jej było posądzać o tchórzostwo, jednak przeważać zaczął wśród niej nastrój

zwątpienia, z uwagi na przeciwnika, z którym przyszłoby się im zmierzyć. W tej sytuacji wszyscy prócz jednej osoby, wzięli stronę Said Abdullaha. Tą osobą był Sawab.

— *Allah akbar!* Bóg jest wielki, zaś mój oręż mocny i ostry. Dlaczego wierny miałby poddać się niewiernemu? Sprzątnę ich wszystkich tak jak szarańcza sprząta trawę z pól i liście z drzew.

Naturalnie nie udało mu się nikogo przekonać do takiego poglądu, groziło to bowiem skazaniem się na łaskę lub niełaskę ze strony załogi okrętu, gdyby ta rzeczywiście miała jakieś wrogie zamiary.

Tymczasem okręt zbliżał się już na odległość strzału, wnet też otwarto tam jedno z armatnich okienek. Zaraz potem kazano opuścić na *sandalu* żagle i wciągnąć banderę. Zasygnalizowanym poleceniom towarzyszył armatni wystrzał, oznaczający, że jeśli rozkazy nie zostaną spełnione, okręt otworzy ogień.

— To Anglik, a więc z całą pewnością nieprzyjaciel! — krzyknął Abdullah. — Banderę nie posiadamy, każ więc opuścić żagle!

Uczyniono to i z rosnącym niepokojem oczekiwano przybycia łodzi, którą Anglicy spuścili na wodę, po to, aby dostać się na statek. Łódź dopłynęła i na pokład *sandala* wszedł oficer z ośmioma marynarzami.

— Kto tutaj dowodzi? — spytał.

— Ja — odrzekł Abdullah.

— Do kogo należy statek?

— Właśnie do mnie.

— Skąd płyniecie?

— Z Asjut.

— Co? Czy to może być prawda? Ciekawe co statek pływający po Nilu robi na pełnym morzu! Dokąd to zmierzacie?

— Do Misraty.

— Gdzie są pańskie papiery?

— Nie mam żadnych, jestem uciekinierem.

— Dobrze sobie — zaśmiał się miody mężczyzna dowodzący przybyłymi. — Aby uciec z Egiptu, płynie się z Asjut przez cały kraj łodzią z takielunkiem klipera, by potem będąc już na pełnym morzu skierować się do Misraty, znajdującej się we władzy nikogo innego jak właśnie sułtana. Jakie jest pańskie nazwisko, mister?

— Said Abdullah.

— To bardzo piękne nazwisko, nie powstrzyma mnie ono jednak przed spełnieniem obowiązku. Muszę cię prosić panie o zgodę na przeszukanie twego statku.

— Czyń swoją powinność!

Oficer marynarki obrzucił najpierw spojrzeniem cały pokład, po czym zauważył:

— Ci zacni ludzie, są jak mi się zdaje nadspodziewanie dobrze uzbrojeni.

— Wiesz przecież, panie, że u nas każdy mężczyzna ma prawo do noszenia broni, nie znaczy to jednak wcale, że jest żołnierzem.

— No coraz lepiej, zobaczymy w takim razie kajutę i ładownię! Udał się tam w towarzystwie Abdullaha, podczas gdy wszyscy inni pozostali na pokładzie. Kiedy oficer wrócił, jego mina wskazywała, że nurtują go jednak jakieś wątpliwości.

— Wprawdzie niczego podejrzanego tu nie znalazłem, ale pańskie wyjaśnienia mnie nie przekonały, dlatego muszę wydać rozkaz przesłuchania osobiście pana i pańskich ludzi. Kto wypływa na pełne morze, zobowiązany jest posiadać wszystkie niezbędne dokumenty wyjaśniające cel i charakter jego podróży.

— *Maschallah!* Ma pan zamiar poddać takiemu przesłuchaniu samego kapitana? — wykrzyknął oburzony Abdullah.

— Nie jest pan żadnym kapitanem, tylko podróżującą statkiem prywatną osobą, która na dodatek budzi moje podejrzenia. Czy poddaje się pan?

— Jestem zmuszony.

Przeszukanie zostało zakończone, nie dając żadnego rezultatu. Już wydawało się, że Said Abdullahowi zostanie zwrócona wolność, gdy oficer, wzruszając ramionami, stwierdził.

— Nawet najmniejszy statek może posiadać jakąś kryjówkę służącą przewożeniu tajnych depesz, dokumentów i innych takich rzeczy. Co to za namiot?

— Przebywa w nim moja córka.

— Aha, w takim razie pokłonię się jej.

Podszedł bliżej i odchylił stanowiącą wejście kotarę. Dłoń Katombo przesunęła się po rękojęści sztyletu, ale oficer uklonił się tylko zasłoniętej kobiecej postaci w niezmiernie uprzejmy sposób i odszedł.

— Bardzo chętnie wydałbym panu zgodę na kontynuowanie podróży, ale wygląda na to, że nie będę jednak mógł. Gdzie pański sternik?

— Tutaj — odrzekł Katombo.

— Wy panowie będziecie mi teraz towarzyszyli w drodze na nasz okręt, chcę was bowiem przedstawić kapitanowi. To on zdecyduje co dalej.

Na jakiś sprzeciw, czy nawet zdecydowany opór było już za późno. Obaj wskazani musieli więc zejść do łodzi i popłynąć na okręt, na którego burcie można było przeczytać złoty napis — „Orzeł”. Weszli do góry po spuszczonej linowej drabince i tam na powitanie oddani zostali w ręce jakiegoś uzbrojonego marynarza.

Podporucznik tymczasem udał się na tylny pokład, aby złożyć meldunek. Po kilku chwilach wrócił po zatrzymanych. W namiocie pod gołym niebem zebrani byli oficerowie. Kapitan nie podniósł się nawet, gdy weszli obaj mężczyźni, ledwie skinął głową.

— Doniesiono mi o waszych zeznaniach — zwrócił się do Abu er Reisana. — Czy to wszystko prawda co pan powiedział?

— Wszystko.

— Czy chce pan coś do tego dodać?

— Nie.

— Nosi pan nazwisko Abdullah?

— Tak.

— A dokładnie. Said Abdullah?

— Rzeczywiście.

— Czyli jest pan dawnym przyjacielem wicekróla Egiptu?

— Zgadza się.

— W takim razie nie ma żadnych podstaw, aby wątpić w prawdziwość pańskich zeznań.

— A mimo to zawierają one kłamstwa, kapitanie — wtrącił jeden z oficerów, którego mundur nic posiadał żadnych dystynkcji. — Proszę niech pan spyta jeszcze raz sternika, czy nie nazywa się on przypadkiem Katombo!

Na dźwięk tego głosu Katombo odwrócił się, a kiedy ujrzał mówiącego strasznie pobladł. W jaki sposób ten człowiek, jego prześladowca i śmiertelny wróg znalazł się tu na morzu i do tego jeszcze na angielskim okręcie wojennym? Nie miał jednak czasu, aby się nad tym zastanawiać, bowiem natychmiast doszły go słowa kapitana:

— Jak pan się nazywa?

Opamiętał się szybko i odrzekł z całą mocą na jaką było go tylko stać:

— Katombo.

— A widzi pan kapitanie, że mam rację? — odezwał się znów ten sam co poprzednio oficer. — Ów człowiek, był kiedyś Cyganem, pewnego razu wdarł się do mego pałacu, chcąc go okraść. Został na tym przyłapany, więc zakłuł jednego z mych służących i zbiegł.

Twarz Katombo pobladła do reszty.

— Kłamca, łajdak! — wycedził. — Najpierw porwałeś mi moją ukochaną, potem kazałeś mnie uwięzić, a teraz...

— Dość tego! — zagrzemiał w tym momencie głos hrabiego von Hohenegg. — Kapitanie, słyszy pan, że ten człowiek jest obłąkany. Przybyłem na pański okręt, aby pogłębić moją znajomość marynarskiego rzemiosła, a nie po to, aby być znieważanym przez mordercę i włóczęgę. Niech pan spełni swój obowiązek! Przekonał się pan przecież, że ten człowiek jest tym, kogo wymieniłem.

Kapitan dał znak i natychmiast dziesięć twardych jak żelazo, marynarskich rąk ujęło Katombo, który nie był w stanie w żaden sposób wyrwać się z takiego uścisku.

— Ojczy, jestem niewinny, powiedz to Ayesche! — tyle tylko zdążył krzyknąć do Said Abdullaha; zaraz bowiem zawleczony został pod pokład.

Abdullah był tym nieoczekiwanym zajściem tak przerażony, że nie potrafił się zdobyć na cokolwiek, aby przyjść swemu zięciowi z pomocą. Teraz natomiast zwrócił się do kapitana:

— Kapitanie, tu doszło do jakiejś straszliwej pomyłki! Na Allacha i na Proroka, ręczę swym życiem i swym honorem, że ten człowiek, mąż mojej córki, nie uczynił nic z tego, o co się go obwinia.

— Mąż twojej córki? Ręczysz honorem? To wysoce niestosowne, mówić nam takie rzeczy. Teraz gdy pańskie zeznanie ukazują się w zupełnie innym świetle, jestem zmuszony zatrzymać i pańską osobę. Odtąd jest pan moim więźniem i niech pan dobrze uważa, nie tylko moim jeńcem wojennym, lecz także i więźniem kryminalnym. O pańskim statku i o rzekomo będących pańską własnością innych rzeczach, zadecyduję później.

Mimo wszelkich sprzeciwów. Said Abdullah został również zatrzymany.

Zaraz potem, do ośmiu ludzi znajdujących się już na pokładzie *sandala*, dołączyła załoga drugiej łodzi. Sformowany w ten sposób oddział aresztował Ayesche i poddanych jej ojca, po czym zabrał ich na pokład okrętu wojennego. *Sandal* został wzięty na hol. Na „Orle” włączono maszyny, wciągnięto żagle i podróż rozpoczęła się na nowo.

* * *

W międzyczasie zdążyło się już ściemnić. W jednej z kabin, w środkowej części okrętu siedział mężczyzna w tureckim stroju, w owym powszechnie znanym czerwonym fezie na głowie. Wyglądał na zamyślonego. Brwi miał ściągnięte, a jego usta poruszały się, kiedy spoglądał od czasu do czasu, przez małe okrągłe okno, z którego roztaczał się niezbyt rozległy

widok na morze. Wtem zapukano do drzwi, mężczyzna zawołał coś i w kabinie pojawił się marynarz z pełną tacą w ręce.

— Dobry wieczór panu, paszo!

— Dobry wieczór!

— Oto pańska kolacja. Czy ma pan może jakieś życzenie?

— Zamelduj mnie kapitanowi!

— Niestety tego nie mogę uczynić, paszo, kapitan nie chce już więcej z panem rozmawiać, ponieważ pan nieustannie domaga się rzeczy, których on spełnić nie może. Ponadto ma dzisiaj pełne ręce roboty.

— Prawdopodobnie z powodu tego statku, który zatrzymał?

— Tak.

— A skąd ten statek?

— Z Egiptu.

— Czy wiadomo do kogo należy?

— Do niejakiego Abdullaha.

Słyszac to Turek aż podskoczył do góry.

— Said Abdullah? On też jest uwięziony, podobnie jak ja?

— Tak, on i jego ludzie.

— Ilu ich jest?

— Razem z nim i ze sternikiem, osiemnastu. Turek milczał przez chwilę, potem spytał cicho:

— Czy nie powiedziałaś mi już kiedyś, że nie jesteście zadowoleni z kapitana i oficerów?

— Hm, tak. Nic podoba nam się, że tyle mamy obowiązków, a w zamian za to, tak diabelnie mało jedzenia! Ale powiedziałem to panu, tylko dlatego, że jest pan dobrym i nieszczęśliwym człowiekiem.

— Posłuchaj mój synu, jak się nazywasz?

— Baldwin Schubert.

— Masz rodziców i rodzeństwo?

— Tylko brata Thomasa, który jest czeladnikiem kowalskim.

— Czy chciałbyś być bogaty?

— Do licha gdyby to było możliwe, to nawet dzisiaj!

— Czy nie umożliwiłbyś mi zatem potajemnego spotkania z Said Abdullahem?

— Nie zdecydowanie nie, tego nie da się zrobić, jedyne co mogłoby mnie spotkać za to, to chłosta i to dziewięćdziesięcioletnia dyscyplina. Dobranoc panu, Paszo.

Marynarz wszedł i zaryglował kabinę. Tam w wąskim przejściu do ładowni przystanął jednak i począł się zastanawiać.

— A może powinienem to uczynić? Przecież najpierw i tak udam się w tej sprawie do Katombo. Wiem gdzie się znajdują a ponadto wszyscy myślą, że śpię już w swej koi, odpoczywając przed następną wachtą. Thomas tak wiele mi o mm opowiadał, o tym jak hrabia zabrał mu ukochaną a jego samego niewinnie wtrącił do więzienia jak majster Brandauer zaprzyjaźnił się z Katombo i dał mu pieniądze aby mógł uciec za granicę To byłoby wspaniałe, gdybym tak pewnego dnia przebył do domu i powiedział że ja także go ocaliłem!

Zakradł się na dół ładowni i podszedł do wykonanej z mocnych bali komórki tak niskiej, że człowiek mógł tylko w mej siedziec i zapukał.

— Katombo, panie Katombo!

— Kto tam? — zapytano ze środka.

— Zna pan kowala Brandauera w Fürstenbergu?

— Oczywiście. Ale kto tam?

— Czy przypomina pan sobie także Thomasa, który był wtedy jego czeladnikiem i wymawiał „p” zamiast „b”?

— Tak.

— Jestem Baldwin, jego brat.

— Jesteś bratem Thomasa? Co tu robisz?

— Służę jako marynarz.

— Jakie właściwie zadanie ma do spełnienia „Orzeł”?

— Miał patrolować te rejony, teraz jednak wraca do Anglii, ponieważ ma na pokładzie bardzo ważnego więźnia.

— Kogo?

— Maleka Paszę.

— *Maschallah*, wielkiego wezyra?

— Tak. Pojmaliśmy go na statku, którym zamierzał dotrzeć do Tanasu.

— A jego załoga?

— Także uwięziona, jako jeńcy wojenni.

— Gdzie?

— Z tamtej strony ładowni.

— A co z moimi ludźmi?

— Turków umieszczono przy bakburcie, a pańskich przy sterburcie.

— Gdzie jest Said Abdullah?

- Razem z nimi.
- A moja żona?
- Pańska żona? Ma pan żonę? Ach, to ta zasłonięta dama w kajucie hrabiego!
- W kajucie hrabiego? *Maschallah*, a któż ją tam umieścił?
- Sam hrabia, on natomiast zadowolił się pomieszczeniem obok.
- Czy widział jej oblicze?
- Nie, wiem to na pewno, ponieważ usługuję zarówno jemu jak jej. Ona jest diabelnie odważna i kiedy przyniosłem jedzenie, to nie oddała potem noża, i teraz grozi, że się nim przebije, jeżeli tylko ktoś spróbuje ją dotknąć.
- Czy przekazałbyś jej pewną wiadomość?
- To nie chce pan z nią sam rozmawiać?
- Żartujesz sobie ze mnie?
- Ani mi to w głowie. Majster Brandauer ocalił panu życie, jeśli więc on mógł, mogę i ja uwolnić pana.
- Mówisz poważnie?
- Tak Uciekniecie, a ja wymknę się razem z wami, dosyć mam już tego ciągłego niedojadania.
- No to od czego zaczynamy? Możesz mnie otworzyć?
- Jasne, zamek się składa tylko z dwóch drewnianych rygli.
- Mógłbyś się wystarać dla mnie o jakieś marynarskie ubranie?
- Fred ma jeszcze jedno w swojej skrzyni i nie od razu zauważy, gdy pożyczę go w tajemnicy.
- Powiadasz zatem, że wszyscy więźniowie przetrzymywani są w ładowni?
- Tak.
- Gdzie śpią oficerowie?
- W swoich kajutach.
- A marynarze i żołnierze?
- Pod przednim pokładem.
- Czy można go zamknąć od góry, z zewnątrz?
- Tak.
- Kajuty także?
- Tak.
- Czy mogę dostać się stąd do swoich ludzi?
- Tak, z łatwością.

— Ilu ludzi trzyma wachtę?

— Dwudziestu i oficer.

— Czy mój statek jest nadal holowany?

— Tak. Przeszukano go dokładnie, ale niczego nie zabrano.

— Dokąd zaniesiono naszą broń?

— Do podręcznej zbrojowni.

— Jak można się tam dostać?

— Tylko przez kajutę kapitana, którą komendant odstąpił hrabiemu i gdzie mieszka obecnie pańska żona.

— Aha, to da się załatwić. Czy znajdują się tu gdzieś jakieś duże gwoździe?

— Ile tylko pan zechce. A do czego?

— Aby zabić kajuty i luki. Postaraj się ich zdobyć ile tylko możesz i kilka młotków do tego. Złóż to na razie w jakimś bezpiecznym miejscu pod pokładem. Mnie zaś przynieś ostry, spiczasty nóż.

— Mogę ich przynieść więcej niż tuzin, kucharz ma ich pod dostatkiem.

— Wystaraj się także o zwój solidnych sznurów i rzemieni do związania zatrzymanych.

— Dobrze, postaram się.

— W porządku, kiedy zatem przyjdiesz?

— Podczas następnej wachty, kiedy wszyscy będą spali.

— Czy mógłbyś jeszcze zakraść się do moich ludzi?

— Tak. Oficerowie siedzą teraz przy stole.

— Uprzedź więc moich, a jednocześnie zobacz czy drzwi do zbrojowni są otwarte.

— Wszystko zostanie zrobione, panie Katombo.

Poszedł pozostawiając więźnia w stanie niesłychanego wzburzenia. Nie należało się wszakże temu dziwić, biorąc pod uwagę, że przebywał zamknięty w więzieniu przypominającym klatkę, a jego żona znajdowała się w rękach hrabiego, po którym można się było spodziewać najgorszego, gdyby oczekiwane wybawienie miało nie nadejść natychmiast. Czuł, że ma gorączkę, każda chwila zdawała się wiecznością. W tym ciemnym lochu utracił poczucie mijającego czasu. Już zaczął wierzyć, że marynarz zakpił sobie z niego, albo co gorsze przeszkodzone mu w spełnieniu obietnicy, gdy usłyszał ciche kroki zbliżające się w jego stronę. Rygiel został odsunięty i jakiś cichy głos powiedział:

— Niech pan wychodzi.

Katombo wygramolił się z ciemnicy, po czym z prawdziwą rozkoszą rozprostował kości.

— Masz nóż i powrozy?

— Tak. Przyniosłem nóż rzeźniczy, nóż do krajania, mnóstwo noży stołowych i całe naręcze sznurów.

— A gwoździe?

— Leżą na pokładzie w wielkim zwoju lin, przy środkowym maszcie. Dołożyłem do tego też cztery młotki, wszystko to wyniosłem z warsztatu cieśli.

— Czy byłeś u mojej żony?

— Tak. Boi się o pana i prosiła, aby pan nie ryzykował życia.

— A co ze zbrojownią?

— Jest zamknięta, ale kilka uderzeń siekierą wystarczy, aby wyłamać drzwi. Na górze wszyscy śpią, a wachta nie domyśla się niczego.

— Prowadź mnie więc, do moich ludzi!

— Proszę iść tędy.

Złapał go za rękaw i pociągnął przez ładownię, przyprowadzając przed drzwi, za którymi dało się słyszeć jakieś szmery, tak jakby ktoś grzebał w słomie.

— To tutaj.

Katombo odnalazł w ciemności trzy rygle i odsunął je.

— *Min di?* Kto tam? — rozległo się głośnie pytanie ze środka.

Otworzył drzwi.

— Abdullahu, mów ciszej! To ja, Katombo.

— Katombo? *Hamdulillah*, chwała Bogu, jesteś wolny?

— Tak. No, a wy, czy też chcecie być wolni?

— Nie pytaj nawet, daj nam tylko broń!

Zerwali się wszyscy na równe nogi, otoczyli go i wyciągnęli do niego ręce.

— Tak, daj nam broń! Broni nam trzeba, abyśmy mogli się uwolnić! Katombo rzekł ze spokojem:

— Słuchajcie, co wam teraz powiem: chcemy odzyskać nie tylko wolność, ale i zdobyć okręt, ten na którym się znajdujemy, gdyż inaczej zatrzymanoby nas już po kilku godzinach. Cała załoga, poza tymi która mają wachtę, śpi. Każdy z was dostanie nóż i sznury do wiązania. Prześlizgniemy się na górę i załatwimy tych na pokładzie, a trzeba to uczynić bez najmniejszego hałasu. Od tego bowiem zależy wszystko inne.

Gdyby za wcześnie został podniesiono alarm, będziemy zgubieni. Do wyznaczonych miejsc dotrzemy, czołgając się. Ty, ojcze, przekradniesz się wraz z Sawabem wzdłuż lewej strony pokładu i ewentualnie załatwicie znajdujących się tam wartowników. Wy trzej: Hafis Bako i Rahman podpełzniecie do środkowego masztu, leży tam zwój lin, a w mm gwoździe i młotki!

W wypadku gdybyście usłyszeli jakiś krzyk czy wołania, które mogłyby nam przeszkodzić, wyskoczycie natychmiast i zabijecie gwoździami tylny i przedni luk oraz wejście do kajut oficerskich. Każdy z was zajmie się jednym otworem. Ja biorę na siebie wachtę z prawej strony pokładu. Co dalej, zobaczymy, w zależności od tego jak się potoczą wypadki. I unikajcie niepotrzebnego rozlewu krwi! Czy wszystko jasne?

— Tak! — zaszeptano zgodnie, tylko Abdullah zapytał.

— Jak ma się Ayescha?

— Dobrze. A więc naprzód! Stać!

Katombo podniósł rękę aby ich zatrzymać, bowiem na górze dało się słyszeć właśnie jakieś kroki.

— To oficer robiący obchód — zauważył przestraszony Baldwin.

— Czy schodzi też tu, na dół?

— Tak, za każdym razem.

— Tym lepiej. Chodź ojcze! A wy zaczekajcie jeszcze!

Przymknął tylko drzwi nie ryglując ich już i wślizgnął się wraz z Said Abdullahem za schody. Rzeczywiście kroki idącego zbliżały się coraz bardziej, wreszcie zaczął on schodzić po wąskich stopniach w dół. Był to ten sam oficer, który zjawił się na *sandalu*. Miał ze sobą ślepą latarnię, i tak jak podczas każdego obchodu, chciał się przekonać, czy z więźniami wszystko w porządku. W tej samej chwili, kiedy zszedł z ostatniego schodka, wyłonił się ze swej kryjówki Katombo i złapał go z tyłu za gardło. Abdullah podniósł nóż do ciosu, ale młody kapitan powstrzymał go.

— Nie czyn tego! Potrzebuję munduru!

Ścisnął mężczyznę tak długo, aż ten osunął się nieprzytomny na ziemię. Abdullah ujął latarnię i przyświecił Katombo, który tymczasem ściągnął z leżącego ubranie, związał go i zakneblował. Następnie udał się raz jeszcze za schody i wkrótce wyszedł stamtąd, już w stroju oficera.

— No, a teraz naprzód! Każdy z was zna swoje miejsce i wie co do niego należy. Nie muszę wam chyba przypominać o co idzie gra.

— Czy nie byłoby dobrze uwolnić Turków? — spytał Balduin.

— To później. Teraz wchodziliby nam tylko w drogę i łatwo mogliby wszystko zepsuć. Naprzód!

Katombo ruszył na czele, dzierżąc latarnię i zdmuchnął ją dopiero w pobliżu głównego pokładu. Zaledwie jednak nań wszedł, ujrzał zbliżającą się ku niemu postać.

— Kto tu?

— Ront!

— Wszystko w porządku, nic się nie zda...

Nie zdążył wypowiedzieć słowa do końca, bowiem już przy pierwszej sylabie ścisnęła go mocno za kark ręka Katombo. Szybko też został związany i zakneblowany. Młody kapitan ruszył dalej, i jeszcze trzech kolejnych wartowników złożyło mu takie same, niepełne meldunki. Z przodu przy *stewenie*, belce podpierającej kadłub, spotkał Abdullaha i Sawaba.

— Jak idzie? — spytał swego ojca.

— Wszyscy są już unieszkodliwieni, za wyjątkiem sternika.

— Chodźmy więc. Ja się nim zajmę, a potem ty staniesz za sterem. Zabrał ze sobą drąg i poszli do tyłu. Katombo mocnym wojskowym krokiem, a Said Abdullah, w pewnej odległości za nim, skradając się po cichu.

— Ront? — spytał sternik, wychodząc ze sterówki.

— Tak, nocny patrol wojskowy! — przytaknął Katombo.

— Będziemy musieli wkrótce skrócić na północ, ponieważ właśnie przekroczyliśmy wysokość przylądka Mata...

Przy ostatnim słowie, nie podejrzewający niczego sternik, trafiony drągiem, padł na ziemię. Natychmiast wynurzył się z ciemności Abdullah.

— *Maschallah!* Ależ ty masz uderzenie! Z taką precyzją mógłbyś być nadwornym katem wielkiego sułtana. W porządku, biorę się za ster. Jak popłyniemy?

— Trzymając się dotychczasowego kursu, inaczej musielibyśmy manewrować, a do tego nie mamy ludzi. To i tak wielkie szczęście, że „Orzeł” płynie tylko pod żaglami. Gdyby przyszło nam obsługiwać maszyny, to by dopiero była zabawa.

— Co zatem czynimy?

— Ja... aha, właśnie nadchodzi ten, którego potrzebuję! — odwrócił się w stronę nadbiegającego Baldwina i spytał: — Gdzie śpią: maszynista i palacze?

— Tam, w szalupie, jeżeli nocą płynie się tylko pod samymi żaglami. W ciągu dnia zmuszeni są przebywać w takim gorącu, że wieczorem szukają na pokładzie wyłącznie chłodnego miejsca. Zapomniałem o nich, a przecież mogli pokrzyżować nam szyki.

— Dobrze się więc stało, że sprawowaliśmy się tak cicho, i że nas nie usłyszeli. Jak można się dostać do zapasów żywności i wody?

— Przez kuchnię.

— Czyli, że nie musimy przechodzić przez inne pomieszczenia?

— Nie. W dół do okrętowej spiżarni prowadzą tylko te drzwi, a klucz do nich posiada jedynie intendent.

— *Haindulillah*, w takim razie wygraliśmy! Czy wystarczy nam latarni i drągów?

— Jest tego tyle, ile pan tylko zechce.

— Chodźmy zatem!

Pospieszył na środkowy pokład, gdzie czekali nań jego ludzie. Tu rozdzielił ich i wydał niezbędne narzędzia wraz z poleceniem, aby zabili gwoździami, a następnie zaklinowali drągami wszystkie drzwi i luki. Narada skończyła się i ludzie rozeszli się dwójkami na wyznaczone pozycje.

Pod pokładem wszyscy spali, od kapitana, po ostatniego majtka. I oto nagle zabrzmiały na całym okręcie głośnie i rozliczne uderzenia młotków, które zbudziły całą załogę. Oficerowie i marynarze wyskakiwali ze swych koi, rzucając się ku drzwiom i ciężkim opuszczonym kłapom, stanowiącym wodoszczelne zamknięcie luków. Ku ogólnej konsternacji okazało się, że wszystkie wyjścia zostały zabite gwoździami. Coś musiało się zdarzać, być może podniesiono bunt, albo uwięzieni wydostali się na wolność? Tak oficerowie, jak i marynarze wyczerpali swe siły usiłując wyłamać drzwi i kłapy, ale daremnie, choćby bowiem puściły gwoździe, to i tak klinujące dodatkowo poszczególne drzwi i luki drągi, nie ustąpiłyby pod działaniem nawet dużej siły. Trudno się było więc dziwić, że hałas i wrzaski pod pokładem rosły z minuty na minutę.

Katombo tymczasem podszedł do szalupy. Pierwsze uderzenia młotków zbudziły maszynistów i wyglądało na to, że chcą opuścić to miejsce.

— Zostańcie tu! — rozkazał im.

Poznali oficerski mundur i posłuchali rozkazu.

— Czy potraficie bez niczyjej pomocy obsługiwać maszyny?

— Oczywiście! — powiedział, któryś z nich całkowicie zaskoczony pytaniem.

— A czy chcielibyście zarobić parę razy więcej, niż teraz zarabiacie?

— Oczywiście! — rozległo się powtórnie, ale teraz z większą gorliwością niż przedtem.

— W porządku, posłuchajcie zatem co wam powiem. Okręt znajduje się w rękach waszych niedawnych jeńców wojennych, zaś cała jego załoga w zabitej gwoździami ładowni.

— Dla...

— Cicho! Dla was, w odróżnieniu od nich, sprawy mogą przybrać pomyślny obrót, możecie bowiem zostać uwolnieni. Trzeba abyście zajęli się maszynami, dopóki nie dopłyniemy tam, dokąd my zmierzamy, prócz tego otrzymacie zapłatę pięciokrotnie wyższą od dotychczasowej. Jeśli zaś nie wyrazicie na to zgody, to także zostanieie uwięzieni. Odpowiedź dajcie natychmiast, nie mam bowiem czasu.

Zacząli spoglądać po sobie w nadziei, że któryś z nich coś powie. Wreszcie jeden, widać odważniejszy, odezwał się choć i tak, nim rozpoczął, drapał się przez chwilę za uchem.

— To jakaś iście diabelska historia! Nosi pan nasz mundur, a chce pan nas nakłonić do buntu. Hm, wyznaczono nas do obsługi maszyn, więc będziemy je obsługiwać tak długo, jak długo będzie się tego od nas wymagać. Teraz jednak najlepiej będzie, jeśli się jeszcze zdrzemnę, o nic się nie martwiąc. Wy zaś róbcie, co chcecie! Jest zbyt ciemno, aby móc zobaczyć co się tu dzieje, mogę więc poczekać do świtu.

Owinął się kocem i położył spać, a pozostali maszyniści poszli za jego przykładem. Katombo odszedł stamtąd, zostawiając na wszelki wypadek wartę. Kiedy już miał wkroczyć do kajuty kapitana, usłyszał dochodzącą z niej rozmowę. Przyłożył ucho do drzwi i zaczął nasłuchiwać.

— Muszę wyjść. Cofnij się, bo jeśli nie to użyję siły! — rozkazał jakiś męski głos.

— Niech pan nie próbuje nawet się ruszyć, bo przebiję pana, tym oto nożem! — padła na to odważna odpowiedź Ayeschy.

Wszedł do środka i stanął obok swej żony, mając naprzeciw hrabiego von Hohenegg. Ten aż się cofnął jakby ujrzał zjawę.

— Katombo!

— Tak, mój drogi! Przybyłem, aby panu pomóc pogłębić pańską „znajomość marynarskiego rzemiosła”. Powinien pan mianowicie dowiedzieć się, w jaki sposób mając do dyspozycji małą łódź pływającą po Nilu, zdobywa się tak potężny okręt wojenny, jak „Orzeł”. Jest pan moim więźniem!

Wszystko to wprawilo hrabiego w tak ogromne zdumienie, że nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. W tej chwili usłyszał Katombo kroki, obejrzał się i poznał trzech swoich ludzi, którzy przyszli po nowe rozkazy.

— Zabrać stąd tego człowieka i związać go!

— Związać... mnie...? Mnie, hrabiego von Hohehegg? Wyprostował się dumnie i spojrzał na Katombo wyzywającym wzrokiem.

— Hrabia von Hohenegg? Dobrze sobie! Wiedz, że jesteś nikim, co najwyżej zwykłym nikkczemnikiem, o niegodziwym sercu i duszy, którego powinienem rozszarpać, tylko, że brzydę się dotknięciem takiej kreatury. Związać go!

Hehenegg został złapany i wywleczony z kajuty. Na nic zdały się jego wysiłki, aby wyrwać się z uścisku mocnych, arabskich ramion. Nie minęły nawet dwie minuty, gdy hrabia leżał na ziemi.

— Zanieście go na dół, do tej klatki, w której mnie przetrzymywano i zaczekajcie obok! Przyjdę tam później.

Teraz został sam ze swą żoną. Ayescha chciała obsypać go pieścizotami i pocałunkami, ale Katombo odsunął ją łagodnie. Nie było ani chwili do stracenia, należało działać. Jednym uderzeniem siekiery otworzył drzwi prowadzące do zbrojowni. Było tam pod dostatkiem wszystkiego, czego tylko mogli potrzebować.

— Chodź na górę, na pokład, Ayescho i zostań na razie z ojcem, dopóki sytuacja nie zostanie opanowana. Wtedy będę miał czas, aby się tobą zaopiekować.

Zaprowadził ją do Said Abdullaha. Teraz zawołał „swojego” marynarza i zszedł z nim do kabiny, w której przebywał pasza. Młody kapitan otworzył ją i wszedł do środka.

— *Salam alejk!*

— *W'aleik!* Kim jesteś i co znaczy ten hałas?

— Nazywam się Katombo, a ten hałas znaczy, że jesteś wolny.

— *Hamdulillah!* Kto jest tym, który zwraca mi wolność?

— To ja!

— Ty? Nie znam cię wcale, także twego nazwiska nigdy nie słyszałem.

— Said Abdullah jest ojcem mojej żony.

— *Allah akbar!* Bóg jest wielki! Czy mam rozumieć, że zdołaliście się uwolnić?

— Tak właśnie się stało. Co więcej pojмалиśmy całą załogę „Orła”, a wraz z nią hrabiego von Hehenegg, który również znajdował się na pokładzie okrętu.

— Kto! Hrabia von Hohenegg? — wykrzyknął triumfalnie wielki wezyr.

— Czy to twój wróg?

— Jest wrogiem padyszacha. Przybył on do Stambułu jako wysłannik swego kraju i nadużył zaufania jakim tradycyjnie obdarza się osoby tej rangi. Oto bowiem w bezczelny sposób, wręczając łapówkę strażnikowi usiłował wkraść się do haremu sułtana. Został na tym przyłapany i tylko fakt, iż był przedstawicielem obcego kraju, ocalił mu życie. Niemniej został odesłany poza granice tureckiego państwa, co oznacza dla niego, że nie powinien więcej pokazać się w Stambule, jeśli miłe mu życie. Teraz wszakże został pojmany na nieprzyjacielskim okręcie, będziemy mogli zatem uznać go za wroga i w ten sposób również potraktować. Powiadam ci, że ta zdobycz jest mi miłsza od wygranej bitwy. Na brodę Proroka, wiele bym dał za to, aby on był nie twoim lecz moim więźniem.

— O tym będziemy mogli później porozmawiać. Niewykluczone, że ci go oddam. Czy wśród twoich ludzi są tacy, którzy znają się na obsłudze okrętu wojennego?

— Ależ tak, wszyscy oni to dobrzy marynarze.

— W takim razie udaj się na pokład! Odtąd ty jesteś tu jedynym władcą.

Pasza pospieszył na górę, zamierzając stawić czoła nowemu wyzwaniu. Katombo zaś zszedł wąskim przejściem na dół, do tej części okrętu, w której siedzieli zamknięci Turcy. Kazał Baldwinowi otworzyć drzwi, spoza których wydobywały się zatykające dech wyziewy. W blasku latarni dało się rozpoznać postacie więźniów, leżące w zgniłej słomie.

— Chcecie być wolni?

Zewsząd zabrzmiało jedno chóralne „tak”.

— Musicie jednak przyrzec, że będziecie posłuszni moim rozkazom, tak jakby to były rozkazy waszego pana. Maleka paszy!

— Przyrzekamy!

— *Ta'alu!* Chodźcie!

Stłoczeni w gromadkę, uformowali orszak, który po krótkiej chwili przybył na pokład. Tutaj Katombo zostawił ich w dużej kajucie na przednim pokładzie, sam zaś udał się do sterówki, gdzie Malek pasza od razu wyciągnął doń dłoń.

— Zdobyłeś okręt, wraz ze wszystkim co się na nim znajduje; zatem należy on do ciebie. Czy zechciałbyś zawieźć mnie do Stambułu?

— Spytaj o to Abdullaha! Bowiem jego życzenia są moimi.

— On mi już wszystko opowiedział. Łaska kedywa jest niczym źdźbło unoszone przy każdym podmuchu wiatru, ale łaska Allacha jest wieczna i niezmienna. Mój przyjaciel Abdullah udaje się wraz ze mną do Stambułu, klejnotu zdobiącego oblicze świata. Obiecał mi to, a tam dzięki sułtanowi będzie mógł zapomnieć o cierpieniach jakie go spotkały.

— Czy to prawda? — spytał Katombo ojca.

Ten skinął głową twierdząco.

— W takim razie ja również tam płynę. Lecz wcześniej, czy mógłbym cię prosić, wezryrze, abyś chciał spełnić tylko jedną moją prośbę.

— Wypowiedz ją, a zostanie spełniona.

— Zechciej proszę i przyjmij ten okręt ze wszystkim co posiada, jako mój podarunek dla ciebie!

— *Allah il Allah!* Czy mówisz to poważnie?

— Czyż mógłbym żartować z ciebie?

— Czy zatem hrabia też jest mój?

— Należy do ciebie i do sułtana. Zniszczył moją młodość i przez niego musiałem uchodzić za granicę. Dzisiaj Allah oddał go w moje ręce, ja jednak daruję go tobie, zyskasz bowiem, w co wierzę przyjaźń i przychylność sułtana, przywożąc mu takiego więźnia.

— Łaskawość sułtana nie ominie także ciebie. Bądź moim synem, tak jak jesteś synem mego przyjaciela i brata! Zostaniesz kapitanem?

— Tak.

— Potrafiłbyś płynąć tym okrętem?

— Tak, potrafiłbym.

— Ufam ci. Zostaniesz kapitanem do czasu, aż sułtan nie zdecyduje, abyś zajął się czymś lepszym.

— Jeśli tak ma się stać, to proszę cię bardzo, abyś powiedział twoim ludziom, że mają mnie słuchać. Najwyższy bowiem czas, aby zrobić porządek na pokładzie.

— Chodź!

Wezyr ruszył pierwszy, a Katombo za nim w kierunku obronnego kasztelu, nadbudówki na dziobie okrętu, gdzie teraz przebywali Turcy, którzy ujrawszy wezyra padli natychmiast przed nim na ziemię.

— Tak macie klęczeć i słuchać co wam powiem! Ten człowiek jest moim synem i przyjacielem. Przekazuję w jego ręce dowodzenie tym okrętem i macie być mu we wszystkim posłuszni, tak jak i mnie samemu! Teraz ty Katombo przemów do nich.

Wezyr odszedł aby zająć się sterem. Katombo przywołał do siebie również i swoich ludzi, i wkrótce jego wszystkie polecenia zostały starannie wypełnione i każde, najmniej ważne nawet stanowisko było ponownie obsadzone. Teraz nowomianowany kapitan mógł mieć nadzieję, że uda im się dotrzeć szczęśliwie do Sztambułu.

Całe to zamieszanie trwało już dobre kilka godzin. O ile jednak na samym początku, spod pokładu dochodził niewiarygodny wręcz hałas, to później zaległa kompletna cisza. Załoga okrętu pojęła, iż została wyprowadzona w pole, i że wszelkie próby zmiany sytuacji skazane były na niepowodzenie.

Tymczasem niebo na wschodzie pojaśniało, nadchodził nowy dzień. Maszyniści i palacze zeszli więc na dół, aby wzmocnić siłę żagli energią pary. Z *sandala* natomiast przetransportowano namiot dla Ayeschy, który ulokowano na tylnym pokładzie; zaraz obok znalazł sobie miejsce Katombo. Said Abdullah ciągle jeszcze stał za sterem, Malek pasza powrócił do kajuty kapitana, uznano bowiem, że tam będzie się czuł najlepiej.

W pewnej chwili podszedł do Katombo Sawab. Uczyniono go teraz sternikiem, więc starał się wypełnić tę nową funkcję z jak największym dostojeństwem.

— Sidi, tam na dole, gdzie znajdują się oficerowie, jeden z nich awanturuje się nieustannie, chcąc rozmawiać z kapitanem.

— Zwołaj tych ludzi, którzy nie są teraz niczym zajęci, daj im broń i wtedy pójdziemy do nich.

Broń została rozdana i pokaźny oddział ruszył pod drzwi owej kajuty.

— Sawabie, otwieraj! — rozkazał Katombo.

Drągi zostały usunięte, gwoździe wyciągnięte. Od razu też pojawił się kapitan, a za nim pozostali oficerowie. Wszyscy oni byli uzbrojeni po zęby, zdążyli jednak zmiarkować, że podjęcie jakiegokolwiek zbrojnej akcji, bez pomocy ze strony ich uwięzionych towarzyszy nie może się powieść. Postawa i zachowanie Katombo wskazały im człowieka, do którego należało się zwrócić. Oficerowie zatrzymali się, a kapitan wystąpił przed nich.

— Gdzie jest hrabia von Hohenegg?

Katombo zaśmiał się:

— Nie wydaje mi się, aby miał pan jeszcze prawo do zadawania jakichkolwiek pytań obecnemu tu, w mojej osobie, nowomianowanemu dowódcy „Orła”. Okręt ten jest bowiem od kilku godzin własnością sułtana ze Stambułu i ja na pańskim miejscu zachowałbym milczenie. Wyjątkowo jednak odpowiem na pana pytanie: Malek pasza jest wolny, Hohenegg natomiast znajduje się w tej samej klatce, w której pan kazał uwięzić mnie.

— Co hrabia... w tym lochu?

— Tak, ten szubrawiec... w tym lochu, jak pan zapewne chciał powiedzieć. W takich samych kazamatkach zamykano wcześniej najlepszych ludzi jakich udało mi się spotkać i to nie tylko jako więźniów politycznych, ale nawet jako kryminalnych, choć pan dobrze wiedział, że takimi nie są. Jeszcze jedno, czy pan mógłby mi powiedzieć, w jaki sposób hrabia znalazł się na pańskim okręcie?

— Dlaczego nie? Ta sprawa nie jest żadną tajemnicą. Jak panu może wiadomo, Norlandia nie zaliczała się do tej pory do morskich potęg. Obecnie postanowiono tam zmienić ten stan rzeczy. Księżę Norlandii zlecił hrabiemu von Hohenegg, aby ten zapoznał się z osiągnięciami obcych potęg, w dziedzinie morskiej sztuki wojennej. Wybór hrabiego padł na Anglię, a kraj ten nie miał żadnych powodów, aby odmówić jego prośbie odbycia praktycznych studiów na jednym z okrętów.

— Dziękuję panu kapitanie za pańskie wyjaśnienia. Sytuacja wszakże zmusza mnie do tego, aby pana i pańskich ludzi uznać za swoich więźniów. Jedynie od panów samych zależy w jaki sposób będziecie traktowani. Mam nadzieję jednak, że poddacie się dobrowolnie. Zechciejcie zatem panowie złożyć swoją broń!

Oficerowie zaczęli spoglądać jeden na drugiego, aż wreszcie kapitan odpiął swoją szablę, a następnie pozbył się również pistoletów. Pozostali poszli za jego przykładem.

— Zaczekajcie tu teraz spokojnie, dopóki nie zostaną przeszukane wasze pomieszczenia. Kto spróbuje cokolwiek tylko uczynić, zostanie zastrzelony!

Katombo wraz z Sawabem zniknęli w kajutach i długo trzeba było czekać zanim wrócili. Tym razem nowy sternik przytaszczył na ramieniu pakę pełną najróżniejszych rzeczy.

— Pozwoliłem sobie, wybrać nieco różności, które posiadają dla nas wielkie znaczenie, zaś wam nie przydadzą się już na nic. Teraz udajcie się za tym człowiekiem! Wskaże wam pomieszczenie, które dla was wyznaczyłem.

Sawab postawił pakę na ziemi i odprowadził więźniów. Teraz przypadła im w udziale połowa zajmowanego wcześniej pomieszczenia, resztę Katombo zatrzymał dla Ayeschy, Said Abdullaha i dla siebie.

Z kolei, musiał Sawab zanieść do kajuty Maleka paszy, wszystkie zarekwirowane papiery i dokumenty, potem otwarte zostały luki, trzeba było bowiem zająć się pozostałą częścią uwięzionej załogi. A to była już niełatwa sprawa. Ludzie ci bowiem musieli oddać broń i pozostać w zamknięciu. Był to krok absolutnie niezbędny, biorąc pod uwagę niewielką liczbę ludzi Katombo.

Przez cały ten czas wielki wezyr nie pokazywał się. Zapewne dokumenty, które przeglądał miały dla niego wielką wagę. Teraz jednak wyszedł na pokład i z miną, która aż promieniała od zadowolenia, skierował swe kroki ku Katombo.

— Allah błogosławi tobie i twojej ręce, czego bowiem by się ona nie tknęła, zawsze przynosi dobroczynne skutki. Instrukcje, które znalazłeś, są warte więcej niż dziesięć tysięcy sakiewek pełnych złota. Pokonaliśmy dziś wroga na lądzie i na morzu, nie staczając przy tym ani jednej bitwy i co jeszcze, nie tracąc ani jednego człowieka, Przeciwnie, zyskaliśmy jeszcze jednego i to nie byle kogo, właśnie ciebie, a więc kogoś przed kim otwarta jest droga do wszelkich zaszczytów jakie ma do zaoferowania Porta Otomańska. Uratowałeś mi życie, jestem ci winien wdzięczność, powiadam raz jeszcze zostań moim synem! Chcesz nim zostać!?

— Chcę!

— I noś odtąd imię, jakie nosił mój pierwszy i jedyny syn zanim anioł śmierci nie wezwał go do siebie!

— Jakie to imię!?

— Nurwan. Czy mogę cię tak nazywać!?

— Panie, proszę cię, uczyn to!

— Niech Allah błogosławi twoim przyszłym poczynaniom. Przywróciłeś mi wolność, a sułtanowi zapewniłeś zwycięstwo. Czekają cię za to wielkie zaszczyty i godności, wszakże bądź zawsze tak odważny i silny, wierny i szczery, nawet gdyby przyszło ci żyć na samotnej

wyspie, dokąd chcieliście się wybrać. I pamiętaj, że masz jeszcze jednego wroga, *Allah icharokilo!* Boże niech pochłona go płomienie!

I tak zupełnie nieoczekiwanie, los Katombo miał odtąd potoczyć się zupełnie inaczej. Co więcej, udało mu się uczynić pierwszy krok, przybliżający go do tytułu *kapudana paszy*, czyli sułtańskiego admirała

ZEMSTA KEDYWA

Od wydarzeń, opowiedzianych na poprzednich stronach minęło sześć lat. Był akurat marzec, jeden z tych gorących egipskich miesięcy. Słoneczny skwar lał się z nieba strumieniami. Nawet pustylny piasek nie mógł tego wytrzymać i odrzucał od siebie promienie, co sprawiało, że nad samą równiną unosiło się morze falującego żaru, przynosząc boi, wypatrującemu tęsknie, najmniejszego choćby skrawka zieleń, oku. Pustynią ciągnęła mała karawana. Na przedzie jechało na komach dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich miał już swoje lata, o czym świadczyła jego srebrnoszara broda. Mimo to sprawiał wrażenie człowieka silnego i wytrwałego, posiadającego te cechy, które są niezbędne w przypadku podróży przez pustynię. Drugi z jeźdźców był znacznie młodszy i potężniej zbudowany od swego towarzysza. Za nimi kroczył wspaniały, wytresowany wielbłąd niosący *tachtirewan*, w którym siedziała zasłonięta kobieta, trzymająca w swych ramionach dwuletnią dziewczynkę. Rysy dziecka pozwalały się domyślać wielkiej urody matki.

Następnym w kolejności był służący, który prowadził gromadę najlepszych jucznych wielbłądów. Orszak zamykało kilku uzbrojonych ludzi.

Jadący na czele mężczyźni prowadzili z sobą ożywioną rozmowę.

— Czy jesteś pewien Katombo, że jedziemy dobrą drogą? — spytał starszy z nich.

— Tak ojcie — odparł zapytany — Wiem dokładnie, że wieczorem, czyli za jakieś dwie godziny dotrzemy do oazy

— *Hamduhllah*! Oczywiście, że dla nas taka podróż nie jest niczym strasznym, ale Ayescha i dziecko nie mają tyle sił co my i oczekują końca tej wędrówki. Jak sądzisz, co powie na to Omar Bathu!?

— A Sobeide? Zapewne nawet nie przeczuwają, że przybędziemy, dlatego chyba ich zaskoczenie będzie równie wielkie jak radość, jaką sprawi im nasza wizyta.

— Sześć lat! Tyle czasu już się nie widzieliśmy. Dla ciebie ten okres był szczęśliwy, ale dla Omara nie. Ty zostałeś admirałem w służbie sułtana, jego zaś skazano na śmierć. Rozniosła się bowiem pogłoska, że to on właśnie był zamieszany zarówno w zabójstwo namiestnika Asuanu, jak i w naszą ucieczkę. Udało mu się co prawda ująć z życiem, ale musi teraz niczym banita i przestępca żyć na pustyni, gdyż jedynie tam może czuć się bezpieczny.

— Tak, to przykra sprawa, ale przecież jego nieszczęście nie jest tak wielkie jakby się mogło wydawać. On i Sobeide kochają się, zaś jego Mamelucy są mu niezmiernie wierni. Użyję wszystkich moich wpływów, żeby kedyw zezwolił mu na powrót do Kairu.

— Sądysz, że twe wpływy sięgają aż tak daleko? Wicekról jest prawie niezależnym władcą kraju, w którym rządzi. W Egipcie obecnie wola sułtana znaczy tyle co nic. Poza tym musisz wziąć pod uwagę, iż dla wicekróla jesteś jedynie kimś, komu należy się kara.

— To zależy będzie jeszcze od tego, czy rozpozna on w Nurwanie paszy tego Katombo, który wywiódł w pole i pokonał namiestnika Asuanu. Zatrzymajmy się na chwilę! Co to może być?

Wskazał ręką przed siebie, gdzie w polu widzenia pojawiło się kilka białych punkcików, zbliżały się w ich stronę.

— Czy to nieprzyjaciel? — spytała zalekniona kobieta.

— Nie sposób tego wiedzieć Ayescho, — odprął Katombo. — Prawie każdy mieszkaniec pustym, jest mniej czy bardziej rozbójnikiem lub złodziejem.

— I zdaje się, że ci obcy stanowią wcale liczną grupę — zauważył Said Abdullah. — Może spróbować ich policzyć, Katombo?

Ten przyłożył rękę do czoła, aby nie oślepiało go słońce i zaczął liczyć.

— Pięciu... dziesięciu... dwunastu... dwudziestu! Są od nas liczniejsi.

— Mimo to będziemy się bronić!

Jeźdźcy byli coraz bliżej. Ich białe burnusy z kapturami połyskiwały w słonecznym świetle. Spostreegli już wędrowców i teraz rozciągnęli się w tyralierę, której skrzydła wysuwały się z wolna ku przodowi tak długo, aż karawana znalazła się w okrążeniu.

Ayescha trzęsła się z przerażenia, z całej siły przy ciskając do siebie córeczkę.

— Nie walczcie, lepiej się poddajcie! — prosiła.

— Uspokój się — rzekł Katombo, — nie musimy się niczego obawiać. Znam jednego z tych ludzi. Był z Omarem wtedy, gdy ten zabrał ze sobą Sobeide.

Jeźdźcy wywijali groźnie swymi dzidami i flintami, a kiedy krąg dookoła małej karawany zamknął się, ich przywódca spytał:

— Kim jesteście?

— Jesteśmy podróżnymi szukającymi jakiejś oazy i nie mamy względem was żadnych wrogich zamiarów.

— Skąd przybywacie?

— Z Egiptu.

— A dokąd się kierujecie?

— Pytasz jakbyś był urzędnikiem policyjnym. Kto upoważnił cię do sprawowania władzy na pustyni?

— Urzędnikiem policyjnym? Jestem wolnym człowiekiem, nie zaś jakimś niewolnikiem. Prawdziwy Arab nie może być niewolnikiem.

— W takim razie ruszajcie w swoją stronę, a my w swoją!

— Zdaje mi się jednak, że jedziemy w tę samą. Przybywacie z Egiptu, a to nam się zbytnio nie podoba. Jestem zmuszony zabrać was, do naszego szejka.

— Jak brzmi jego nazwisko?

— Być może poznasz je wkrótce!

— Znam je już teraz. Twoim panem jest Omar Bathu, a to jego właśnie szukamy.

— Znasz go? Kto ci o nim powiedział?

— Jesteśmy jego przyjaciółmi. Prowadź nas do niego.

— Jeśli jesteś jego przyjacielem, nie musisz się niczego obawiać; jeśli jednak jesteście jego wrogami, czeka was zguba. Ruszajmy!

Licniejsza teraz karawana wznowiła swą przerwana podróż. Musieli już być w drodze dobrą godzinę, kiedy w oddali zamajaczyła sylwetka jakiegoś jeźdźca, dosiadał on zapewne jednego z tych wspaniałych hedżinów, bowiem zwierzę pędziło tak szybko, że już po pięciu minutach zbliżył się do karawany na odległość głosu. Jeźdźcem był młody człowiek, obwieszony od stóp do głowy bronią. Wydawał się zupełnie nie przejmować liczebnością napotkanej grupy, gdyż spokojnie podążał w jej kierunku i zatrzymał się dopiero kiedy był już na równi z Beduinami.

— *Salam aleikum!* — rzekł na powitanie, podnosząc rękę do czoła.

— *Sal...al!* — odparł krótko dowódca grupy. Musiał odwzajemnić pozdrowienie, ale wypowiedział je w taki sposób, aby było wiadomo, że nie wie jeszcze czy może potraktować obcego przyjaźnie. — Skąd przybywasz?

— Z Blidy.

— To bardzo daleko stąd. A dokąd zmierzasz?

— Do Korosko.

— Tam też jest daleko. Do jakiego rodu należysz?

— Jestem synem Beni Solimana i nazywam się Mehem al Olahad.

— Solimanowie są pasterzami, których sercu bliski jest pokój. Ty zaś masz na sobie pełno broni.

— Czy nie wiesz, że na pustyni żyją karawany rozbójników, a nocami wychodzi na łowy „pan z wielką głową” lub inaczej mówiąc lew? Przecież i ty nosisz broń, a powitałem cię po przyjacielsku.

— Widzę i ja w tobie przyjaciela, jedź zatem z nami! Będziesz mógł w naszej oazie znaleźć dość wody i jadła dla siebie, i dla twego zwierzęcia.

— Jak nazywa się szejk, który tu panuje?

— On sam poda ci swe nazwisko. Chodź!

I tak oto obcy dołączył do karawany.

Słońce tymczasem pochyliło swe oblicze jeszcze bardziej ku ziemi i niewiele czasu brakowało do nadejścia zmierzchu, kiedy z oddali wynurzyły się zielone pióropusze palm. Wkrótce dotarli do jednej z owych suchych dolin pustynnych, zwanych *wadi*. Ta jednak dzięki znajdującemu się tam źródłu wyróżniała się swą niecodzienną urodzajnością. Pod wysmukłymi palmami, uginającymi się pod ciężarem dorodnych daktyli rozbitych było około sześćdziesięciu namiotów, z których największy znajdował się dokładnie w samym środku oazy.

Stał przed nim władca tych terenów, Omar Bathu. Owe sześć lat wygnania prawie wcale nie pozostawiło śladu na jego powierzchowności. Twarz miał mocno opaloną, a sam wydawał się jeszcze roślejszy i silniejszy. Spoglądał przed siebie, na wschód, skąd zbliżała się karawana. W pewnej chwili uchyliła się kotara namiotu i wyszła stamtąd Sobeide. Przejęła zwyczaj panujący wśród kobiet Beduinów i nie nosiła zasłony. Także i ona niewiele się zmieniła.

— Czy nie mógłbyś już przyjść, kochanie? Jedzenie gotowe.

— Chciałbym bardzo, ale nadjeżdżają nasi ludzie prowadząc jakiś obcych.

— Któż to może być? Pojmani wrogowie?

— Tego nie wiem. Ale popatrz, musi być wśród nich kobieta, gdyż jeden z wielbłądów dźwiga *tachtirewan*.

Nadjeżdżający szybko zbliżali się do oazy, bowiem zwierzęta zdążyły wyczuć wodę i wyraźnie przyspieszyły kroku. Twarz Omara Bathu wyrażała jeszcze większe napięcie niż przedtem, za to oczy jego ukochanej nie straciły swej przenikliwości. W pewnej chwili bowiem, Sobeide wykrzyknęła:

— Przecież to mój ojciec!

Rozpostarła szeroko ramiona i rzuciła się naprzeciw. Said Abdullah zeskoczył z konia i porwał ją w swe ramiona.

— Moje dziecko, moja córko!

Obsypał ją pocałunkami pełnymi ojcowskiej czułości, a potem pokłonił się Omarowi, który w tym czasie zdążył uścisnąć dłoń Katombo. Z *tachtirewanu* wysiadła Ayescha, teraz radość nie miała już końca. Wszystkim mieszkańcom obozu udzielił się nastrój radosnego podniecenia.

Beduinowi z rodu Beni Solimana było to na rękę, nie tracąc czasu mógł zająć się tym co miał do zrobienia. Bowiem jako gość mógł się w oazie zatrzymać i odpocząć.

Wieczorem znów wszyscy razem siedzieli pod palmami i opowiadali sobie nawzajem o minionych latach. Również Sobeide dała swemu mężowi córeczkę, która liczyła już pięć lat. Obie rodziny kontaktując się, mogły przekazywać sobie tylko najważniejsze wiadomości, bowiem miejsce Omara Bathu zmieniało się bardzo często i nieustannie musiało być utrzymywane w tajemnicy, teraz więc mówiono o wszystkim.

Od strony źródła dochodziły dźwięki *rababy*, w rytm wygrywanej melodii tańczyło kilka dziewcząt. Wszyscy mężczyźni zebrali się w tamtym miejscu, dlatego też Ayescha uchylła swą zasłonę, ukazując w promieniach gwiazd i księżyca swe piękne oblicze. I chociaż wydawało się, że dokoła nie ma nikogo dostrzegło ją oko nieproszonego gościa. To ów obcy Beduin zakradł się tutaj i zza pobliskiej palmy obserwował uważnie naszych bohaterów. Udało mu się także podsłuchać rozmowę i ze swej kryjówki wycofał się dopiero, gdy spostrzegł, że wszyscy udają się na spoczynek.

Oaza pogrążyła się w głębokiej ciszy, także na pustyni zrobiło się cicho, niekiedy tylko z oddali dało się słyszeć szczekanie szakala czy głuche wycie hieny.

Dopiero teraz Beduin podniósł się z posłania na którym leżał, przekradł się pomiędzy dwoma namiotami i przez nikogo nie zauważony ruszył na pustynię. Szybkim krokiem przemaszerował w tym samym kierunku, z którego przybył. Po około kwadransie, przystanął i krzyknął naśladując głos sępa; odpowiedziano mu natychmiast. Podążył w tę stronę i wkrótce stanął przed mężczyzną, który wyrósł nagle jak spod ziemi.

— Czy tym razem Nasafi, to już jest ten właściwy ród Mameluków?

— Tak, sisi.

— A więc mam go i zdobędę nagrodę, jaką kedyw wyznaczył za jego głowę. Czy jest u siebie?

— Tak! Widziałem go i rozmawiałem z nim.

— Pójdziemy twoim śladem, bowiem tamte pomieszały się już z wielu innymi. Kogo spotkałeś?

— Ludzi Mameluka i małą karawanę, która kierowała się właśnie do niego.

— Kto to był?

— Dwóch mężczyzn, jedna kobieta i dziecko. Omar Bathu zwracał się do nich: Katombo i Abdullah, a kobieta okazała się siostrą jego żony.

— Abdullah? Toż to jest Said Abdullah, Abu er Reisan i Katombo, to oni przed sześciu laty zamordowali *mudira* Hamd el Areka, a potem uciekli. *Hamdulillah!* Chwała Bogu, że

znalazłem razem wszystkich tych, których szukałem, zostaną albo uwięzieni, albo zginą. Opisz mi oazę!

Nasafi, który w rzeczywistości nosił zupełnie inne nazwisko, spełnił rozkaz.

— Ilu mężczyzn mogących walczyć znajduje się tam obecnie?

— Około sześćdziesięciu.

— Przewyższamy ich zatem liczebnie, zresztą nie mieli będą czasu, aby się bronić, bowiem zaskoczmy ich w czasie snu. A teraz wracaj i czekaj, aż przybędę z janczarami! Usłyszysz krzyk orła i jeśli wszystko będzie w porządku, odpowiesz udając śpiew słowika.

— Jestem ci posłuszny, sidi! Ale czy to konieczne, abym wracał sam?

— Boisz się? Musisz szybko tam wrócić, bowiem jeśli twoja nieobecność zostanie zauważona przed naszym przybyciem, plan może się nie powieść.

Nasafi powrócił ukradkiem do oazy. Wydawało się, że nikt nie spostrzegł jego zniknięcia, ale gdy tylko pojawił się koło swego wielbłąda, tam gdzie miał posłanie, nagle pojawiła się wysoka postać Katombo.

— Gdzie byłeś?

— Poszedłem przepędzić hieny, ich wycie nie pozwalało mi zasnąć.

— Słyszałem hieny, ale z prawej strony, ty zaś przyszedłeś z lewej. Nie mówisz więc prawdy!

— Moje usta nie mówią kłamstw!

— Lecz właśnie skłamały! Skąd masz te pistolety, które wystają ci zza pasa?

— Myślisz może, że zostały skradzione albo zrabowane? Kupiłem je.

— Gdzie?

— W... w Asjut.

— W Asjut? Aha! A u kogo?

— U handlarza bronią Omrah el Barata.

— Jesteś nadzwyczaj mądry, ale tak się składa, że pochodzę właśnie z Asjut i wiem dobrze, że nie ma tam żadnego handlarza bronią o tym nazwisku. Przyjrzałem się im dzisiaj starannie, takie same noszą ludzie kedywa; jesteś zatem albo Albańczykiem, albo janczarem.

— Jestem z rodu Ben Solimana!

— I nazywasz się Mehem ał Olahad? W Egipcie rzeczywiście mówi się Olahad, ale wśród Solimanów, Ulahad. Sam się zdradziłeś i albo wyznasz prawdę, albo będziesz zgubiony.

— Nie powiem nic więcej, prócz tego co już powiedziałem.

— W takim razie jesteś moim więźniem! — Katombo wykonał ruch, chcąc złapać mężczyznę.

— Jeszcze nie — odparł tamten.

Zanurkował pod ramię Katombo i wyrwał sztylet z pochwy. Następnie zmierzył się chcąc zadać cios, Katombo jednak był szybszy i zdołał złapać go za rękę.

— Morderco! Teraz zapłacisz za to życiem!

Trzymał Beduina w mocnym uścisku. Tymczasem wystarczył jeden głośny krzyk, aby zbudzić wszystkich śpiących. Synowie pustyni są przyzwyczajeni do niebezpieczeństwa, i żaden krzyk nie odbiera im zdolności działania ani nie pozbawia przytomności umysłu.

— Ludzie tutaj! Ten obcy jest zdrajcą!

Nasafi został w mgnieniu oka otoczony, Katombo opowiedział zebrany co się wydarzyło. Abdullah i Omar także zdążyli już nadbiec. Księżę Mameluków obejrzał dokładnie broń winowajcy.

— Tak, to janczar i ma tu gdzieś blisko współników... — odwrócił się, zwracając się do schwytanego. — Przyznajesz się do tego?

— Nie przyznaję się do niczego!

— Zatem zginiesz!

— A ze mną i wy wszyscy! Takie jest wasze przeznaczenie!

— Aha, teraz się zdradziłeś. Związać go!

Beduin został rozbrojony i związany.

— Musi nam wyznać czy jest Albańczykiem czy janczarem — odezwał się Katombo. — Człowieku, czy słyszałeś kiedyś jak nazywa się obecny admirał w służbie sułtana?

— Nurwan pasza.

— Zgadza się. To ja jestem Nurwan pasza i rozkazuję ci wyznać prawdę!

— Łżesz!

— Przynieść tu pochodnię!

— Umiesz czytać? — spytał Katombo, gdy pochodnia została przyniesiona.

— Tak.

— Rzeczywiście, pasterz z rodu Ben Solimana i czytanie! Czytaj! Wyjął kawałek pergaminu i podsunął go Beduinowi przed oczy. Pojmany rzucił tylko jedno spojrzenie na sułtański paszport i pobladł.

— Czy wierzysz już teraz w to, że jestem Nurwan pasza?

— Tak.

— A teraz na kolana, psie! Rozkazuję ci mówić prawdę! Spróbuj dalej kłamać, a zostaniesz zachłostany na śmierć.

Pojmany rzucił się na kolana.

— Pytaj panie! Twój sługa na wszystko odpowie!

— Jakie jest twoje prawdziwe nazwisko?

— Nasafi.

— Kim jesteś?

— Janczarem.

— Co robisz tu na pustyni?

— Szukam Mameluka Omara Bathu.

— Nie jesteś sam. Kto więc jest z tobą?

— Dowódca janczarów, *aga*. Ma ze sobą stu dwudziestu ludzi.

— Gdzie on jest?

— Niedaleko stąd. W każdej chwili możecie się spodziewać jego napaści.

— Aha! Hej ludzie, wyciągnijcie pochodnie! Zabierzcie ze sobą broń! Kobiety niech zgromadzą się w środku oazy i wszyscy niech zachowują się cicho! Kto zdradził ci to miejsce?

— *Aga* to wie, ja nie.

— Ponieważ usłuchałeś i wyznałeś prawdę, życie będzie ci darowane — rozwiązał go i mówił dalej: — Zwracam ci wolność. Idź do *agi* i powiedz mu, że tutaj władzę sprawuje Nurwan pasza. Gdy się tego dowie, zrezygnuje ze swego zamiaru.

Podejmując taką decyzję, Katombo popełnił błąd, który miał okazać się dla Mameluków zgubny w swych skutkach. Przecenił bowiem swe możliwości wynikające z faktu bycia wysokim oficerem sułtańskim, sądząc iż *aga* i jego ludzie jako regularny oddział wojskowy, stojąc naprzeciw niego, a więc naprzeciw admirała, podporządkuje się mu jako wyższemu stopniem. Był to błąd niewybaczalny, ponieważ *aga* już dawno postanowił potraktować Mameluków jako wyjętych spod prawa i dążył za każdą cenę do ich zniszczenia.

Nasafi pospieszył z tą wiadomością tak szybko jak tylko niosły go nogi; o swym wielbłądzie i o odebranej mu broni nawet nie chciał myśleć. W pewnej odległości od oazy natchnął się na zaczajonych janczarów. Znajdujący się na czele *aga* zdumiał się, gdy go ujrzał.

— Wróciłeś? Dlaczego?

— Aby ci powiedzieć, że należy wstrzymać się z atakiem.

— A to czemu?

— W oazie przebywa sułtański admirał.

— Nurwan pasza! Czyżby diabeł odebrał ci rozum?

— Sidi, to prawda. Ja też nie chciałem w to wierzyć, ale pokazał mi swój paszport.

— Kiedy? Teraz?

— Teraz. Zauważył nie zniknięcie i czekał już na mnie, kiedy tam wróciłem. Zbudził wszystkich ludzi w oazie i kazał mnie związać. Musiałem wyznać mu całą prawdę, a potem wysłał mnie, abym cię ostrzegł.

— Ale po co? Co mnie obchodzi Nurwan pasza? On jest oficerem sultana, a ja jestem oficerem wicekróla. Nie jemu podlegam. Wicekról kazał mi pojmać lub zabić Omara Bathu i uczynię to, nawet gdyby mi przyszło w tej sprawie stoczyć ciężki bój, tym bardziej, że oni poznali nasze plany. Ty zaś jutro zostaniesz ukarany, za to, że nas zdradziłeś.

— *Ago*, okaż mi swą łaskę! Nie mogłem postąpić inaczej!

— Kto jest twym panem, on czy ja?

— Ty *sidi*. Ale rozważ to, ile przysporzysz kłopotów wicekrólowi, zabijając najwyższego rangą oficera marynarki wojennej w służbie sultana!

— Nie zabiję go, jeśli nie będzie mi tylko przeszkadzał w spełnieniu tego co jest moim obowiązkiem. Czy widziałeś żonę Mameluka?

— Tak, przyjrzałem się jej obliczu, gdyż zgodnie ze zwyczajem przyjętym przez Beduinów nie nosi ona zasłony.

— Czy rzeczywiście jest taka piękna jak opowiadano wicekrólowi?

— Tak. Jest wspaniała niczym rajska hurysa.

— Zostanie w takim razie ozdobą haremu wicekróla! Wracaj teraz do Nurwana paszy i powiedz mu, że musi mi wydać Mameluków łącznie z tą kobietą. Odejdę wtedy w pokoju, nie wkraczając do oazy.

— On tego nie uczyni, gdyż jego żona jest siostrą żony Omara.

— W takim razie uderzymy na nich i będzie sam sobie winien jeśli i jego spotka śmierć. Idź już! Być może daruję ci jeszcze twą karę.

Poddany *agi* posłuchał i po pewnym czasie powrócił z odpowiedzią.

— No i co? — spytał *aga*.

— *Sidi*, on się strasznie rozgniewał i chciał mnie zabić za to, że ośmieliłem się mu zaproponować coś takiego.

— Jak brzmi zatem jego odpowiedź?

— Powinieneś przyjść i sam zabrać Mameluków.

— Czy on wie, ilu nas jest?

— Nie — skłamał *Nasafi*, nie chcąc pogarszać swego położenia.

— Zapewne sądzi, że ustępujemy im liczebnością. Uderzamy na nich! Ty zaś przyniesiesz mi głowy czterech wrogów, których sam zabijesz, wtedy ci wybaczę. Naprzód! Otoczmy oazę

i na dany przeze mnie znak zaatakujemy, zabijając każdego, kto będzie się nam sprzeciwiał. A wszystko co zdobędziemy staje się naszą własnością.

Ta obietnica miała pobudzić jeszcze bardziej waleczność janczarów.

Ludzie *agi* rozdzielili się na dwie części, aby zająć obóz ze wszystkich stron. Na pustyni panowała jeszcze głęboka cisza, gdy nagle rozległo się wołanie orła i natychmiast potem w oazie podniósł się jeden wielki krzyk. Głośno wydawane rozkazy, buchające zewsząd przekleństwa, huk wystrzałów, wszystko to mieszało się ze sobą. Potem poszły na bok strzelby i walka toczyła się tylko na noże. Coraz częściej w tym strasznym chórze bitewnego zgiełku słychać było i kobiece głosy. Silniejsi liczebnie janczarowie przeważyli ostatecznie szalę zwycięstwa na swoją stronę. Tak okrutne i nieludzkie sceny jakie tu miały miejsce, zdarzyć się mogą tylko na Saharze, tam gdzie płynąca w żyłach ludzi krew jest równie gorąca jak rozpalone słonecznym żarem i wędrujące wraz z wydmami ziarenka piasku. Całości obrazu dopełniał widok postaci uciekających między namiotami i znikających na pustyni Mameluków. Nastawał świt, kiedy zmagania dobiegły końca.

Na środku oazy stał, krwawiący z powodu otrzymania licznych ran, *aga*. Przed nim leżały cztery głowy, które przyniósł mu Nasafi.

— No dobrze! Przebaczam ci. Policz teraz zabitych!

Kiedy Nasafi wypełniał polecenia, *aga* podszedł do pojmanych. Były to wyłącznie lamentujące kobiety; nie licząc ciężko rannego Katombo, nie było wśród nich żadnego mężczyzny. Ci bowiem o ile nie udało im się ocalić życia ucieczką, zostali zabici, a wśród nich Said Abdullah i Omar Bathu.

Kobiety były głęboko wstrząśnięte tym co się zdarzyło. Większość z nich nie raz już doznała okrucieństwa ze strony janczarów.

W pewnej odległości od tej grupy siedziały na ziemi Sobeide i Ayescha. Sobeide szlochała nad zwłokami męża i córeczki. Ayescha, chociaż zalewała się łzami, jednocześnie starała się zatamować krew płynącą z ran Katombo. Sulejka, ich dziecko szczęśliwie przeżyła te okrutne zmagania i spała teraz obok nieprzytomnego ojca.

Zimne oczy *agi* lustrowały kobiety.

— Jak się nazywasz? — spytał Ayeschę.

Podąła mu swe nazwisko.

— A jak nazywa się ten mężczyzna?

— To Nurwan pasza, wielki admirał sułtana — odparła dumnie. — Zraniłeś go, a jego ludzi pozabijałeś. Biada ci, gdy dowie się o tym sułtan.

Dowódca janczarów odpowiedział zimno:

— Jestem *agą* i służę wicekrólowi. Twój sułtan nie może niczego żądać ode mnie, bowiem wypełniam rozkazy tylko mego pana. A jak ty się nazywasz? — zwrócił się do Sobeide.

— Sobeide.

— Jesteś zatem córką Said Abdullaha i żoną Omara Bathu?

— Tak.

— Nie płacz więc, gdyż twój smutek zmieni się w radość. Czekają cię zaszczyty i przyjemności. Znajdziesz się już niedługo w haremie wicekróla.

Jej oczy, mimo że pełne łez, zabłysnęły gniewem.

— Nigdy, wolę raczej zginąć!

Wyciągnęła nóż tkwiący za pasem Omara, *aga* był jednak szybszy i złapał ją za rękę.

— Nasafi! — krzyknął.

Janczar przybiegł natychmiast.

— Przekazuję ci tę kobietę. Zostanie ona oddzielona od reszty, ponieważ teraz należy do kedywa. Ty zaś masz pilnować, żeby nie wyrządziła sobie jakieś krzywdy.

Sobeide rzuciła się na szyję siostrze mając nadzieję, że mimo wszystko będą mogły zostać razem. Ich lamenty nie na wiele się zdały, Nasafi zabrał Sobeide i wsadził ją do jednego z *tachtirewanów*.

— Okrutniku, lepiej mnie zabij! — krzyknęła w największej rozpaczy Ayesche.

— Tego nie mogę uczynić. Nie ustępujesz swojej siostrze pięknnością i najchętniej zabrałbym cię wraz z nią do wicekróla, ale jesteś żoną sułtańskiego admirała. Pozostaniesz więc tu, aby się nim opiekować.

— Pozwól mi przynajmniej pożegnać się z siostrą!

— Niech będzie, zgoda!

I tak, przez tę krótką, rozdzierającą serce chwilę mogły jeszcze być razem. Tymczasem umieszczono na wielbłądach pozostałe kobiety i dzieci. Ich los został przesądzony, wieziono je na sprzedaż. Zdążono również pochować poległych, a kiedy dołączyli jeszcze ranni janczarowie, karawana zaczęła szykować się do wymarszu.

— No, kończyć to pożegnanie! — rozkazał *aga* siostrze, a potem zwrócił się jeszcze do Ayeschy, mówiąc: — Zostawiam ci wszystko to, co należy do Nurwana paszy, tego bowiem nie mogę go pozbawić. Powiedz mu, że go oszczędziłem, i że wykonywałem tylko mój obowiązek. Nie będziecie tutaj sami ponieważ wielu waszych uciekło i na pewno powrócą, gdy tylko my opuścimy oazę. *Salam aleik*, pokój i szczęście niech będą z tobą i z tymi, których kochasz!

Jeźdźcy dosiedli swych zwierząt i karawana pośród krzyków i zawodzeń uprowadzanych kobiet i dzieci ruszyła w drogę. Niczym długi, ogromny wąż, skierowała się na wschód pustyni i wkrótce przepadła gdzieś w oddali.

Ayescha została sama z rannym mężem i maleńkim dzieckiem. Uklękła i zaczęła się modlić. Po skończonej modlitwie zaciągnęła rannego, aż do samego źródła, był obmyć jego rany.

— Ayescho! — wyszeptał nagle Katombo odzyskując przytomność.

— Tutaj jestem.

— Gdzie jest Sulejka, nasze dziecko?

— Z nami, ocalała.

— A Sobeide?

— Pojmana i uprowadzona wraz z resztą.

— A Omar i twój ojciec?

— Nie żyją! Leżą tuż obok.

Odwrócił powoli zranioną głowę. Dostrzegł oba turbany, a prócz nich wiele innych. Kolejne omdlenie wyrwało go z objąć tej strasznej rzeczywistości.

Kobiety Wschodu wychowywane są wyłącznie z myślą o ich przyszłych mężach, a ponieważ mieszkaniec Wschodu bywa przeważnie wojownikiem, rzadko trafi się taka żona, która nie potrafiłaby poradzić sobie z ranami małżonka. Ayescha także wiedziała co powinna zrobić. Wśród zieleni jaką można było spotkać w oazie znalazła pewną roślinę, która posiadała właściwości uśmierzające ból. Kiedy nazbierała ich już dostatecznie dużo, zaczęła je rozgniatać, w taki sposób by ciekący z nich sok kapał do rany. Potem wyciśnięte rośliny przyłożyła do głowy Katombo i obwiązała ją. Przyniosło to choremu wyraźną ulgę. Zapadł w głęboki sen, pod którego zbawiennym wpływem znajdował się aż do następnego ranka. Obraz jaki ujrzął po przebudzeniu się przypominał mu o zdarzeniach dnia poprzedniego.

— Czyżby wszyscy zginęli? — spytał po chwili.

— Tylko kilku ludziom udało się uciec.

— Dlaczego oszczędzono ciebie i mnie?

— Ze względu na twoje stanowisko.

— A Sobeide, dlaczego ją zabrano?

— Ma zostać oddana do haremu wicekróla.

— *Allah inhalo*, Boże przeklnij go! Ayescho, opiekuj się mną, przynoś mi źródlanej wody i podawaj mi sok z roślin, po to bym jak najprędzej wyzdrowiał i mógł się zemścić!

— Do tego czasu będzie musiało upłynąć jeszcze wiele tygodni.

— Bóg jest wielki i wszechmocny, i potrafi uczynić wszystko. A moje ciało jest silne. Czy boisz się być tu sama?

— Boję się umarłych, a tej nocy kręciły się w pobliżu nas hieny i szakale. Czy ci, co uciekli powrócą jeszcze do oazy?

— Tak, przyjdą kiedy tylko przekonają się, że mordercy już stąd odeszli.

Nawet te kilka słów zmęczyło rannego. Zamknął oczy i znów pogrążył się we śnie.

Ayescha nazbierała dla Katombo ziół, a dla siebie i córki daktyli. Tak minął dzień, wkrótce zapadł zmierzch, a zaraz potem przyszła noc. Zwierzęta, które janczarowie zostawili, same potrafiły się o siebie zatroszczyć. Wodę, daktyle i krzaki znalazły bez kłopotów.

Bliskość zabitych, od których wskutek upału zaczynała już bić nieprzyjemna woń, była niebezpieczna dla Ayeschy i przyjmowała ją grozą, gdyż przyciągała hieny, szakale i pustynne lisy. Było pewne, że nocą zechcą przystąpić do swej upiornej biesiady.

Koło północy przemknął przez oazę jakiś cień. Był to jeden z tych Mameluków, którym udało się uciec. Szukał czegoś między trupami, a następnie zbliżył się do miejsca, gdzie przebywali żywi. Zatrzymał się zdumiony, ale głos Ajeschy uspokoił go.

— *Allah akbar!* Bóg jest wielki! Czy pozostał jeszcze ktoś żywy? Czyżby *aga* cię przeoczył?

— Nie. Wypuścił mnie dobrowolnie.

— A co z Nurwanem paszą?

— Jest ciężko ranny. Mnie i dziecku nic się nie stało.

— Co z pozostałymi kobietami i dziećmi?

— *Aga* zabrał je ze sobą. Kobiety sprzeda do haremu, a dzieci handlarzom niewolników.

— *Allah inha! el Kel!* Boże zniszcz tego psa! Gdybym miał żonę, ruszyłbym za nim, wszak zostały tu jeszcze konie i wielbłądy. Policzyłem zabitych, brakuje trzech naszych. Czy zostali też schwytani?

— Nie.

— W takim razie uciekli i powrócą, skoro tylko spostrzegą, że wróg jest daleko. Pójdę zobaczyć, czy nie ma ich w pobliżu.

Odszukał gdzieś *rababę*, przyłożył ją do ust i wydobył z instrumentu kilka dźwięcznych tonów. Muzyka zwabiła trzy postacie, które ukradkiem kręciły się wkoło oazy.

Ten, który powrócił pierwszy, poinformował pozostałych o tym co się zdarzyło po ich ucieczce. Zaspokoiwszy głód i pragnienie, zaczęli myśleć co mają uczynić. Wszyscy czterej byli jeszcze bardzo młodzi. Nie walczyli ani o swoje żony, ani o dzieci i jako jedynym udało im się uciec. Ta sama okoliczność, która powstrzymywała ich teraz przed tym, aby ruszyć w

pościg za janczarami, straciłaby swą wagę, gdyby tylko wśród pojmanyh miał znaleźć cię ktoś z ich bliskich krewnych. Syn pustyni bowiem, jako urodzony rabuś i wojownik, nie obawia się nawet będąc zupełnie sam, ruszyć śladem wielkiej nieprzyjacielskiej karawany i czekać na sprzyjającą okazję. A gdy taka się nadarzy, to wtedy nie dorówna mu swą chytrnością żaden lis, swą krwiożerczością żadna pantera, a szaleńczą odwagą żaden lew.

Cała czwórka postanowiła w końcu pozostać na miejscu i zająć się pielęgnowaniem chorego oraz obroną oazy. Jeszcze tej samej nocy pochowali swoich najbliższych, których janczarowie pozostawili dzikim zwierzętom na pożarcie.

ŻYCIE ZA ŻYCIE

Kilka miesięcy później do wielkiego *karawanseraju* w Bulak, na przedmieściu Kairu, przybyła niewielka karawana. Składała się z kobiety z dzieckiem i pięciu mężczyzn. Jeden z nich był bardzo blady, a jego ciemne oczy płonęły dzikim blaskiem.

Katombo, bo to o nim mowa pozostawił dziecko i żonę pod opieką swych towarzyszy, po czym ruszył ulicą el Kantareb, aż znalazł się przed przypominającym pałac budynkiem, przy drzwiach którego straż trzymał uzbrojony Murzyn.

— *Limin el bet die?* Do kogo należy ten dom? — spytał wartownika.

— Należy do kedywa, niech Bóg ma go w swojej opiece! Mieszka w nim stale najwyższy rangą *kadi*, którego sułtan, Boże błogosław jego obliczu, przysyła tu corocznie, aby rozstrzygał zgodnie z prawem spory między nim a wicekrólem.

— Dzień nominacji już minął. Jak nazywa się nowy *kadi*?

— Chciałeś powiedzieć nowy *kadi baszi*? Nosi on nazwisko tak drugie jak sam Nil, nazywamy go więc krótko Aby Mossalem.

— Czy jest teraz u siebie?

— Tak, przebywa w swej komnacie, to akurat ta godzina, kiedy przyjmuje wiernych, chcących szukać u niego sprawiedliwości. Chcesz iść do niego?

— Tak.

— W takim razie idź i niech Allah błogosławi twoim słowom! Katombo wszedł do środka i skierował się schodami do góry. Na piętrze stał ubrany w niezwykle kosztowne szaty, eunuch. Jego sztylet aż lśnił od złota, zaś pistolety powleczone były srebrem.

— *Bitrid e!* Czego chcesz? — wrzasnął na przybysza.

— Chcę mówić z *kadim haszi*.

— Kim jesteś?

— To już sam powiem *kadiemu*.

— Masz powiedzieć mnie, w przeciwnym wypadku nie otrzymasz pozwolenia na to, aby się z nim widzieć.

— Gdzie jest jego komnata?

— Tam.

Lewą ręką wskazał na drzwi, prawą zaś z wyciągniętą dłonią podsuwał w stronę pytającego, dając jasno do zrozumienia, że za wydanie pozwolenia należy mu się napiwek.

— Liczysz może na to, że dostaniesz *bakszysz*? — spytał Katombo.

— Czy nie wiesz, że taka wyciągnięta ręka posiada moc otwierania odpowiednich drzwi?

— A czy nie wiesz, że Prorok mówi: „Chciwa ręka sługi rzuca cię na dobre imię jego pana”. Biada temu, kto sprawiedliwość chciałby mierzyć srebrem bądź złotem. Ode mnie nie dostaniesz nic.

— Jeśli tak, to *kadi baszi* nie ma dla ciebie czasu.

— Ja zaś twierdzę, że znajdzie go dla mnie i zaraz ci to udowodnię. Mówiąc to odepchnął eunucha z tak wielką siłą, że tamten rąbnął sobą o ziemię. Zerwał się jednak natychmiast i wyciągnął sztylet, chcąc rzucić się na Katombo. Ten jednak był szybszy i wykręcił mu rękę tak mocno, że eunuch aż zawył z bólu.

Na ten hałas otwarły się drzwi komnaty i ukazał się w nich *kadi*.

Katombo odwrócił się do niego tyłem, aby ten nie mógł dojrzeć jego twarzy.

— Psie jak śmiałeś uczynić podobną rzecz? — krzyknął *kadi* i dobył szabli.

Katombo odwrócił się.

— Słusznie zadałeś to pytanie. Ten pies ośmielił się żądać ode mnie *bakszyszu*, mając czelność twierdzić, że nie ma cię w domu dla nikogo, kto wcześniej mu nie zapłaci. Kiedy mu odmówiłem, dobył przeciwko mnie broni. Powinienem policzyć się z nim osobiście, czy też przystać na to, abyś ty oddał go katu?

— Człowieku, czyżby opętały cię złe duchy? Trzeba będzie je wypędzić z ciebie różgami! Kim jesteś?

— Dowiedz się tego sam! — Katombo odrzucił kaptur z głowy. *Kadi* aż cofnął się z przerażenia.

— *Maschallah!* Admirał sułtana!

— Tak, i to we własnej osobie. Czy jesteś gotów przyjąć mnie nawet gdybym nie zapłacił?

— *Salam aleik!* Zechciej wejść panie!

— A co z tym człowiekiem, który odważył się handlować sprawiedliwością i twym dobrym imieniem?

— Nie uniknie kary na jaką zasłużył. Czy mógłbyś panie wszakże poświęcić swą uwagę teraz mojej osobie i wejść do środka?

Eunuch cały drżąc włożył sztylet z powrotem do pochwy. Sędzia zaś i Katombo weszli do komnaty, gdzie siedziała spora liczba mężczyzn i kobiet.

— Wyjdźcie stąd i poczekajcie aż każę was ponownie wezwać! — rozkazał *kadi*.

Gdy się oddalili admirał sułtana został poproszony, aby zajął miejsce z prawej strony *kadiego*, na podwyższonym schodku, przykrytym dywanem. Na kłaśnięcie rąk, pojawili się czarni niewolnicy z kosztownymi fajkami i kawą dla obu dostojników.

Teraz *kadi* mógł rozpocząć rozmowę.

— Czy wiesz, że wysłannik sultana był tutaj w Kairze i szukał cię?

— Słyszałem o tym.

— Otrzymałeś dwa miesiące urlopu i do tej pory jeszcze nie wróciłeś. Sultán kazał pytać o ciebie u wicekróla.

— I cóż kedyw na to odrzekł?

— Powiedział, że byłeś u niego tylko jeden jedyny raz, a potem zniknąłeś. Statek, którym przybyłeś i który miał na ciebie czekać, odpłynął już dawno do Stambułu. Czy mogę spytać, gdzie przebywałeś przez cały ten czas?

Katombo ściągnął fez z głowy.

— Popatrz na tę ranę.

Kadiego ogarnęło zdumienie.

— *Maschallah!* Byłeś ranny i chory? A któż to odważył się tobie, *kapudanowi paszy*, najślynniejszemu admirałowi w służbie władcy wszystkich wiernych, uczynić coś takiego?

— Przychodzę tu właśnie po to, aby domagać się od ciebie sprawiedliwości. Czy ukążesz sprawcę tego czynu?

— *Allah akbar!* Bóg jest wielki, a moje ramię silne. Tego zuchwałego psa czeka za to śmierć. Podaj mi tylko jego nazwisko!

— Sądzę, że jednak go nie ukarzesz — odrzekł Katombo powątpiewającym tonem.

— A to dlaczego nie? Przysięgam ci na brodę Proroka, że poniesie taką karę na jaką zasłużył! Wyjaw mi tylko, kto to jest! Każę go pojmać, nawet gdyby mieszkał w jakiejś oddalonej saharjskiej *wadi*.

— Nie musisz szukać go na Saharze, ponieważ znajduje się tutaj, w Kairze. Bowiern to nie nikt inny, tylko sam wicekról.

Kadi przeląkł się nie na żarty.

— Niech Allah strzeże twojej duszy i mojej! Jak to możliwe, aby wicekról napadał na admirała padyszacha?

— Nie on to uczynił, tylko jego janczarowie.

— A gdzie się to zdarzyło?

— W pewnej oazie, dokąd udałem się, aby odwiedzić mego przyjaciela.

— *Aga* przed trzema miesiącami przebywał dłuższy czas poza Kairem i nikt nie wiedział gdzie. Czy to możliwe, że mógł się wtedy znajdować właśnie tam?

— Tak.

— Napadł na was, wiedząc że i ty tam przybywasz?

— Wiedział o tym ponieważ kazałem mu to powiedzieć, zresztą ostrzegałem go również, aby zrezygnował ze swych zamiarów.

— To by znaczyło, że działał na polecenie kedywa, i że twój przyjaciel musiał być wielkim wrogiem wicekróla. Kto to był?

— Znasz Omara Bathu?

— Tego księcia Mameluków?

— Tak. Jego żona jest siostrą mojej żony. A czy znasz Said Abdullaha?

— Tego wielkiego żeglarza!? Zabił ongiś Hamd el Areka, namiestnika Asuanu i jego ludzi, a potem uciekł z pewnym młodym kapitanem, znanym ze swej odwagi, któremu zresztą oddał rękę swej córki.

— Tym kapitanem jestem ja.

— Ty? — spytał zdumionu *kadi*.

— Tak, ja. Naczelnik Asuanu porwał siostrę mojej żony, ona zaś była zaręczona z księciem Mameluków. Ocaliłem ją z rąk *mudira*, ten ruszył w pościg za mną i poległ w walce. Uciekłem wtedy z Said Abdullahem i Omarem Bathu, który musiał się potem ukrywać na pustyni przed zemstą wicekróla. Przed trzema miesiącami przybyłem wraz z Abdullahem i moją żoną do Mameluków. Tam zastaliśmy napadnięci przez janczarów kedywa, którymi dowodził *aga*. Zabił wszystkich mężczyzn, zaś kobiety i dzieci uprowadził ze sobą.

— Zatem Said Abdullah i Ornat Bathu nie żyją?

— Nie żyją — odparł Katombo zgrzytając zębami. — Dlatego ja postanowiłem się zemścić!

— Na kim?

— Na ich mordercy. A ty mi w tym pomożesz.

— Napaści dokonano z rozkazu wicekróla. No powiedz sam, czy ja mogę wyrokować w jego sprawie?

— Przysięgłeś na brodę Proroka, że doczekam się sprawiedliwości. Czy wiesz, że żaden muzułmanin, nigdy nie może złamać takiej przysięgi?

— Dotrzymam jej, o ile będzie to leżało w mojej mocy. Przecież Allach wie, że żaden człowiek nie może uczynić więcej od tego, na co pozwalają mu możliwości. Opowiedz mi teraz wszystko dokładnie!

Zdając sprawę ze swych egipskich przygód, Katombo mówił to, co sam uważał za istotne. Gdy skończył, *kadi* popadł w głęboką zadumę. Długo trwało zanim się z niej otrząsnął i zaczął rzecz całą rozważać:

— Kto tu jest właściwie mordercą? Wicekról nie, ponieważ nie mógł znać wszystkich okoliczności sprawy, a *aga* także nie, bowiem uczynił tylko to, co uważał za swój żołnierski obowiązek. Nie ma więc winnego, w takiej sytuacji przestają być związane przysięgą.

Katombo nie mógł mieć za złe *kadiemu* chytryści, z jaką ten przedstawił cały swój wywód, tym bardziej, że napad szykowany był tylko na Omara Bathu i *aga* zapowiedział, że odejdzie w pokoju, skoro tylko zostanie mu wydany książę Mameluków. Z tego punktu widzenia cała sprawa nabierała wyłącznie prywatnego charakteru i należało ją rozumieć jako krwawą, osobistą zemstę.

— Jesteś bardzo mądrym człowiekiem, *kadi*, skoro potrafisz nadać słowom przysięgi takiego znaczenia, którego nie będzie mógł pojąć sam Allah. Powiedz wszakże, czy będziesz mnie ochraniał, jeśli ściągnę na siebie nienawiść kedywa?

— Tak, będę cię chronił.

— Czy miał on prawo zabrać do swojego haremu wdowę po Mameluku, skoro nie wyraziła na to zgody?

— Nie miał żadnego prawa, nie jest ona bowiem niewolnicą, którą można było sprzedać.

— Zatem nasza rozmowa dobiegła końca. *Allah jihfazak!* Niech Bóg ma cię w swojej opiece!

Podniósł się, *kadi* uczynił to samo, a kiedy gość już miał wyjść, zwrócił się jeszcze do niego z pytaniem:

— Gdzie teraz mieszkasz?

— Zatrzymaliśmy się w *karawanseraju*.

— Zechciej przyjąć gościnę w moim domu i czuć się tu jak u siebie.

— Skoro tak sobie życzysz skorzystam z zaproszenia.

— A planując cokolwiek pamiętaj o jednym; kedyw nie jest zwykłym poddanym ani urzędnikiem, a władza sułtana, często nie sięga tak daleko, jakby się to mogło wydawać. To dlatego moje stanowisko jest takie niedobre i uciążliwe. Przyrowadź tu do mnie także twoich, ja zaś będę ci pomagał, na tyle na ile będę mógł.

Katombo udał się do *karawanseraju* i przyprowadził stamtąd do domu *kadiego*, Ayeschę z dzieckiem i służącymi. Następnie samotnie udał się do pałacu wicekróla.

Biorąc pod uwagę jego rangę i pozycję, było to zachowanie zupełnie niecodzienne. W tych krajach każdy wysoko postawiony człowiek otacza się znaczną liczbą służących. Do załatwienia poszczególnej sprawy wyznaczony jest odpowiedni służący. I tak rzesza poddanych, szczególnie gdy ich pan gdzieś wychodzi jest żywym świadectwem jego świętości.

Słowo „wychodzi” akurat w tym przypadku może mylić, żaden bowiem z możliwych nie chodzi ulicą, najczęściej jeździ lub każe się nosić. Fakt, że Katombo, mimo piastowania wysokiej pozycji, udał się do zamku pieszo miał swą przyczynę w jego zachodnich upodobaniach, zaś okoliczność, że nie posiadał do dyspozycji nikogo ze swej służby stanowiła pewnego rodzaju uchybienie względem obowiązującej etykiety. Liczny i elegancki orszak był bowiem dowodem szacunku i poważania jakim odwiedzająca osoba dążyła wicekróla.

Kedyw właśnie siedział na białym, jedwabnym dywanie i palił fajkę. Jego czerwony kaftan, aż błyszczał od brylantów. Na turbanie lśniła drogocenna klamra, której wartość należało liczyć w setkach tysięcy. Rękojeść leżącej obok niego szabli z damasceńskiej stali ozdobiona była brylantową gałką i wyłożona szlachetnymi kamieniami.

Wielkorządca Egiptu był w złym humorze. Stał przed nim jeden z jego janczarów, poznany już wcześniej *aga*, naczelnny dowódca policji wicekróla i składał codzienny raport, zawierający jak się zdaje wiele niepomysłnych wiadomości, bowiem kedyw wcale nie krył swego gniewu.

W pewnej chwili zbliżył się doń w wielce pokornej pozie, jeden z niewolników.

— Czego chcesz psie? — spytał wicekról.

— Panie, jakiś człowiek, który nazywa się Nurwan pasza, chce z tobą, który jesteś „Słońcem mądrości” i „Uosobieniem potęgi”, rozmawiać.

Oblicze wicekróla przeszył skurcz. Rzucił na agę spojrzenie pełne wściekłości.

— No teraz chyba widzisz, że nie przepadł gdzieś na pustyni, tylko przybył tutaj! Gdyby umarł wtedy razem z innymi, nie mielibyśmy go teraz na karku.

Aga wbił wzrok w ziemię.

— Panie nie mogłem wiedzieć jaka była twoja wola.

— Służący musi zawsze odgadnąć wolę swego pana. Wprowadź go!

Katombo wszedł do środka. Skłonił tylko lekko głową i na znak szacunku, położył prawą dłoń blisko serca. Kedyw na powitanie wykonał ledwo widoczny ruch ręką.

— *Salaim aleik!* Miło mi widzieć admirała sultana. Jaka to sprawa kazała przywieźć cię tutaj twym nogom?

— Nie przybywam jako wysłannik mego wielce potężnego pana, lecz jako osoba prywatna.

Obrzucił ponurym spojrzeniem postać *agi*, a następnie zwrócił oczy na wicekróla. Ten zrozumiał to pytanie bez słów i odparł:

— Ten człowiek to moja prawa ręka. Możesz mówić przy nim, tak jakbym był tu tylko ja.

— Najpierw wszakże pozwolicie, że spocznę!

Przesunął nogą poduszkę w pobliże kedywa, po czym usiadł na niej. Wicekról, który nie wiedzieć dlaczego nie zaproponował admirałowi, aby ten spoczął, teraz musiał przełknąć ten afront.

— Siadaj i mów! — powiedział siląc się na spokój. Jednak zmarszczka między brwiami, była najlepszym znakiem jak bardzo rozgniewało go samowolne zachowanie się Nurwana paszy.

— Powiadasz więc, że ten człowiek jest twoją prawą ręką — rozpoczął swoją kwestię Katombo. — Dlaczego zatem skierowałeś tę rękę przeciwko mnie?

— Przeciwko tobie? — spytał kedyw z udanym zdziwieniem. — Mów jaśniej.

Katombo podniósł swój fez.

— Spójrz na ranę jaką zadała mi twoja prawa ręka.

— Masz ranę? I miałby ci ją zadać mój *aga*?

— Tak właśnie się stało, panie i ty o tym od dawna wiesz.

— Ja nic nie wiem, ale zaraz się o tym przekonamy — zwrócił się do *agi*: — czy to twoja broń zadała tę ranę?

— Nie — odrzekł zapytany.

Wicekról spojrzał z zadowoloną miną na Nurwana paszę.

— Słyszałeś teraz, zaś *aga* nigdy jeszcze nie skłamał, jestem o tym całkowicie przekonany, bo gdyby to uczynił, zostałby skrócony o głowę.

— Rzeczywiście nie kłamie, ale i nie mówi prawdy, gdyż to z jego rozkazu omal nie zginąłem.

— Opowiadaj dalej, to co mówisz jest niezwykle tajemnicze, czas więc abyśmy rozwiązali tę zagadkę.

— Wszak ty już znasz jej rozwiązanie — odpowiedział cicho Katombo, — ja zaś nie ośmieliłbym się zabierać ci twego drogiego czasu. Twój *aga* zabił na pustyni moich przyjaciół. Powiedz tylko, czy stało się to na twój rozkaz!

— Jak nazywają się twoi przyjaciele?

— Said Abdullah i Omar Bathu.

— To nie przynosi ci specjalnej chwały. Czy nie masz jakiś innych przyjaciół?

— Nigdzie i nigdy nie mógłbym znaleźć lepszych od nich.

— Byli mordercami! Zabili Hamd el Areka i dlatego musieli zginąć. Czy nie wiesz co mówi Koran: *Eddem b 'eddem* — „oko za oko krew za krew!”

— Nie zabili go lecz zwyciężyli w uczciwej walce. Porwał córkę Abdullaha, a potem podniósł przeciwko niemu broń, chociaż ten chciał mu wybaczyć. A cóż takiego uczynili Mamelucy, których kazałeś zamordować wraz z Omarem Bathu i Said Abdullahem?

Oczy kedywa zablęskły wściekłością.

— Psie, jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób!

— Psie? Odważyłeś się nazwać Nurwana paszę, admirała sułtana psem?

— Nie muszę na nic uważać, wystarczy bowiem jeden mój znak, aby cię zniszczyć.

— Nie jesteś ani moim panem, ani przełożonym. Nie lękam się również twych gróźb. Said Abdullah zastrzelił namiestnika Asuanu w obronie własnej, a Omara Bathu wcale przy tym nie było.

— Udowodnij to!

— Moje słowo jest na to dowodem! — odparł dumnie Katombo.

— Twoje słowo? Skąd ty jeden masz znać prawdę?

— Ponieważ byłem przy tym. Jestem mężem córki Abdullaha i właściwie nazywam się Katombo.

— Katombo! — wykrzyknął kedyw podrywając się z miejsca. — To ty jesteś tym mordercą, który nam wtedy umknął?

— *Inte raltan*, mylisz się. Nie jestem mordercą. Zostałem napadnięty przez *mudira*, musiałem więc się bronić!

— Podeszedłeś go zręcznie, a potem zabiłeś, jeszcze i mnie mieszając do tego. Jesteś zbrodniarzem a ja twoim sędzią.

— Znowu się mylisz. Jestem Nurwan, admirał w służbie władcy wszystkich wiernych i kto ośmieli się mnie obrazić, obrazi tym samym sułtana.

— Jesteś Nurwan pasza, ale przede wszystkim jesteś moim poddanym, ponieważ urodziłeś się w Egipcie i pływałeś jako kapitan po świętych wodach Nilu.

— Byłem kapitanem, ale urodziłem się w innym, bardzo odległym kraju. Twoim poddanym natomiast nie jestem, a przyszedłem tu po to, aby upomnieć się o ofiary rzezi dokonanej na pustyni. Gdzie podziła się Sobeide, żona Omara Bathu.

— Czy wiesz, że wierny nigdy nie rozmawia na taki temat!

— W takim razie nie jesteś wiernym, ponieważ rozmawiałeś ze swoim *agą* o Sobeide. Zmarłym życia już nie przywrócisz, ale każ uwolnić Sobeide, siostrę mojej żony!

Podniósł się i przybrawszy władcą postawę, stanął tak przed człowiekiem, dla którego wszyscy poddani Egiptu byli tylko niewolnikami. Także wicekról powstał i ujął rękojeść swej broni.

— Nigdy już nie ujrzysz Sobeide.

— Domagam się jej uwolnienia i żądam zwrotu wszystkich skarbów zrabowanych przez *agę* księciu Mameluków.

— Domagasz się? Ha, jeden mój znak i zmienisz się w pył u mych stóp. Stoisz przede mną nie jako oficer sułtana lecz jako morderca *mudira*. A jeśli cię zlikwiduję, to czy ktoś dowie się gdzie byłeś? Dlaczego przychodzisz do mnie niczym derwisz, nie zaś ze swiłą godną admirała? Mogę cię kazać skrócić o głowę i nikt nawet się o tym nie dowie.

— I tym razem się mylisz. *Kadi baszi* wie, że poszedłem do ciebie. Czeka na mój powrót i gdybym tylko nie wrócił to powiadomi o tym sułtana.

— Tak uważasz? Myślisz, że wielkorządca Egiptu miałby się obawiać jakiegoś *kadiego*? Pielgrzymem jesteś czy żebrakiem, który przychodzi do mnie w pojedynkę? Admirała sułtana bowiem u mnie nie było. *Ago*, masz go pojmać!

Katombo położył dłoń na rękojeści swej szabli.

— Czyżbyś naprawdę sądził, że dowódca sułtańskiej floty przestraszy się namiestnika Egiptu? Cofnij swój rozkaz, bo jeśli tego nie uczynisz, zmusisz mnie, abym ja sam zemścił się na mordercy moich bliskich!

— Ośmielasz się grozić władcy Egiptu i to w jego własnym pałacu? *Ago*, rozkazuję ci! Pojmij go!

Aga wyciągnął ramiona przed siebie, gotując się do pochwycenia admirała, ale w tej samej chwili błysnęła szabla Katombo i głowa janczara upadła za ziemię.

— W taki sposób Nurwan pasza czyni użytek ze swej szabli, kiedy zostanie do tego zmuszony.

Wytań skrwawioną klingę o poduszkę, na której przed chwilą jeszcze siedział i włożył broń do pochwy.

Wicekról stał przez cały czas osłupiały z przerażenia i zgrozy. Dopiero teraz oprzytomniał.

— Morderca! — ryknął i rzucił się z wysoko podniesioną szablą na Katombo.

Ten odparował cios samą tylko pięścią, uczynił to jednak w taki sposób, że broń wypadła napastnikowi z ręki, uderzając gdzieś daleko z tyłu o ścianę. Kedyw chwycił pistolet i pociągnął za spust. Katombo wykonał błyskawiczny unik, dzięki czemu kula minęła jego głowę o milimetry. Natomiast strzał zwabił wszystkich służących, którzy znajdowali się w pobliżu komnaty.

— Schwytać mordercę i związać go! — rozkazał wściekły kedyw.

Katombo wyciągnął ponownie szablę.

— Stać! — krzyknął władcym tonem. — Jestem Nurwan, admirał sułtana. Bronię się tylko i jeśli ktoś mnie dotknie, niech już wita się ze śmiercią!

Te słowa i groźna postawa jaką przyjął, sprawiły, że wśród służby, składającej się w większości z tchórzliwych eunuchów zapanowało niezdecydowanie. To wystarczyło, aby Katombo zdążył wybiec. Kedyw szalał wprost ze złości, ale zanim służący zdążyli się pozbierać i ruszyć w pościg, uciekający przepadł w tłumie ludzi, kłębiącym się przed pałacem.

Wicekról oddał jeszcze drugi strzał, tym razem do służby, kładąc trupem jednego z nich, potem rozkazał przyprowadzić do siebie *kadiego baszi*.

Sędzia oczekiwał w tym czasie na powrót Katombo.

— No i jak poszło? — zapytał admirała, gdy ten się tylko pojawił. — Twe oczy pełne są złości, a mina nie wróży nic dobrego.

— Ta szabla jest jeszcze gorąca od krwi mordercy — odparł ponuro zapytany.

— Co uczyniłeś? Zabiłeś kogoś?

— *Agę*, janczara.

— *Allah akbar!* Bóg jest wielki, ale twa zuchwałość jest jeszcze większa. Gdzie to się stało?

— W pałacu, na oczach wicekróla.

Kadi zbladł.

— Zatem jesteś zgubiony!

— Zgubiony, admirał sułtana?

— Tak, ponieważ teraz ani ja, ani sułtan nie możemy cię ocalić. Naruszyłeś spokój królewskiego zamku i zabiłeś szefa policji, zastępcę namiestnika. W tej sytuacji podlegasz jurysdykcji wicekróla i musisz spodziewać się jego zemsty.

— Nie podlegam jego jurysdykcji.

— Powiadam ci, że tak!

— Nie poddam się jej.

— Zostaniesz zmuszony.

— Ty mnie obronisz. Żaden policjant nie ma prawa wejść do twego domu.

— *Maschallah!* To prawda, możesz u mnie zamieszkać. Ale jeśli tylko wyjdiesz poza próg mego domu, zostaniesz pojmany.

— Będę więc ostrożny, a prócz tego napiszę zaraz do sułtana, przedstawiając mu wszystko zgodnie z prawdą. Dzięki temu będzie mógł się zorientować w tym, co się tutaj wydarzyło.

— Ja dołączę również swoją relację, wszelako nie kryję przed tobą, że mam złe przecucia. Kedyw cieszy się bowiem względami sułtana.

— A czy dowódca jego floty już ich nie posiada?

— Owszem, ale w tym wypadku liczą się nie tyle względy, ile interesy.

W tym momencie nadszedł posłaniec i przekazał *kadiemu* polecenie wicekróla. Sędzia udał się więc do pałacu namiestnika w towarzystwie licznej świty. Upłynęło sporo czasu zanim wrócił, a sądząc po minie, był bardzo przygnębiony.

— Wszystko potoczyło się tak jak przypuszczałem. Kedyw zażądał twego natychmiastowego wydania.

— A ty mu odmówiłeś?

— Tak.

— Co więc uczynił?

— Zna prawo, na mocy którego mój dom staje się teraz twoim azylem, kazał jednak posiadłość moją dokładnie otoczyć. Wyznaczeni do tego policjanci są już w drodze.

— Tym się zbytnio nie martw, nie zamierzam bowiem wcześniej opuszczać twego domu, zanim nie nadejdzie decyzja sułtana.

— Tylko, że kedyw będzie ją miał w rękach wcześniej niż ty.

— Jakim to sposobem?

— Bowiem jego wysłannik już udał się do Stambułu, a tam złoży w imieniu wicekróla ustną skargę na ciebie i będzie żądał twego wydania.

— Kogo wysłał kedyw?

— Kogoś, kogo ranga zyska w oczach sułtana uznanie...

— Całkiem możliwe, że swego wezyra?

— Zgadłeś. Nie trudno się domyślić, że ustna relacja takiego wysokiego urzędnika, będącego na dodatek urodzonym dyplomatą, odniesie dużo lepszy skutek niż twój pisemny raport.

— Masz rację, sułtanowi trudno przychodzi być surowym. Czy słyszałeś o tym nurlandzkim hrabim von Hohenegg, którego schwytałem ongiś na angielskim okręcie „Orzeł”?

— Każdy Turek zna ten bohaterski czyn, dzięki któremu zostałeś kapitanem jednego z najlepszych okrętów wojennych.

— Hrabia ściągnął na siebie gniew sułtana i kiedy go zatrzymałem wydawało się, że nie wyjdzie już z tego żywy. Tymczasem ten szubrawiec, dzięki swej przebiegłości potrafił nadać sprawie taki bieg, że sułtan w końcu kazał go uwolnić. Obawiam się, że ta słabość sułtana i tym razem może obrócić się przeciwko mnie.

— Podzielam twe obawy, wszelako będę ci pomagał, na tyle na ile leży to w mojej mocy. Naturalnie, kedyw przypuszcza, że do Stambułu pospieszy także i twój wysłannik. Należy więc oczekiwać, że będzie starał się temu przeszkodzić.

— To prawdopodobne. Czy nie ma żadnego sposobu, aby temu zaradzić?

— Mam takiego wiernego sługę, na którego możemy liczyć, ale to nie on powinien być bezpośrednim doręczycielem wiadomości od ciebie. Komu mógłby ją przekazać?

— Wielkiemu wezyrowi.

— Pisz więc szybko! Resztą zajmę się ja, i oby tylko Allah zechciał pobłogosławić naszym poczynaniom!

— Czy wspomniałeś wicekrólowi o Sobeide?

— Tak.

— I co odpowiedział?

— Odrzekł, że jeszcze dziś wieczorem zostaniemy powiadomieni o tym, co postanowił w jej sprawie.

— Chce zatrzymać ją w swym haremie, a ja nie mogę nic zrobić, aby ją uwolnić.

— Jego słowa zabrzmiały tak, jakby miał zamiar jeszcze dzisiaj ją wypuścić. Zaczekaj do wieczora, wtedy dowiesz się wszystkiego.

Kadi miał rację; wieczór przyniósł rozwiązanie tej sprawy.

Minęła północ i mieszkańcy Kairu pogrążeni byli we śnie. Tylko gdzieś siedziały na dachach swych domostw okryte na biało postacie, delektując się orzeźwiającym, nocnym chłodem. O tym właśnie czasie, cichymi uliczkami biegło truchtem czterech tragarzy, dźwigając lektykę, prowadził ich oficer janczarów.

Przed bramą pałacu, w którym mieszkał *kadi baszi*, dowodzący kazał zatrzymać się niosącym lektykę ludziom, sam zaś zapukał do środka. W bramie otwarło się małe okienko i pojawiła się w nim twarz jakiegoś Murzyna.

— *Leltak saide!* Niech błogosławiona będzie twa moc! — pozdrowił go janczar. — Czy jesteś strażnikiem tego domu?

— Tak. Czego sobie życzysz, o panie?

— Czy twój władca, *kadi baszi* nie śpi jeszcze?

— Siedzi na balkonie pod dachem i pracuje.

— A czy pewien *sidi*, o nazwisku Nurwan pasza, mieszka u niego?

— Tak.

— Czy on również nie śpi?

— Tego nie wiem.

— Zatem zbudź go, ale najpierw otwórz.

— O tak późnej porze? To niemożliwe. Mój pan rozgniewałby się na mnie.

— Nie mam zamiaru wchodzić, chcę tylko przekazać ci lektykę.

— Kto w niej jest?

— Pewna osoba, której oczekuje pasza.

— A kto ją przysłał?

— Wicekról.

— W takim razie otworzę. Ale ty nie wchodź, tylko tragarze i niech zaraz potem wyjdą!

— Moja noga nie przestąpi nawet progu tego domu, ty zaś pamiętaj, że nie śmiesz otworzyć lektyki wcześniej nim nie pojawi się tu sam Nurwan pasza.. Powiedz mu tylko, że wicekról przysłał mu to, czego od niego żądał!

Brama została otwarta, czterej mężczyźni wnieśli lektykę na dziedziniec po czym oddalili się w milczeniu. Murzyn nie odważył zbliżyć się do lektyki, skierował się natomiast w stronę pałacu, a następnie wyszedł na balkon, na którym znajdował się sędzia. Ten siedział otoczony księgami i czytał coś pilnie.

Usłyszał wchodzącego i odwrócił się w jego stronę z oburzeniem.

— Czego chcesz? Czy nie wiesz, że o tej porze nikt nie ma prawa zakłócać mi spokoju?

Murzyn padł na ziemię i leżąc tak odważył się jedynie unieść lekko głowę.

— Wiem o tym, panie, wszakże musiałem ci przeszkodzić, aby powiadomić cię o lektyce przysłanej przez wicekróla.

— Lektyka ? Pusta? Dla kogo?

— Dla Nurwana paszy i nie jest pusta.

— Kto jest w środku?

— Tego nie wiem. Przynieśli ją tragarze, dowodził nimi jakiś oficer janczarów, który zakazał mi zaglądania do środka. Mam także powiedzieć, że wicekról przysłał to, czego Nurwan pasza od niego żądał.

Kadi podniósł się zaskoczony.

— Ty wracaj na dół, do swoich obowiązków!

Murzyn wyczołgał się tyłem z pokoju, zaś sędzia niezwłocznie udał się do pokoju, w którym mieszkał Katombo. Ten siedział jeszcze z Ayeschą i opowiadał jej wydarzenia dzisiejszego dnia. Usłyszał kroki, które zatrzymały się w przedpokoju, poszedł więc zobaczyć, kto to może być.

— To ty? — spytał zdziwiony, gdy ujrzał *kadięgo*.

— Tak, to ja. Obawiam się, że twej duszy nie dane jeszcze będzie zaznać spokoju. Chodź ze mną na dziedziniec!

— Ale po co miałbym tam iść?

— Zobaczyć lektykę, którą przysłał ci wicekról.

Duszę Katombo ogarnęło złe przecucie. Obaj mężczyźni zeszli na dziedziniec i otwarli lektykę. Promień księżycy wpadł do jej środka, a wtedy ujrzeli trupioblade kobiece oblicze, z którego spoglądały ku nim upiorne, szeroko rozwarte, pozbawione blasku oczy.

— Sobeide! — krzyknął Katombo.

— Sobeide, córka Said Abdullaha i żona Omara Bathu? — wyszeptał sędzia.

— Tak. Wicekról kazał ją zamordować!

Kadi zdążył już oprzytomnieć.

— Nie powinieneś tak twierdzić. Mogła przecież umrzeć, mogła sama sobie zadać śmierć, ale niewykluczone też, że może jeszcze żyje. Musimy ją zbadać. Każ, aby zaniecono ją na górę, do twojej żony!

— Nie, tylko nie to, Ayescha umarłaby z przerażenia. Wskaż mi jakiś pusty pokój, do którego mógłbym ją przenieść!

— Dobrze, chodź więc!

Katombo dźwignął zwłoki dziewczyny. *Kadi* z kolei rozkazał Murzynowi trzymać język za zębami i usunąć lektykę. Następnie poszli obaj do jednego z niedużych pokoi, chcąc, aby nikt im nie przeszkadzał. *Kadi* oświetlił wnętrze, a Katombo położył martwą na dywanie.

— Nie żyje, jej członki są zimne i sztywne.

Kadi złapał za jedną ze zwisających w dół rąk.

— Martwa. Ale ta sztywność jest nienaturalna. Ona nie umarła w zwyczajny sposób.

Katombo przeniósł bliżej światło i obejrzał dokładniej zwłoki. Niespodziewana myśl zaświtała mu w głowie.

— Popatrz na jej nos. Nozdrza zmarłej są rozszerzone i nabrały bardzo ciemnego koloru.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał *kadi*.

Zamiast odpowiedzi Katombo oświetlił rzadkiej piękności pierścień, jaki nosiła Sobeide.

— To jest pierścień Mameluka. Nosił go zawsze i nigdy się z nim nie rozstawał. Powiedział mi kiedyś, że pierścień zawiera drobnuteńki proszek, sporządzony przez pewnego mądrego maga. Kto go powącha, musi umrzeć, nie istnieje bowiem środek, który zapobiegłby śmiertelnemu działaniu tej trucizny.

— No, a gdzie ten proszek miałby się znajdować?

Katombo ściągnął pierścień z palca zmarłej.

— Popatrz, nie ma tutaj żadnego drogiego kamienia, tylko złota pieczęć Mameluka, a pod nią znajduje się maleńki wydrążony schowek z ukrytym węń proszkiem.

— Otwórz schowek!

— To niebezpieczne. Zasłoń usta i nos!

Obwiązali się jakimiś chustkami i dopiero teraz Katombo spróbował otworzyć schowek. Udało mu się. Wewnątrz znajdował się drobnutki, niebieskawy proszek, na nim zaś leżał równie maleńki jak ów schowek, kawałeczek papieru, na którym napisane zostało tylko jedno słowo „włosy”.

— Co to miałyby znaczyć? — zdumiał się *kadi*.

— Że Sobeide zabrała ten pierścień z rąk Omara, gdy leżał nieżywy obok niej, to pewne. Wiedziała także, że znam tajemnicę tego pierścienia, i że natychmiast odgadnę w jaki sposób poniosła śmierć, gdy tylko ujrzę go na jej palcu. Domyślała się, że zagładnę do schowka w pierścieniu i znajdę karteluszkę. Prawdopodobnie więc przed śmiercią ukryła we włosach coś, co może pomóc wyjaśnić nam całą sprawę. Szukajmy zatem!

Rozpuścili sploty wspaniałych włosów i okazało się, że przypuszczenia Katombo były słuszne. Między włosami ukryty był poskładany kawałek papieru. Katombo rozłożył go i zaczął czytać.

„*Katombo!*

Dziś wieczorem mam zostać nałożnicą mordercy, a potem chce wydać mnie tobie. Będąc pozbawiona czci, nie potrafiłabym już dłużej żyć, dlatego muszę umrzeć. On przyśle ci nie zwłoki, wtedy znajdziesz te słowa. Ucałuj Ayeschę. Żegnajcie i pomścijcie śmierć moją i moich najbliższych!

Sobeide.”

Pięść Katombo zacisnęła się, zaś jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

— Pójdę do niego i zabiję go!

— Przez twe usta przemawia gniew. Zapomniałeś, że nie możesz opuszczać tego domu, i że kedywa nie jest tak łatwo zabić jak jakiegoś *fellaha*, czy mieszkającego na pustyni Araba.

— A dlaczego nie? Czyżby jego życie było mocniejsze? Czyżby miał takie serce, którego nie potrafi dosięgnąć żadna kula?

— Jest tak samo śmiertelny jak każdy inny człowiek, ale zemsta będzie kosztowała życie także ciebie. Pomyśl o swej żonie i swym dziecku!

Groźnie uniesiona ręka Katombo opadła.

— Masz rację, ale mimo to on umrze również, chociaż nie od kuli, ani od miecza. Powinien umrzeć taką śmiercią jaką zgotował córce Abdullaha.

Włożył niebezpieczny pierścień na swój palec. *Kadi* położył mu ostrzegawczo dłoń na ramieniu.

— Prorok mówi „Zanim coś powiesz, zastanów się wcześniej trzy godziny! Wszakże zanim zechcesz uczynić jakąś rzecz, zastanów się wcześniej trzykrotnie po trzy godziny!” Nie czyn niczego póki nie odzyskasz równowagi ducha i normalnej ostrości widzenia. Życie władcy jest święte i nietykalne.

— Ale nie bardziej święte i nie bardziej nietykalne niż każde inne. Nie musisz się więc o mnie troszczyć! Nurwan pasza nie podejmuje się czegoś, czego wcześniej gruntownie nie przemyślał. Zaczekam, póki nie nadejdzie odpowiedź sułtana.

— Będziesz wtedy miał sposobność okazać swą wielkoduszność. Czy zamierzasz powiedzieć swej żonie, że jej siostra nie żyje?

— Tak.

— Czy nie byłoby lepiej, gdybyś to na razie zataił?

— Nie. W tej sytuacji powinno się jej okazać współczucie, wiem zresztą, że Ayesche milsza będzie siostra martwa niż żywa, za to w ramionach tego, który winien jest śmierci ich ojca. Chodźmy stąd, a ty pozwól mi teraz udać się do niej! *Lei tak saide!* Niech błogosławiona będzie twa noc.

Z ciężkim sercem opuszczał zmarłą, by za chwilę z kolei sprawić ból żyjącej, przekazując jej smutne wiadomości.

Upłynęło sporo czasu, ale żadne nowe wydarzenie nie zakłóciło samotności Katombo i dopiero po kilku tygodniach miał się przekonać o skutkach wysłanej do Stambułu, zarówno przez niego, jak i wicekróla wiadomości. Zasiadał akurat do kawy, gdy wszedł służący z meldunkiem.

— Efendi, przybył jakiś człowiek, który chce z tobą mówić.

— Kto to taki?

— Jakiś oficer ze Stambułu.

— Jak się nazywa?

— Fessar Achmed.

Twarz Katombo spochmurniała. Fessar był krnąbrnym podwładnym, któremu niejedną raz dał odczuć z całą bezwzględnością jak surowa może być sprawiedliwość. W każdym bądź razie to nie był dobry znak, że sułtan do przekazania swej decyzji, wybrał właśnie tego człowieka.

— Wprowadź go!

Służący wypełnił rozkaz i w środku pojawił się Turek, którego dzikie, okolone brodą oblicze nie budziło zaufania. Zamiast głębokiego ukłonu, jaki winien być osobie admirała, położył tylko prawą rękę niedaleko serca, uczynił kilka kroków do przodu, a następnie zatrzymał się przybrawszy wyzywającą pozę.

— Fesarze Achmedzie, kto cię przysłał? — spytał Katombo.

— Zarówno sułtan, którego Allah nazywa swym wybrańcem jak i admirał, który jest tak wielkim bohaterem jakim nie był nikt przed nim.

— Admirał? Przecież to ja jestem admirałem.

— Byłeś. Teraz jest nim Rumid pasza, ten sam, który z twego powodu został zesłany do Smyrny.

— Allah jest wielki, ale wygląda na to, że ty i sułtan jesteście jeszcze więksi. Jakie to wiadomości miałeś mi przesłać?

Przybysz sięgnął do torby i wyciągnął z niej małą szkatułkę oprawioną w safian i obitą na rogach złotymi blaszkami.

— Pan i władca wszystkich wiernych przesyła ci przeze mnie, w uznaniu za twe wcześniejsze zasługi jak i za to czego się teraz od ciebie dowiedział tę oto ozdobę. Równocześnie kazał cię prosić, abyś zechciał się w nią przystroić w mojej obecności, po to, bym mógł potwierdzić, że rzeczywiście ją sobie założyłeś.

Katombo otworzył szkatułkę. Znajdowała się w niej owa służąca egzekwowaniu wyłącznie woli sułtana, tak złowróżbna i straszna kosztowność; żółty, jedwabny sznur, za pomocą którego, każdy kto go otrzymał winien był odebrać sobie życie. Katombo długo przypatrywał się zawartości szkatułki, wreszcie odezwał się cicho:

— Pokaż mi swój paszport!

— Nie wierzysz mi?

— Mam zadać sobie śmierć dając wiarę słowom człowieka, któremu nie ufam? Daj mi twój dokument, chcę go obejrzeć!

Szyderczy uśmiech pojawił się na twarzy Turka. Wyciągnął pergamin i pokazał go Katombo.

— Oto pełnomocnictwa sułtana!

— Są prawdziwe. Rzeczywiście władca wszystkich muzułmanów potrafi okazywać swą wdzięczność we wspaniały i isticie królewski sposób! Jakie wiadomości z kolei masz przekazać mi od nowego admirała?

— Mam ci powiedzieć, że kosztowało go to wiele wysiłku, zanim udało mu się wyjednać dla ciebie tak drogocenny prezent.

— Nie wątpię. Co zrobisz jeśli nie przyjmę sznura?

— Wysyłając go sułtan okazał ci łaskę, nie chciał bowiem abyś zakończył żywot niczym zwyczajny przestępca. Jeśli wszakże nie usłuchasz rozkazu, będę zmuszony potraktować cię jak właśnie kogoś takiego.

— To znaczy jak?

— Po prostu, będę musiał ci odrąbać głowę i następnie zanieść ją sułtanowi.

— To nie będzie konieczne, ponieważ zamierzam, przekazany mi przez ciebie rozkaz sułtana wypełnić i to z dokładnością co do jednego słowa. Powiedziałeś zatem, że władca wszystkich wiernych prosił mnie, abym zechciał w twej obecności przystroić się w tę ozdobę, po to abys mógł potwierdzić, iż rzeczywiście ją sobie założyłem?

— Właśnie tak powiedziałem.

— Patrz zatem! Oto wypełniam rozkaz.

Wziął sznur i założył go sobie na szyję niczym naszyjnik.

— Stój! Nie o to chodziło. Tam jest okienna krata. Powieszysz się na niej, a ja zaczekam przy tobie, aby się przekonać iż faktycznie wyzionąłeś ducha.

— Sądzisz, że to uczynię? Nic podobnego, wykonałem wszystko zgodnie z twoim słowem. Na więcej nie możesz już liczyć. Wracaj z powrotem do Stambułu i zamelduj swemu panu, że założyłem sobie sznur na szyję! Moje życie należy do Boga, a nie do sułtana i o tym, czy popełniłem występki przeciwko prawu, nie może rozstrzygać samobójstwo czy skrytobójstwo lecz uczciwe śledztwo i proces sądowy!

— Odmawiasz zatem spełnienia rozkazu sułtana?

— Odmawiam.

— W takim razie zabieram twoją głowę! — wyciągnął krzywą, turecką szablę i podszedł bliżej.

— Ty? — krzyknął z lekceważeniem Katombo.

— Tak, ja! Twój opór na nic się nie zda, gdyż jestem równie silny i zręczny co ty, tylko, że ty nie masz broni.

— Robaku! Opuść ten dom, bo jeśli nie to ja stanę się wykonawcą polecenia, które otrzymałeś. Wtedy to ja zabiorę twoją głowę i wyślę sułtanowi, aby mógł się przekonać, że istotnie byłeś tu u mnie.

— Co takiego? Giń!

Posel zamachnął się chcąc zadać potężny cios, lecz Katombo zdążył go ubiec. Dосkoczył do niego, wyrwał mu szablę, lewą ręką złapał za dłoń i mocnym szarpnięciem zakręcił nim w koło... błysnęło ostrze i zaraz potem jego silne i zdecydowane cięcie pozbawiło Turka głowy.

Teraz Katombo wziął się za przeszukiwanie torby zabitego. Znalazł w niej pismo sułtana, w którym ten powiadamiał wicekróla o śmierci Nurwana paszy zadanej sobie własnoręcznie przy użyciu jedwabnego sznura. Z treści listu wynikało więc, że w Kairze nikt jeszcze nie wiedział o misji, jaką miał do spełnienia Fessar Ahmed. Nurwan nie zastanawiał się długo.

Zyskał na czasie, dzięki czemu mógł starannie przygotować się do ucieczki. Najpierw zamknął swój pokój, po to, aby nikt nie zobaczył co się w nim stało. Następnie odprawił lektykę z Ayeschą i małą Sulejką oraz uzbrojonym sługą. Znajdujący się na zewnątrz policjanci, zwracali uwagę wyłącznie na niego, żona z córką mogły się więc swobodnie wydostać z pałacu. Wreszcie udał się do *kadięgo*, który nie miał najmniejszego pojęcia o tym co zaszło.

— Przyszedłem cię pożegnać.

Sędzia spojrzał na niego zaskoczony.

— Masz wiadomość od sułtana?

— Tak.

— I jak ona brzmi?

Katombo opowiedział mu wszystko z godnie z prawdą, oblicze *kadięgo* spoważniało.

— Czy wiesz, że będę musiał cię w takiej sytuacji wydać sułtanowi?

— Uczynisz to?

— Zrobiłeś wielką karierę, a potem spadłeś z wysoka na sam dół, wszakże dostąpisz jeszcze tych wszystkich zaszczytów. Sułtan ma następcę, ten zaś udzielił mi bardzo ważnej wskazówki, która dotyczy bezpośrednio ciebie. Musisz pozostać wolny!

— Tak wiem, że znów dostąpię zaszczytów i dlatego nie chcę zapomnieć o twej wielkości, niczym brat zapominający brata.

— Gdzie twoi bliscy?

— Są już daleko stąd. Spotkam się z nimi w pewnym bezpiecznym miejscu.

— A w jaki sposób chcesz zmylić policjantów?

— Opuszczę twój dom w przebraniu derwisza.

— To może obudzić i podejrzenia, ponieważ wiedzą, że nikt tu nie wchodził. Czy twoja twarz jest im znana?

— Niespecjalnie.

— W takim razie wystaram ci się o strój gońca. Wyjeżdżam, będziesz mi towarzyszył.

— Jeśli mogę cię prosić, zabierz się raczej lektyką, dzięki temu mógłbym wyprowadzić stąd także moich ludzi.

— Dobrze, jak chcesz. Twoje mieszkanie każę oczyścić, a trupa wynieść.

— Głowę natomiast zabiorę ze sobą.

— Rób co ci się podoba!

Pół godziny później otwarto bramę i policjanci, którzy tam podeszli dostrzegli czterech tragarzy stojących obok lektyki i dwóch gońców. Ci ostatni dzierżyli w rękach pejcze z nilowej trzciny, aby przy ich pomocy torować lektyce drogę na wąskich i ruchliwych ulicach miasta.

Już po chwili na dziedzińcu ukazał się *kadi baszi*, z tyłu za nim jeden z niewolników niósł jego fajkę. Wyraźnie było widać, że w lektyce nie ma nikogo. *Kadi* wsiadł do środka, zaś tragarze chwycili za drążki. Orszak szybkim krokiem zbliżył się do bramy. Ludzie wicekróla nie dość szybko odsunęli się na boki, więc obaj gońcy przystąpili od razu do wykonywania swych obowiązków.

— Na lewo! Na prawo! — zaczęli wołać jeden przez drugiego, podnosząc równocześnie w górę swe pejcze.

Policjanci zgłupieli do reszty, zapominając kim właściwie są, rozstąpili się pospiesznie by nie tarasować przejścia. Lektyka minęła ich i przepadła w ulicznym tłumie. Ucieczka Katombo powiodła się.

Następnego dnia do pałacu wicekróla przybył pewien *fellah*, domagając się rozmowy z samym kedywem. Na pytanie urzędnika z czym przychodzi, wyjaśnił, iż ma do przekazania bardzo ważne pismo, które nie może dostać się w żadne inne ręce. Ponieważ był to tylko zwyczajny *fellah*, nie został dopuszczony przed oblicze władcy; co więcej odebrano mu pismo, on zaś widząc co się dzieje, oddalił się pospiesznie.

List wędrował z rąk do rąk, by wreszcie trafić pod swój, jakże wysokiej rangi adres. Namiestnik Egiptu wziął do ręki starannie zapieczętowaną i zaadresowaną kopertę z mocnego papieru i otworzył ją. Zawierała arkusz papieru zapisany tak drobnymi literami, że musiał go trzymać bardzo blisko oczu i potrzebował sporo czasu, aby odcyfrować zawartą tam treść.

„Do tyrana Egiptu!

Zamordowałeś Said Abdullaha i Omara Bathu, i chciałeś zniszczyć również mnie; winien jesteś także śmierci Sobeide. Oko za oko, ząb za ząb! Umrzesz taką samą śmiercią jaką jej zgotowałeś. Sobeide przejęła od swego poległego małżonka pierścień, zawierający sproszkowaną, niezwykle skuteczną truciznę. Zażyła ją po to, by nie zostać twoją żoną. Przesłałeś mi jej zwłoki, a ja znalazłem przy nich ów pierścień. Nasączyłem ten papier trucizną i napisałem na nim do ciebie, w taki sposób, abyś musiał się jej nawdychać przy czytaniu. Twoje godziny są policzone, żaden lekarz nie będzie ci w stanie pomóc. Będziesz konał wolno i umrzesz nędznie. W tej ostatniej godzinie pomyśl o swoich czynach i o mnie, który potrafił zemścić się za swoich’

Nurwan pasza.”

Kedyw zbladł, cały zeszywniał i wpatrywał się w list, który przyniósł mu zgubę. Sobeide była pomszczona. Mimo wszelkich starań, nie udało się znaleźć żadnego środka, który powstrzymałby działanie trucizny i po kilku godzinach rozstał się z życiem.

Kilka dni później nowomianowany admirał otrzymał wysłaną przez nieznanego nadawcę, paczkę. Znajdowała się w niej głowa kapitana Fessara i szkatułka z jedwabnym sznurem, w który jak pamiętamy miał się przystroić Katombo.

POD CZERWONĄ BANDERĄ

Katombo dotarł szczęśliwie do Rosette. Pieniądzy wystarczyło mu na wszystko, czego potrzebował. Swą rodzinę musiał umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu, udał się więc w przebraniu do portu, gdzie na kotwicy stały statki najróżniejszych narodowości.

Pomiędzy dwoma wielkimi i ciężkimi statkami, które przyplęły tu z Europy kołysała się cicho wysmukła, ostrodzioba *feluka* — szybki żaglowiec, przypominający szczupłą i zgrabną hinduską tancerkę w otoczeniu dwóch niedołącznych Chinek.

Właśnie odbiła od niej łódź zabierając na brzeg dwóch mężczyzn, wyglądających na dostojnych Turków bądź Arabów. Poszli oni w głąb ładu, marynarz zaś, który wiosłował łodzią, pozostał. Katombo pokręcił się jeszcze kilka chwil, a następnie podszedł do niego.

— *Salam aleik!*

— *Waleik!* — odrzekł mężczyzna niechętnie.

Nosił on krótkie białe spodnie, wyblakłą czerwoną kurtkę i stary fez bez frędzla. Za to nóż i oba pistolety wystające zza podartego pasa, były przedniej roboty.

— Jesteś z tamtego statku? — spytał Katombo.

— Tak.

— To musi być wspaniały żaglowiec. Skąd przyplwacie?

— *Allah bjarif*, tylko Allach to wie.

— Jak dawno rzuciliście tu kotwicę?

— *Allah bjarif*.

— A dokąd płyniecie?

— Czy nie słyszałeś, że tylko Allach to wie?

— Człowieku, podobasz mi się.

— Za to ty mi się nie podobasz.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie wiesz jaka to piękna rzecz trzymać język za zębami.

— Wiem o tym. Milczenie jest złotem, za to mowa przynosi złoto! — wyciągnął z torby sztukę złota i rzucił ją marynarzowi.

Ten złapał ją szybko i schował.

— Myliłem się, podobasz mi się i to bardzo, ponieważ widzę, że Allach obdarzył cię zarówno mądrością jak i rozsądkiem.

— Zatem skąd przyplnęliście?

- Z Jaffy
- A gdzie zmierzacie?
- Do Tunisu.
- A jak długo tu zostajecie?
- Do jutra rana.
- Ja również udaję się do Tunisu. Chcę mówić z twoim kapitanem. Gdzie on jest?
- Na pokładzie.
- Możesz mnie tam przewieźć?
- Mogę, wsiadaj!
- Kim byli ci dwaj mężczyźni, którzy udali się na ląd?
- To był sternik i żaglomistrz.

Katombo przytaknął lekkim skinieniem głowy, wyglądało na to, że jego przypuszczenia znalazły potwierdzenie. Sternik i żaglomistrz tak wytwornie ubrani? A w ogóle po co na *feluce* żaglomistrz?

Łódź ruszyła i po chwili znalazła się przy burcie statku.

— Daj mi znać, gdy będziesz chciał żebym cię zabrał z powrotem! — rzekł wioślarz i popłynął znów do brzegu. Widocznie miał tam czekać na obu dystyngowanych nieznajomych.

Katombo wspiął się po opuszczonej drabince sznurowej, a uczynił to jak ktoś, kto nie miał z morzem zbyt wiele wspólnego. Na górze wskazano mu kajutę, o którą spytał. Zanim jednak wszedł do środka obrzucił pokład wnikliwym i badawczym spojrzeniem.

Kapitan, który był opasłym muzułmaninem spoczywał na swym dywanie i palił wodną fajkę. Można było po nim poznać, że mu przeszkodzono, i że widok człowieka, który nie służył nigdy na statku nie jest mu zbyt miły.

- Kim jesteś? — spytał opryskliwie.
- Człowiekiem, który potrzebuje twojej pomocy — odparł Katombo.
- Po co ci ona?
- Aby wyjechać z tego kraju.
- Musisz, czy chcesz wyjechać?
- Muszę.
- *Maschallah!* Widzę, że jesteś szczerzy! Jak się nazywasz?
- *Allah bjarif*, tylko Allah to wie.
- Bóg jest wielki, ale twój język nie chce mi pomóc. Czy nie wiesz, że nie zabieram nikogo, kto odmawia mi podania swego nazwiska?
- Wiem, ale mimo to zabierzesz mnie ze sobą. Mnie, moją żonę i moje dziecko.

— Nie potrzebuję ani kobiety, ani dziecka na pokładzie.

— Wiem o tym, ale mogę zapłacić ci tyle ile tylko zażadasz.

Te słowa spotkały się z życzliwym przyjęciem. Kapitan podumał przez chwilę, po czym rzekł:

— Czy byliście już kiedyś na morzu?

— Owszem.

— Zatem nie boicie się wiatru ani deszczu?

— Nie.

— Ani żadnych innych rzeczy?

— Co masz na myśli?

— Powiedzmy piratów, od których aż roi się na tych wodach.

— Ich też się nie boimy.

— Ach, jesteś mocny w gębie! A gdyby tu pojawił się teraz „Tygrys”? Słyszałeś o nim?

Katombo zaczął się śmiać.

— I to sporo. Nic by nam nie zrobił.

Ton jakim zostały wypowiedziane te słowa, sprawił, że kapitan spojrzał do góry z uwagą.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Ponieważ jest on uzbrojony tak samo jak ten statek. Zresztą też jest *feluką*, zbudowaną równie wspaniale jak twoja.

W oczach kapitana pojawił się jakby cień sympatii.

— A dokąd chciałbyś się udać?

— Do Tunisu, a może do Algieru, powiem ci to w trakcie podróży.

— Będziesz musiał dużo zapłacić.

— Być może nic nie zapłacę. Chcę stąd uciec, więc mogę płynąć nawet na „Tygrysie”.

— Dasz pięćset talarów Marii Teresy?

— Tak.

— W tym kraju jest dla ciebie za gorąco. Przyjmę was na pokład. Wypływamy jutro w czasie porannej modlitwy. Kiedy zamierzasz przybyć na statek?

— Dziś wieczorem, gdy się już ściemni.

— Przyniesiesz ze sobą broń?

— Tak. Jest jeszcze lepsza niż ta, którą ty masz.

— *Maschallah!* Musimy się poznać. Allach niech będzie z tobą!

Katombo mógł więc odejść. Gdy wieczorem wrócił, wszystko na jego przyjęcie było już przygotowane. Ayescha z Sulejką ulokowane zostały w takim miejscu, w którym nie były

narażone na zaczepki ze strony załogi, a wczesnym rankiem, ład pozostał daleko z tyłu za *feluką*, która złapała wiatr w pełne żagle i gnała teraz niczym najwspanialszy żaglowiec, kierując się na zachód.

Katombo jako pasażer miał podczas podróży dużo wolnego czasu i mógł obserwować wszystko to co się działo na statku. Kapitan jak dotąd, w najmniejszym stopniu nie troszczył się o *felukę* i pozostawał niezmiennie w swej kajucie, chociaż już samo wyjście z portu, wymagało w gruncie rzeczy jego obecności na pokładzie.

Przypuszczenia Katombo potwierdziły się. Kapitan był zapewne właścicielem statku, ale już na pewno nie żeglarzem, mógł więc liczyć tylko na swoich ludzi. Sternik, rzeczywiście okazał się fachmanem w całym tego słowa znaczeniu. Zresztą równie dobrze kapitanem *feluki* mógł być i ten, którego marynarz wskazał jako żaglomistrza. Dowodził bowiem statkiem w taki sposób, że musiało się dostrzec w nim doświadczonego i dzielnego żeglarza.

Katombo rzuciło się w oczy to, że nie posiadał on wcale wschodnich rysów. Podobnie było zresztą i w przypadku pomocnika sternika. Ten niezwykle młody człowiek był tak podobny do żaglomistrza, że myśl o ich bliskim pokrewieństwie musiała narzucać się sama.

Żaglomistrz stał akurat na tylnym pokładzie. W pewnej chwili ruszył się i podszedł do masztu, o który opierał się Katombo. Było widać, że ma ochotę pogawędzić sobie z nowym pasażerem.

— No i jak ci się u nas podoba?

— Bardzo mi się podoba, tu na górze też.

— Co przez to rozumiesz?

— Tam na dole w ładowni byłoby mi zbyt duszno i ponuro. Więc jako kapitan kazałbym ludziom wyjść w końcu na świeże powietrze.

Żaglomistrz spojrzał na niego zaskoczony.

— Jakim ludziom? Szpiegowaleś nas?

— Nie, ale jestem żeglarzem, a ktoś taki powinien mieć o tym, czy o tamtym jakoweś pojęcie.

— Powiadasz żeglarzem? Czy to znaczy marynarzem?

— To nie jest takie ważne.

— A może jest? Na podstawie czego sądzisz, że mamy jeszcze innych ludzi, prócz tych, których tu widać?

— Na podstawie budowy i takielunku tego statku.

— A gdybyś miał dajmy na to rację, co wtedy byś uczynił?

— Nic. Jestem podróżującym pasażerem, którego zabraliście ze sobą i wiem dobrze do czego mnie to zobowiązuje.

— No dobrze. Zresztą jesteśmy już dostatecznie daleko od lądu, możemy więc pokazać nasze barwy.

Dwa krótkie rozkazy, które, następnie wydał, zostały spełnione w okamgnieniu. Wystarczyło przeciągnięcie jednej liny, aby odwrócić znajdujący się pod rozprzą masztu ogromny znak półksiężyca, po jego drugiej stronie ukazał się znak pirata, którego uzbrojona w hak abordażowy prawica dawała sygnał do ataku, lewica zaś unosiła w górę czerwoną banderę. Poniżej wielkimi literami wypisane było słowo „Tygrys”. W tym samym czasie otwarł się jeden z luków na przednim pokładzie, z którego wyszło ponad dwudziestu doskonale uzbrojonych ludzi, a z ich twarzy łatwo można było wyczytać, że to nie lada zabijaki.

— Są wspaniali! — pochwalił ich Katombo. — Jeszcze nie wszedłem na pokład, a już wiedziałem, że znajduję się na „Tygrysie”.

— Skąd wzięło się u ciebie takie przypuszczenie? Czyżbyś chciał zostać jednym z nas?

— Możliwe.

— A także i prawdopodobne. Zabieramy na pokład tylko takich jak my. Twoja osoba spodobała się kapitanowi i dlatego udał przed tobą, że ruszamy w zwykły rejs. Radzę ci więc przyłączyć się do nas i pozostać tu z nami z własnej woli.

— Ale jako kto?

— To będzie zależało od twoich umiejętności. Czym się zajmowałeś, gdy ostatnio służyłeś na statku?

Katombo uśmiechnął się pod nosem:

— Byłem żaglomistrzem.

— Żaglomistrzem? Rzeczywiście? Komu służyłeś?

— Sułtanowi.

— Na jakim okręcie?

— „Ali Hamed”.

— To znaczy, że musisz być wytrawnym wilkiem morskim. Jak stamtąd uciekłeś i skąd u ciebie żona i dziecko?

— Jestem chrześcijaninem i jestem żonaty. Dlaczego wystąpiłem ze służby u tureckiego sułtana, opowiem ci innym razem. Tymczasem mogę cię tylko zapewnić, że odszedłem stamtąd w zaszczytny sposób.

— Mam nadzieję i gdybyś został u mnie cieszyłbym się ogromnie. Miałbym dla ciebie nawet posadę, przynajmniej na teraz. Mój chłopak ma zamiar ruszyć gdzieś dalej w świat,

opuści więc „Tygrysa”, mógłbyś zatem zostać pomocnikiem sternika. Na pewno będę z ciebie zadowolony, jeśli przystaniesz na to. Żonę z dzieckiem możesz ulokować w jakimś portowym mieście.

— Kto jest twoim synem?

— Ten, który stoi obok sternika.

— Czy „Tygrys” ma takie bezpieczne miejsce, do którego nie bojąc się, że zostanie rozpoznany, może zawijać w każdej chwili?

— Nie.

— Zostanę z tobą pod jednym wszakże warunkiem, że poszukasz takiego miejsca.

— Trudno będzie je znaleźć.

— Znam jedno takie. Małą, samotną wyspę wprost stworzoną do tego, by taka *feluka* jak ta, mogła tam przybić niezauważona.

— Gdzie?

— Całkiem niedaleko stąd. Nie ma jej na żadnej mapie, ale potrafię ci dokładnie opisać jej położenie.

— Chodźmy zatem do kajuty, tam mamy mapy.

Zeszli na dół, do pomieszczenia niewiele większego niż kajuta sternika na wojennej fregacie, za to świetnie urządzonego i wyposażonego we wszelki potrzebny do nawigacji sprzęt, którego doskonałą jakością Katombo rozpoznał już na pierwszy rzut oka.

Żaglomistrz wziął do ręki mapy i kazał wybrać Katombo właściwą, na której ten przy pomocy punkcika zaznaczył wspomnianą wcześniej wyspę. Byli jeszcze zajęci, gdy do kajuty wszedł jeden z marynarzy.

— O co chodzi? — spytał żaglomistrz.

— Na północnym wschodzie pokazał się jakiś żagiel.

— Już idę.

Gdy weszli na pokład, we wspomnianym kierunku ujrzeli maty, biały punkcik. Żaglomistrz chwycił za lunetę, również i Katombo wyciągnął swoją, a po chwili na jego twarzy pojawił się niepokój.

— Co to jest? — spytał żaglomistrz, chcąc wystawić na próbę pytanego.

— Na pewno nie okręt wojenny — odparł Katombo.

— Widzisz bardzo dokładnie. Co zatem to jest?

— Jakiś trójmasztowiec, zdaje się, że wspaniały żaglowiec.

— Tego nie możesz przecież zobaczyć.

— Ależ tak.

— Albo jesteś równie dobry jak ja, albo twoja luneta jest lepsza od mojej. Czy według ciebie, powinniśmy zachować nasz dotychczasowy kurs?

— Nie, bowiem tamten statek wygląda tylko na handlowy. Ile mamy dział?

— Na dole cztery, a na pokładzie te trzy.

— Jeśli tak, to radzę ci skierować się na południowy wschód, a kiedy zasłoni nas linia lądu, odpłynąć na zachód i zatoczyć przed tym żaglowcem łuk, tak abyśmy znaleźli się po jego wschodniej stronie mając przed sobą otwarte morze.

— Nie podoba mi się to.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie musimy się bać żadnego handlowego statku. Nawet gdyby chodziło o okręt wojenny, to takie posunięcie nic nam nie da, ponieważ i tak ma on większe od nas zanurzenie i będzie się strzegł, aby nie ruszyć za nami na zachód, gdzie łatwo mógłby wpaść na niebezpieczne mielizny.

— Rób co chcesz — powiedział Katombo wzruszając przy tym ramionami.

Udał się do pomieszczenia, które zajmowały Ayescha z córką. „Tygrys” nie zmienił swego kursu. Obcy żaglowiec zbliżał się coraz bardziej i już wkrótce okazało się, że Katombo miał rację. Był to długi, posiadający wąską sylwetkę trójmasztowiec, który zachowywał się na morzu w dość osobliwy sposób, nie obwieszczając swej przynależności państwowej, ani za pomocą bandery, ani za pomocą wimpla, trokątnej rozpoznawczej flagi.

Żaglomistrz wyglądał teraz na mocno zafrasowanego i nagle, zupełnie nieoczekiwanie wydał rozkaz, aby skrócić na północny zachód. Katombo, znajdujący się pod pokładem musiał odczuć ten manewr, udał się więc do góry, zlustrował uważnie horyzont, po czym podszedł do żaglomistrza.

— Widzisz, a jednak się nie myliłem. Dlaczego chcesz go wyminąć?

— Nie wywiesił flagi i to naturalnie wydało mi się podejrzane. Ten statek ma budowę fregaty a takielunek klipra. To najlepszy żaglowiec, jaki kiedykolwiek widziałem. Jeśli dysponuje dobrą załogą i choćby tylko czterema działami, nie będziemy mogli w żaden sposób się do niego dobrać.

— To nie wszystko. Mało, że nie jesteśmy w stanie mu nic zrobić, to czeka nas jeszcze niechybna zguba.

— Hm, a to dlaczego?

— Gdyż to jest „Selim” statek, któremu nie dorówna żaden inny na świecie.

— „Selim”, ten cudowny statek, który kazał zbudować zgodnie ze swym planem, w najdrobniejszych nawet szczegółach, ów słynny Nurwan pasza?

— I to po części jako statek pocztowy, po części zaś transportowy, w jakim jednak charakterze nie byłby użyty, potrafi osiągnąć maksymalną prędkość. Wyposażony jest w czternaście najlepszych dział, które stale są zamaskowane i posiada załogę co najmniej tak liczną jak wojenna korweta.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Ponieważ służyłem na nim — odparł Katombo z wahaniem.

— Ty? — spytał tamten. — Jako to?

— Jako żaglomistrz. Przecież już ci to mówiłem.

— *Maschallah!* Jeśli to prawda, to z ciebie musi być diabelnie zdolny jegomość. Co byś więc zrobił, żeby im uciec?

— Im nie sposób jest uciec. Nie mogłeś wcześniej posłuchać mej rady?

— Ba! Przecież wtedy nas jeszcze nie miał! Mogłem trzymać się tak blisko brzegu, że on nigdy nie odważyłby się ruszyć za nami w pogoń.

— Hm! — uśmiechnął się Katombo. — To byłoby zbędne przedsięwzięcie. On ma niewiele większe zanurzenie niż my, zresztą doścignąłby nas zanim jeszcze zdołalibyśmy dojrzeć banderę.

— Okazuje się, że znasz dobrze nie tylko „Selima”, ale i tutejsze wody.

— To prawda. Wybieraj więc! Są tylko dwie możliwości: albo podejmiesz z nim walkę i pójdziesz na dno, albo z góry zdasz się na jego łaskę bądź niełaskę.

— *Kuli Schejatin!* Do wszystkich diabłów! Ale z ciebie cwana sztuka! Będę walczył. A ty co zamierzasz? Chcesz może zająć neutralną postawę?

— Jeśli nie uda się znaleźć jakiegoś innego wyjścia z tej sytuacji, to też będę walczył.

— Jakie to miałyby być wyjście?

— Tego nie wiem. Czasem jakaś błahostka, na którą nie zwraca się uwagi, sprawia, że udaje się wyjść szczęśliwie z największych tarapatów.

— Potrafisz być mądry i odważny, wtedy kiedy trzeba. Przydałbyś mi się bardzo. Chcesz walczyć jako ochotnik, czy mam ci wyznaczyć jakąś funkcję?

— Wolałbym to pierwsze.

— W porządku, ale trzymaj się zawsze blisko mnie!

Tymczasem na trójmasztowcu musiano już spostrzec, że *feluka* szykuje się do ucieczki. Skutek był taki, że pojawiła się nad nim ogromna chmura żagli, co przydało mu jeszcze większej dumy i ruszył zaraz z prędkością tak ogromną, jakby niosły go skrzydła.

Z każdą minutą był bliżej „Tygrysa”, a słońcu do skrycia się za morzem pozostał jeszcze spory kawał drogi. Zrozumiał więc pirat, że został doścignięty, skręcił i zataczając łuk,

skierował się na wschód. Liczył, że dzięki takiemu manewrowi nie da się złapać przed nastaniem nocy, później zaś zniknie gdzieś w jej ciemnościach. To mu się jednak nie powiodło, bowiem „Selim” także skręcił, wciągając teraz na maszt turecką flagę. Równocześnie otwarły się jego niewidoczne do tej pory furty armatnie, a następnie został oddany strzał ostrzegawczy, wzywający „Tygrysa” do zatrzymania się.

Ten wezwania nie posłuchał, przeciwnie, rozpięto jeszcze dodatkowo mały *topsel*, trójkątny żagiel, tak że maszty niemal ugiwały się pod ciężarem wszystkich żagli. I teraz płynął z taką prędkością, iż na pewno, żadnemu innemu statkowi prócz „Selima”, nie udałoby się go doścignąć. A trójmasztowiec zbliżał się coraz bardziej i właśnie poczęstował uciekającego pirata ogniem swych dział. Wyraźnie było widać jak kule zatańczyły po powierzchni fal i przepadły w morskiej otchłani, całkiem blisko sterburty „Tygrysa”.

Huk wystrzałów sprawił, że ze swej kajuty wyszedł na pokład kapitan. Jego gruba, pozbawiona wyrazistych rysów twarz była śmiertelnie blada, a idąc zataczał się jak pijany. W prawej ręce, która cała drżała trzymał szablę, w lewej zaś ścisnął odbezpieczony pistolet. Mimo, iż udało mu się odzyskać równowagę, nie był w stanie nic powiedzieć; zdołał jednak unieść do góry ramię zamierzając wydać jakiś rozkaz.

— Czerwona bandera na maszt! — wybełkotał. — Otworzyć furty armatnie!

— Będziemy się bronić! — odezwał się żaglomistrz. — Za pomocą samej bandery nie damy rady posłać tamtego na dno, a przecież silniejszemu przeciwnikowi nie pokazuje się od razu kim się jest.

— No i co teraz zrobisz? — spytał Katombo.

— Będę starał się za wszelką cenę trzymać się tak, aby jego kule nie mogły nas dosięgnąć. A kiedy znajdziemy się dostatecznie blisko to zakosztuje naszych i niechybnie pójdzie na dno.

— A my razem z nim.

— Jak to?

— Ma dodatkowe furty armatnie, tuż nad powierzchnią wody.

— Nie widzę ich.

— Są zamaskowane, podobnie jak i nasze.

— A jednak nie mogę postąpić inaczej. Tylko takie posunięcie stwarza nam jeszcze jakąś szansę.

— Czy kapitan zgodzi się na to?

— Też coś! Nikt się go nie będzie pytał. Znowu palił opium i jest zupełnie do niczego. Widzisz, przewrócił się i nie wstanie wcześniej niż minie odurzenie.

W tej samej chwili zagrzmiała ponowna salwa oddana z trójmasztowca. Tym razem była celna i trafiła w przedni pomost zasypując cały pokład niezliczonym mnóstwem drewnianych odłamków i szczap. Równocześnie na „Selimie” odsłonięto zamaskowane furty armatnie i okazało się, że Katombo miał rację.

— Niech to wszyscy diabli! Ten, tam dopiero dobrze strzela! — klął żaglomistrz. — Ale za dwie minuty będziemy z nim burta w burtę i wtedy przekona się, że i my mamy dla niego kilka dodatkowych kul.

— Nic nam to nie pomoże. Jeżeli nie chcesz, abyśmy zawiśli na najwyższej rei, zatrzymaj się i poddaj!

— Mamy się poddać? Czyś postradał rozum?

— Wprost przeciwnie, dobrze wiem co robię doradzając ci coś takiego.

— Czy nie wiesz, że pirat woli zostać zatopiony niż powieszony?

— Wiem o tym. Ale jeżeli się zgodzisz, abym podjął się z tamtymi pertraktacji, to gwarantuję ci, że oni pozwolą nam odpłynąć, nie niepokojąc nas więcej. Jeśli tak się nie stanie, to możesz mnie zasztyletować.

— Chyba zwariowałeś, zresztą nie ma czasu, aby teraz o tym mówić. Idź, zajmij jakieś stanowisko bojowe, albo poszukaj sobie kryjówki, rób co chcesz!

Żaglomistrz odwrócił się. Tymczasem „Selim” doszedł już „Tygrysa” na odległość kilku długości statku i jeszcze raz dał sygnał do zatrzymania się. Zamiast posłuchać, *feluka* ruszyła ostro w jego stronę, chcąc zbliżyć się na ile tylko to możliwe.

Dowódca „Selima” spostrzegł i udaremnił ten zamiar. Jego wspaniały okręt, aż ugiął się cały, kiedy dał ognia całą burtą. Zagrzmiało potężnie i lawina celnie wystrzelonych armatnich kul spadła na *felukę*, zmiatając wszystko z pokładu. Pociski i zerwane przez nie najróżniejsze części omasztowania uczyniły tam straszne spustoszenie. Ta jedna chwila wystarczyła, aby większość ze znajdującej się na pokładzie załogi została zabita lub ranna. Na „Selimie” rozległ się chóralny okrzyk radości.

Jedna z kul trafiła żaglomistrza, leżał martwy. Katombo skoczył do masztu flagowego i wciągnął do góry kawałek białego płótna. W tej samej chwili wyszli na pokład ci członkowie załogi, którzy przebywali jeszcze na dole. Gdy zobaczyli co zrobił Katombo, a potem martwego żaglomistrza i leżącego obok niego nieprzytomnego, ciężko rannego kapitana ruszyli w stronę masztu z białą flagą.

— Co uczyniłeś, ty psie? — ryknął wysoki Arab, unosząc jednocześnie w górę żelazny łom. — Umrzesz, za to, że zdradziłeś!

Katombo spojrział na nich ze spokojem.

— Cofnąć się! — krzyknął ostro. — W przeciwnym razie czeka was zguba. „Selim” w ciągu pięciu minut pośle was na dno, jeśli się nie poddacie!

— I co z tego? Jeśli się poddamy to będziemy wisieć!

— Znam „Selima”, jego kapitana i załogę. Nic wam się nie stanie, obiecuję to!

— Dobrze, skoro jest tak jak mówisz, to możemy ci chyba zaufać? Sternik mógłby tymczasem przejąć dowództwo.

— Nie, dowództwo przejmę ja sam, jeśli rzeczywiście mam was ocalić od haniebnej śmierci.

— Niech więc tak będzie. Ale pamiętaj, że zginiesz, jeśli nie dotrzymasz złożonej nam obietnicy.

— W porządku! A teraz do lin! Opuścić żagle! Zatrzymujemy się.

Rozkaz Katombo, który odbił się echem po całym pokładzie, wykonany został w jednej chwili, ludzie zaczęli patrzeć na niego z mniejszą nieufnością, bowiem sposób w jaki kazał ściągnąć żagle był tak śmiały, że nikt przedtem na „Tygrysie” nie odważył się na coś podobnego.

Strzały przstraszyły także Ayschę, mocna zaniepokojona przybiegła z Sulejką na pokład. Katombo spostrzegł żonę, a ponieważ kanonada już ustała i niebezpieczeństwo minęło, skinął aby do niego podeszła.

— Katombo, czy czeka nas śmierć, albo niewola? — spytała przerażona.

— Nic z tych rzeczy, moja najdroższa.

— Kim jest nieprzyjaciel? Czy to aby nie turecka flaga?

— Tak. Przyjrzyj się temu statkowi jeszcze raz dokładnie! Poznajesz już?

Ogarnięta strachem nie zwróciła do tej pory uwagi na tamten okręt, za to teraz zlustrowała go uważnym spojrzeniem.

— Czy to możliwe? Twój „Selim”?

— Tak. A tam na górze stoi kapitana Masur Bej, mój najlepszy uczeń. Jest mi bezgranicznie oddany, a ponadto tak zdolny i odważny, że to jemu właśnie nowy admirał powierzył dowództwo nad „Selimem”.

— A kim jest ten oficer, który teraz podszedł do niego?

Słowa Ayeschy zupełnie go zaskoczyły, przyłożył więc rękę do oczu aby móc lepiej widzieć co dzieje się na trójmasztowcu.

— Na Boga, to on, on we własnej osobie!

— Kto?

— Nowomianowany admirał, ten za sprawą którego się mnie pozbyto i któremu zawdzięczam ów jedwabny sznur. A teraz on przebywa na „Selimie”. To znaczy, że mają do wykonania jakąś bardzo ważną misję.

— Jeśli tak, to jesteśmy zgubieni.

— Wcale nie. Ich statek też się zatrzymał, poznaję już tych ludzi, którzy znajdują się na pokładzie. Wszyscy oni staną po mojej stronie, gdy przyjdzie im wybierać pomiędzy mną a nim. Zaczekaj tylko, zaraz wszystko się rozstrzygnie.

Oba statki kołysane tylko falami spoczywały teraz jeden naprzeciw drugiego. Z „Selima” spuszczone na wodę dużą szalupę z uzbrojonymi po zęby członkami załogi. Łódź odbiła od trójmasztowca i po kilku minutach znalazła się przy burcie *feluki*. Dowodził nią najwyższy rangą podporucznik.

Nie minęła nawet chwila, gdy wraz ze swymi ludźmi wkroczył na pokład „Tygrysa”. Od razu stanęli oni z bronią gotową do strzału, a oficer udał się na tylny pokład, gdzie w narzuconym na głowę kapturze oczekiwał go Katombo.

— Jesteś dowódcą tego statku? — spytał go porucznik.

— Teraz tak.

— Jak on się nazywa?

Zapewne już wcześniej na *stewarze* spostrzegł godło i nazwę, ale zadał to pytanie zgodnie z obowiązującą procedurą.

— „Tygrys”.

— Skąd płyniecie?

— Ano raz stąd, raz stamtąd.

— Aha! A co to za siatek?

— Piracki! — odparł Katombo spokojnie.

— Musisz posiadać sporo odwagi, żeby wyznać mi to tak po prostu. Dlaczego nie zatrzymałeś się, kiedy wezwaliśmy cię do tego?

— Zrobiłbym to natychmiast, ale to nie mnie kazaliście się przecież zatrzymać.

— Komu zatem?

— Żaglomistrzowi, temu tutaj człowiekowi i kapitanowi, który leży tam dalej. Pierwszy z nich nie żyje, a drugi jak mi się wydaje umrze jeszcze dzisiaj.

— Kim właściwie tu jesteś?

— Pasażerem, podróżuję wraz z żoną i dzieckiem.

— Rzeczywiście! I tobie właśnie powierzono dowództwo, skoro sternik stoi na swoim miejscu, przy sterze? Twe słowa są kłamstwem, ponieważ nigdy nie powierza się prowadzenia statku pasażerowi, a już szczególnie w takiej sytuacji, w jakiej wy się znajdujecie

— Mówię prawdę i powiem ci nawet, że obejmę również dowództwo na „Selimie”

— *Ja killet el 'ak!* Cóż to za niesłychana bzdura! Allah odebrał ci rozum albo też udajesz wariata, aby ocalić swe życie. Ja zaś mówię ci, że będziecie wszyscy wisieć, jakim...

— Jakiś Moab Ben Osman, bo tak się nazywasz, nieprawdaż? — przerwał mu Katombo.

— Co, znasz moje nazwisko? A jak brzmi twoje?

— Sam powiedz!

Przy tych słowach Katombo odrzucił kaptur do tyłu. Podporucznik przyjrzał się teraz jego odsłoniętej twarzy i aż cofnął się do tyłu ze zdumienia.

— *Allah akbar!* Bóg jest wielki! Zabiera życie, a potem znów je przywraca zmarłym.

— Poznajesz mnie wreszcie?

Podporucznik skłonił się prawie do ziemi i ujął ręką pytającego chcąc złożyć na niej pocałunek.

— Panie mój i dobroczyńco! A więc nie umarłeś?

— Żyję, jak widzisz. I czy teraz wierzysz już, że cię nie okłamałem?

— Wierzę, mój panie.

— Co miałeś z nami zrobić?

— Zabrać was wszystkich na pokład „Selima” i na razie obsadzić „Tygrysa” moimi ludźmi.

— A co teraz uczynisz?

— To co mi rozkażesz, panie.

— Czy mogę zatem liczyć na ciebie?

— Na mnie i na moich ludzi, którzy tam stoją.

— A co z tymi, którzy pozostali na „Selimie”?

— Myślą podobnie jak i my.

— Nie kochacie, zdaje się nowego admirała?

— Nie. Allah poskąpił mu daru łagodności i pobłażliwości, to niezwykle okrutny człowiek i my wszyscy sądzimy, iż pewnego dnia przyjdzie mu umrzeć jakąś nienaturalną śmiercią.

— Czy kapitan Masur Bej pamięta mnie jeszcze?

— Pamięta cię i szanuje jak dawniej. „Selim”, „ jest przecież twoim dziełem. Obsadziłeś go ludźmi, których sam wybrałeś spośród samych głośnych nazwisk. Tobie więc wszyscy zawdzięczamy szczęście jakie nas spotkało. Uwierzyliśmy w wiadomość o twojej śmierci, gdy ta nadeszła, potem przyszło nam zacisnąć zęby, kiedy twój następca kazał nas traktować jak

niewolników i niewiernych, ale teraz, jeśli wszyscy dowiedzą się, że żyjesz i do tego zamierzasz pojawić się na „Selimie”, będą triumfować

— Za to admirał nie ucieszy się z tego. To on bowiem postarał się o to, abym utracił względy sułtana i doszło nawet do tego, że przysłano mi jedwabny sznur.

— *Maschallah!* W takim razie uczyni z nim to, na co zasłużył! My staniemy po twojej stronie.

— Z jakiego powodu admirał znajduje się na „Selimie”?

— Tego nie wiem.

— No, a dokąd płyniecie?

— Tego też nie wiem, ponieważ on wszystko utrzymuje w tajemnicy.

— Dowiemy się zatem. Kto obejmuje komendę nad twoimi ludźmi, ty, czy ja?

— Ty panie.

— Pozostawiam ją w twoich rękach, a to znaczy, że w pełni ci ufam.

— Na wszystkie nieba Mahometa, możesz mi panie ufać!

— Słuchaj zatem co ci powiem, udam się sam jeden na „Selima”. Znajdę tam przyjaciół, wtedy wszystko pójdzie dobrze, jeśli zaś spotkam wrogów wtedy wyskoczę za burtę i przyplnę tu z powrotem. Co uczynisz, jeśli moja wyprawa zakończy się fiaskiem?

— Nie opuszczę cię panie.

— Ale czy wiesz, że w ten sposób poświęcasz wszystko dla mnie?

— Nie poświęcam niczego, gdyż wszystko co mam i to kim jestem zawdzięczam tobie.

— Zaczynamy zatem! Rozdziel swych ludzi i każ spuścić na wodę małą łódź!

Rozkaz został posłusznie spełniony. Gdy Ayescha zobaczyła co się szykuje, wpadła w tak wielkie przerażenie, iż za nic nie chciała pozwolić, aby jej mąż ją opuścił. Katombo musiał użyć wszelkich sposobów, żeby ją uspokoić i zaprowadzić pod pokład. Następnie zszedł do czekającej już łódki i powiosłował samotnie w stronę „Selima”.

Oficerowie i marynarze trójmasztowca byli mocno zdziwieni, gdy zamiast pojmanyh jeńców, ujrzeli wchodzącego na pokład jednego, jedynego człowieka, w narzuconym szczelnie i uniemożliwiającym rozpoznanie jego twarzy kapturze.

Któryś z bosmanów zaprowadził go na tylny pokład, gdzie w górnej jego części stali kapitan i *kapudyn pasza*, następca i wróg Katombo. Gdy ten ujrzął zbliżającą się zakapturzoną postać, rzekł do kapitana:

— Ten to wygląda tak osobliwie, że pertraktacje z nim poprowadzę sam.

Kapitan skłonił się wyrażając zgodę. Właśnie nadszedł Katombo, zatrzymał się w dumnej postawie przed paszą, pozdrawiając równocześnie wyciągniętą prawicą kapitana. Dookoła zdążyli się już zebrać wszyscy oficerowie, prócz tych, którzy pełnili służbę.

— *Sallimja Kelb!* Masz się pokłonić, ty psie! — ryknął pasza.

— Pokłoniłem się! — zabrzmiała harda odpowiedź.

— Jemu, ale nie mnie i pozostałym!

— Pozdrawiam w takim razie pozostałych, ale ciebie nie! *Kapudyn pasza* sprawiał wrażenie człowieka, który nie wierzy własnym uszom.

— Hm, a to dlaczego?

— Bowiem przywitać powinienem tylko oficerów statku, na który przychodzę i nikogo innego więcej.

— Cóż to, nie wiesz kim jestem?

— Znam cię.

— I mimo to odmawiasz mi czci, jaką szakał winien jest lwu?

— Nie jesteś żadnym lwem, tylko tchórzliwą hieną żyjącą kosztem trupów. Ale czasami zmarli budzą się aby zadusić rabusiów zwłok.

— Psie, jak śmiesz! Jesteś piratem i umrzesz wraz z innymi, ale twoja śmierć będzie po stokroć dłuższa i straszliwsza niż pozostałych. Co przynosisz i dlaczego przybywasz tu w pojedynkę?

— Przynoszę zemstę i karę, przybyłem zaś sam, dlatego, iż nie muszę się tutaj nikogo obawiać.

— Nawet mnie? — zapytał pasza z uśmiechem podobnym do szczerzącej zęby pantery.

— Ciebie najmniej, ty bowiem przypominasz zgniły melon, zgnieciony dziecinną ręką.

Kiedy pasza to usłyszał dobył szpady.

— Na ziemię, masz się ukorzyć przede mną, bo jeśli nie to w następnej sekundzie pozbawię cię głowy i życia!

— Nie wyglądasz na takiego, który by to mógł uczynić — zabrzmiały w odpowiedzi słowa pełne pogardy.

W tej samej chwili Katombo odrzucił kaptur z głowy, ukazując teraz swe oblicze, po czym wyciągnął szpadę. *Kapudyn pasza* aż się cofnął z wrażenia.

— Nurwan pasza!

— Tak, to ja, Nurwan pasza! Nurwan pasza pojawił się na swoim starym, dobrym „Selimie”, aby przywitać się ze swymi dzielnymi ludźmi i aby uwolnić ich, a także ich państwo od człowieka, który swoją pozycję zawdzięcza wyłącznie zdradzie, intrydze i kłamstwu.

Pasza zdążył już oprzytomnieć.

— Schwycić go i związać! — rozkazał.

Na to odezwał się Katombo, zwracając się do oficerów:

— Chcecie być mu posłuszni i pojmać waszego najlepszego przyjaciela, ojca i dobroczyńcę?

Popatrzyli tylko na siebie i już wszystko stało się dla nich jasne. Wyciągnęli broń i przeszli tam, gdzie stał Katombo. Ten odwrócił się do paszy i rzekł:

— Widzisz teraz ile warte są twe słowa! Sądziłeś, że spotka mnie śmierć po stokroć gorsza od innych. Ja wszakże nie mam serca pantery jak ty. Twoja śmierć zatem będzie szybka i bezbolesna.

Pasza zamachnął się szpadą gotując się do zadania straszliwego ciosu.

— Giń, psie! A potem i wy zawiśnięcie na rei!

Szpada przecięła powietrze i w tej samej chwili wypadła z ręki admirała, po czym zatoczywszy łuk, zniknęła za burtą. To Katombo w mistrzowski sposób odparował cięcie.

— Zaczekaj jeszcze chwilę, dopóki się z tobą nie rozmówię! Zrabowałeś mi honor i urząd. Twoim intrygantem zawdzięczam to, że sułtan przysłał mi jedwabny sznur. Ale mam to w pogardzie. Twojego posłańca pozbawiłem głowy, kedywa również dosięgła śmierć, skręcając mu wnętrzności. I to co uczyniłem twojemu wysłannikowi, czeka również ciebie. Morderco i zdrajco, niech cię piekło pochłonie!

I Katombo postąpił teraz zupełnie tak samo jak z Fessarem Achmedem; złapał paszę za rękę, zakręcił nim w koło, potem błysnęło tylko ostrze klingi i głowa admirała poleciała w dół.

Teraz zbliżył się doń kapitan.

— *La illaha illa 'llah!* Bóg jest Bogiem i jego wyroki są sprawiedliwe. Witamy cię o panie, gotowi poddać się całkowicie twej woli!

Katombo uścisnął mu i pozostałym oficerom ręce.

— Witaj Masur Beju! Byłem pewny, że jesteś mi wierny i że mogę na tobie polegać. Witajcie i wy! Czy chcecie, abym znów został waszym dowódcą?

— Chcemy! — krzyknęli wszyscy razem.

— Ale czy wiecie także, iż czeka was śmierć, jeśli sułtan dowie się o tym zdarzeniu?

— Panie, wiemy o tym, ale nie boimy się niczego — odparł kapitan. — Jesteś mądry i dzielny. Oddajemy w twe ręce „Selima”, a wraz z nim nasz los i naszą przyszłość.

— Dziękuję wam! Pamiętajcie, że nikt nie może się dowiedzieć, co tu się dzisiaj stało. „Selim” zniknie teraz bez śladu i pojawi się znowu dopiero wtedy, gdy Nurwan odzyska tytuł *kapudyna paszy*. A potem będę pamiętał o waszej wierności i okażę wam swą wdzięczność

Nim jednak nadejdzie ta chwila będę prowadził was wszędzie tam gdzie czeka na nas walka i zwycięstwo, a wszystko w tym celu, aby uczynić z was prawdziwych mężczyzn i bohaterów, na czasy, które takich ludzi będą potrzebowały. Zaszyjcie zwłoki zabitego w płótno i wrzucie je do morza. Zajmę jego kajutę i chciałbym, aby nikt nie wchodził tam przede mną.

Na wiadomość, że Nurwan pasza przybył na pokład i obejmuje dowództwo zapanowała wśród całej załogi nieopisana radość i wszystkie ręce poruszały się dwa razy szybciej, kiedy kapitan wydał rozkaz, aby podnieść w górę flagi i wimpe, i na cześć Katombo przygotować statek do parady.

Katombo tymczasem wrócił na „Tygrysa”, aby zabrać stamtąd na „Selima” żonę i dziecko. Ayeschę, którą wcześniej udało się jakoś uspokoić, znów ogarnął wielki strach o małżonka. On szczęśliwie wszakże, mógł udać się prosto do niej, nie musząc o niczym informować podporucznika, gdyż ten ostatni dostrzegł już i usłyszał jaką radość wywołała na „Selimie” osoba byłego *kapudyna paszy*. Wszystko, pokrótce opowiedział Ayesche, a następnie zaczął skrupulatnie wypytywać się o ładunek wieziony przez „Tygrysa”. *Feluka* kryła w sobie prawdziwą obfitość złota i innych bogactw i on, Katombo miał teraz prawo i możliwości, aby sobie to wszystko zatrzymać.

Nie uczynił tego jednak, lecz kazał wezwać do siebie sternika i syna zabitego żaglomistrza. Obaj nie wiedzieli jeszcze z kim mają do czynienia.

— Do kogo należy teraz waszym zdaniem statek? — zapytał.

— Należy do „Selima” — odparł ponuro sternik. — Ale co się stanie z nami... a co to za radosne krzyki na tamtym statku?

— Przyrzekłem wam wcześniej, że nic złego was nie spotka, a mam w zwyczaju dotrzymywać obietnic. „Tygrys” należy do kapitana i jako zdobycz popłynie z „Selimem”. Natomiast jego ładunek staje się waszą własnością. Podporucznik, który znajduje się tu na pokładzie, odstawi was do najbliższego portu. Podzielcie potem bogactwa między siebie, według waszego uznania, ale pospieszcie się z tym, gdyż „Selim” nie ma zamiaru czekać zbyt długo na *felukę*!

Obaj mężczyźni byli tą wspaniałomyślnością tak zaskoczeni, iż dziękowali mu słowami pełnymi uniesienia.

— Czy papiery statku są w kajucie? — zapytał, gdy wyrazili już swą wdzięczność.

— Tak — odpowiedział syn żaglomistrza. — Mamy różne papiery przygotowane na najrozmaitsze sytuacje, skoro ty potraktowałeś nas tak wspaniałomyślnie, to teraz powinienes je wszystkie otrzymać. Zejdź ze mną na dół!

Katombo podążył za nim. W tym samym, małym pomieszczeniu, w którym on, Nurwan pasza rozmawiał wcześniej z kapitanem, syn żaglomistrza nie czekając na nic wziął i zrolował dywan leżący na podłodze.

— Oto tajemny schowek, który zawiera wszystko to, o czym żaden urząd ani władza nie powinny wiedzieć. Mój ojciec nie żyje, ja zaś chciałbym niedługo rozpocząć zupełnie inną podróż i żadne z papierów tu ukrytych nie są mi potrzebne. Weź je, należą teraz do ciebie!

Odsunął górną pokrywę schowka i ich oczom ukazało się wgłębienie w podłodze, a w nim prócz mnóstwa wypełnionych po brzegi sakiewek, także całe mnóstwo papierów.

— Pieniądze są wasze — rzekł Katombo. — Ja biorę tylko dokumenty.

Wziął je ze sobą i udał się na pokład, aby powiadomić podporucznika o swoich postanowieniach dotyczących feluki i jej załogi. Później wraz z żoną i dzieckiem powrócił na „Selima”. Tymczasem „Tygrys” podniósł żagiel i skierował się w stronę najbliższego portu.

POD CZARNĄ BANDERĄ

Od tamtych zdarzeń, minęło dobrych kilka lat. Hrabia Hohenegg, który dzięki dyplomatycznym staraniom został zwolniony z aresztu w Konstantynopolu, już dawno temu powrócił do swej rodzinnej posiadłości.

Z zatroskanym i pełnym obaw obliczem, siedział teraz w swym gabinecie i spoglądał na leżące przed nim na stoliku, pismo Wielkiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego o następującej treści:

Wasza dostojność!

Niestety nie możemy przystać na pana propozycję dotyczącą ubezpieczenia pańskich statków i przewożonych przez nie towarów. Nasza odmowa wynika z obaw przed wysokością strat jakie moglibyśmy ponieść w tym przypadku; ich rozmiarów bowiem nie są w stanie zrekompensować w niewielkiej nawet części taryfy ubezpieczeniowe. Musimy więc niestety brać pod uwagę i to, że wyrażając naszą zgodę, podzielimy los różnych innych towarzystw, które za sprawą zawartych z panem transakcji ubezpieczeniowych, znalazły się na krawędzi bankructwa. Od zasady tej odstępimy natomiast, gdy uzyskamy wiarygodną informację o tym, iż Czarnemu Kapitanowi uniemożliwiona została dalsza szkodliwa działalność i wtedy znów pozostawać będziemy do pańskiej dyspozycji.

Hrabia zaśmiał się gorzko i odłożył pismo na bok. Ciągle tylko Czarny Kapitan i Czarny Kapitan. A jakie to szkody zdążył wyrządzić już do tej pory rodzinie Hoheneggów, ten budzący zgrozę człowiek. W ciągu ostatnich lat, dziesięć statków norlandzkiej kompanii kolonialnej zostało zdobytych wraz z ich drogocennym ładunkiem, to wszystko padło łupem korsarza. I żadnej nadziei na to, że uda się poczynaniom tego niebezpiecznego pirata zapobiec.

Ale jak do tego doszło? Norlandia zainteresowała się możliwością czerpania zysków z handlu prowadzonego z zamorskimi koloniami. Za sprawą hrabiego Hohenegg, który w tym względzie wykazywał się podziwu godną dalekowzrocznością, utworzona została kolonialna kompania handlowa, dysponująca środkami pieniężnymi na zakup kolonialnych towarów i eksploatację zamorskich posiadłości. Hrabia, sam posiadający niewielkie możliwości, postarał się już oto by zostać członkiem kompanii, a następnie dzięki zręcznym machinacjom potrafił skupić w swym ręku prawie wszystkie jej udziały. Zysk, który płynął z tego dochodowego przedsięwzięcia do kieszeni Hohenegga, szedł w miliony.

Wszechwładny hrabia zawładnął prawie całym norlandzkim handlem morskim i statki, które pływały po morzach i oceanach z flagą tego kraju robiły to w większej części na jego polecenie i rachunek.

Pewnego razu wszakże pojawiła się, by zacząć zataczać coraz szersze kręgi, najpierw mglista i niejasna, a potem coraz bardziej wiarygodna pogłoska. Oto mimo panującego na morzach pokoju, Turcji „została wypowiedziana wojna”. Oświadczenie w tej sprawie podpisał Czarny Kapitan. Władze w Stambule były tym faktem mocno rozbawione, jednakże ten dobry nastrój szybko im minął. Już po kilku dniach doszła bowiem wiadomość o zagładzie tureckiego statku handlowego, schwytanego na pełnym morzu i następnie pokonanego po krótkiej walce przez małą *felukę*. Pirat przywiódł następnie swój łup niedaleko lądu i tam wysadzono załogę „Turka” na łodzie. Sam zaś statek z całym ładunkiem, w bliskiej jeszcze odległości od brzegu, zatopiono.

To był początek, tej prowadzonej z bezprzykładną śmiałością przez niezwykłego pirata, morskiej wojny. Porta Otomańska podjęła najróżniejsze starania, chcąc poskromić tego niebezpiecznego wroga, wszystko wszakże na próżno. I cóż z tego, że w morze wypływały coraz to lepiej uzbrojone statki? „Tygrys” udowodnił, że i tak przewyższa je pod każdym względem.

Doniesienia o zdobytych i zatopionych przez korsarza statkach mnożyły się. Wyglądało to tak, jakby ów tajemniczy nieprzyjaciel rozporządzał umiejętnością pojawiania się w dwóch, trzech miejscach jednocześnie, a wszystko to zawdzięczał bajecznej prędkości z jaką przeprowadzał swe akcje.

Jeszcze nie skończono w Stambule radzić nad posunięciami, mającymi wreszcie unieszkodliwić „Tygrysa”, kiedy nadeszła kolejna hiobowa wieść. „Tygrys” posłał na dno uzbrojoną w dwadzieścia pięć dział wojenną korwetę. Tym razem piratem miała okazać się nie owa słynna już *feluka* lecz trzymasztowa fregata z takielunkiem klipra. Ani chybi była to wskazówka, że w otoczeniu „Tygrysa” należało spodziewać się nie jednego, ale co najmniej dwóch, o ile jeszcze nie więcej działających statków.

Sprawy przybrały poważny obrót i nadszedł czas, aby rozprawić się definitywnie z piratem. Tym bardziej, że wieść o nim zaczęła rozchodzić się już i poza granicami imperium tureckiego, chociaż Porta starała się, by jak najmniej informacji na ten temat przeniknęło na zewnątrz. Wysłana przeciw niemu cała jedna flota, powróciła po jakimś czasie, nic nie wskórawszy. Czarny Kapitan otrzymał wiadomość o tej eskapadzie i zniknął gdzieś. Musiał pewnie udać się do swojej kryjówki, mając tam zapewne pod ręką, wszystko co potrzebne i dzięki czemu mógł pozostać całkowicie nieuchwytny.

Także samą osobę Czarnego Kapitana okrywała całkowita tajemnica. Żaden człowiek nie potrafił powiedzieć, kim ten niezwykle pirat był naprawdę. Nikt bowiem nie mógł pochwalić się tym, iż widział się z nim twarzą w twarz. Wielu twierdziło, że był on herkulesowej budowy Murzynem, inni śmiali się z tego i uważali, że tylko Europejczyk mógł rozporządzać takimi umiejętnościami żeglarskimi, jakie na co dzień demonstrował Czarny. Ale nie brakowało także i przesądnych marynarzy, którzy kapitana „Tygrysa” uważali za wcielonego diabła.

Zgodna opinia panowała natomiast w kwestii odnoszącej się do jego śmiałości i rycerskości. Czarny był jedynym piratem, który starał się unikać przelewu krwi. Nie krył się z niczym i zawsze ukazywał swą czarną banderę, po czym bez jednego wystrzału podpływał bardzo blisko atakowanego statku. Gdy przeciwnik się bronił, wtedy zapewne używał broni, jeśli się poddawał nie spotykała go żadna krzywda. „Tygrys” brał pokonanego na hol i ciągnął do najbliższego wybrzeża. Tam załoga holowanego statku otrzymywała najniezbędniejsze środki na podjęcie podróży w ojczyste strony. Opowiadano nawet o licznych przypadkach, kiedy to Czarny Kapitan mimo, że mógł zdobyć statek rozkazywał, mając na uwadze ludzkie życie, odpłynąć.

Zapewne i tak, używając podstępnie ten „porzucony” łup wcześniej czy później zdobywał.

Już ponad rok trwała ta osobliwa morska wojna. Czarny Kapitan z pełną świadomością wystrzegał się wrogich działań względem innych morskich potęg, więc żadna z nich nie wysuwała wobec niego jakichkolwiek zastrzeżeń.

Tym bardziej więc zaskoczyła wszystkich wiadomość, która obiegła świat, iż Czarny Kapitan zdobył dwa statki norlandzkiej kompanii kolonialnej. Zdziwienie było jeszcze większe, kiedy towarzystwo ubezpieczeniowe, które poniosło z tego powodu ogromne straty, otrzymało od owego kapitana, wyliczoną co do grosza równowartość wypłaconego przez nie odszkodowania, z wyraźnym poleceniem, aby w przyszłości nie zawierała już żadnych umów z ową norlandzką kompanią. Każdy bowiem statek związany z przedsięwzięciami hrabiego Hohenegga, który wpadłby w ręce Czarnego Kapitana, czekała zguba.

Rzecz rozniosła się szybko i w rezultacie tego, kolejne towarzystwa ubezpieczeniowe, do których zwracał się hrabia, jedno po drugim odmawiały mu swych usług. Hohenegg zaczął czynić rozpaczliwe starania, aby uzyskać pomoc Anglii. Pojął bowiem, że Norlandia, której marynarka wojenna nie była mocną stroną, nie może samotnie wystąpić przeciw tak niebezpiecznemu wrogowi. Ale Anglia, choć wyraziła swe współczucie, odmówiła w wielce dyplomatyczny sposób. Ona sama od dawna z zazdrością obserwowała rozkwit norlandzkich kolonii, i ze starannie ukrywanym zadowoleniem, przyjmowała każde niepowodzenie Norlandii na morzu.

Okazało się więc, że hrabia może liczyć wyłącznie na samego siebie i na swą mądrość. Jego kompania zdążyła już stracić dziesięć statków. Co powinien zatem zrobić? Miałby z powodu jednego, jedyne go człowieka wycofać się z tak intratnego przedsięwzięcia? Nie, to byłoby śmiechu warte! Przecież musi się znaleźć z tego jakieś wyjście! I znalazło się! Hrabia zawarł tajne umowy handlowe z właścicielami wielu süderlandzkich statków. Odtąd będą one pływać na rachunek norlandzkiej kompanii kolonialnej. Przecież Czarnego Kapitana interesują tylko statki z banderą Norlandii. Tak, to dobra myśl! A straty poniesione z powodu konfiskaty statków, będzie mógł sobie hrabia powetować teraz w dwójnasób, a to dzięki korzyściom jakie przyniesie potajemne wynajęcie statków sąsiedniego państwa.

Tak miały się sprawy, gdy nadeszło pismo wspomnianego wcześniej towarzystwa ubezpieczeniowego. Była to kolejna bezowocna próba jakiej się hrabia podjął w tym względzie. Siedział teraz zamyślony, podpierając głowę rękami. Kim właściwie był ten tajemniczy kapitan? I przeciwko komu występował, czy chodziło mu o Norlandię, czy właśnie o niego, hrabiego von Hohenegg?

Nabierał przekonania, iż to chodzi właśnie o jego osobę. Zdarzyło się przecież kilka razy, że jego wspólnik, który inwestował w te zamorskie przedsięwzięcia daleko mniejsze sumy, otrzymywał z jakiejś nieznanej ręki odszkodowanie za straty ponoszone przez nich z tytułu zrabowanych statków. Jedynym poszkodowanym był zatem on! Lecz kto spośród tych, których uczynił swymi wrogami, mógł posiadać siłę, jaką rozporządzał Czarny Kapitan? Hrabia szukał teraz w myślach wszystkich tych osób, z którymi zdarzyło mu się wejść w konflikt, ale żadnej z nich nie podejrzewał o możliwości i umiejętności jakie posiadał ów pirat. Cała ta sprawa była więc wielką zagadką, której rozwiązania należało spodziewać się w przyszłości.

Rozmyślania hrabiego zostały przerwane nagłym wejściem służącego.

— Łaskawy panie, kapitan „Mewy” prosi, abyś zechciał go przyjąć.

Z okrzykiem radości hrabia podskoczył w górę.

— Kapitan „Mewy”? Nie spodziewałem się go tak prędko. Niech wejdzie!

Służący odsunął się i do środka wszedł wysoki mężczyzna, w którym już na pierwszy rzut oka dało się rozpoznać marynarza.

— Witamy, kapitanie Hoffmann! — przyjął go tymi słowami hrabia. — Już z powrotem, po podróży?

— Tak, panie hrabio! Wczoraj przybiłem moją „Mewę” do brzegu.

— Podróż minęła szczęśliwie?

— Nie, jego dostojność!

To „nie” zostało wymówione z tak mocnym akcentem, że Hohenegg spojrział na kapitana zdziwiony.

— Jak mam to rozumieć? Czyżby pański statek uległ uszkodzeniu i wymagał naprawy?

— Nie, „Mewa” przyplłynęła z powrotem w zupełnie dobrym stanie.

— Niech pan wreszcie powie o co chodzi? Jakie nieszczęście pana spotkało?

— Ładunek przepadł.

Hrabia pobladł. Ta przerażająca wiadomość wstrząsnęła nim tak bardzo, że musiał usiąść.

— Przepadł! — wymamrotał. — Jak to... Jak pan to może wytłumaczyć?

Kapitan spojrział na siedzącego ze współczuciem.

— Czarny Kapitan zagarnął pański ładunek.

Przez chwilę zapanowała cisza. Hrabia musiał najpierw przetrawić to co usłyszał.

— Czarny Kapitan! Ciągłe ten Czarny Kapitan! — wyrzucił w końcu z siebie. — Ale jak to było możliwe? Skąd mógł się dowiedzieć, że pan pozostaje w mojej służbie?

— Wymaga pan ode mnie zbyt wiele, panie hrabio! Nie mam najmniejszego pojęcia. Ta sprawa była trzymana w największej tajemnicy.

— Co za łajdak! Ośmielił się już nawet napaść na statek z süderlandzką banderą!

— Chciałbym tylko wiedzieć na kogo ten człowiek nie ośmieliłby się napaść!

— Niech pan opowiada jak to było.

— Cała ta historia nie jest zbyt zagmatwana. „Mewa” osiągnęła właśnie wysokość Azorów, kiedy zameldowano o pojawieniu się wielkiego trójmasztowca, który z nieprawdopodobną wręcz prędkością zaczął podążać naszym śladem. Jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać statku, który by rozwijał podobną prędkość. Kiedy zbliżył się do nas mogłem rozpoznać przez lunetę kolor jego żagli. Były czarne. Naturalnie zorientowałem się od razu z kim mam do czynienia. Tego typu i tak szybki statek, posiadający do tego czarne żagle mógł należeć wyłącznie do Czarnego Kapitana. To słuszne jak się okazało przypuszczenie pozwoliło mi zachować zimną krew. Wiadomo bowiem, że poluje on tylko na tureckie i norlandzkie statki. Nakazałem też sternikowi, aby trzymał się dotychczasowego kursu. Jego zmiana mogłaby bowiem wzbudzić podejrzenie u pirata. Jednak z napięciem obserwowałem jego szybkie zbliżanie się. Gdy był oddalony jakąś milę oddał jeden strzał oznaczający rozkaz zatrzymania się. Posłuchałem wezwania i...

— Tego nie powinien był pan czynić! Trzeba było próbować ucieczki.

Kapitan roześmiał się przez zaciśnięte zęby.

— Wybacz pan, hrabio, ale pan chyba nie zrozumiał. O ucieczce nie mogło być mowy. Pan jeszcze widać nie zna Czarnego Kapitana.

— Ale mogliście przecież stawiać opór.

— Mówi pan to poważnie? Nawet gdyby „Mewa” była uzbrojona, nie mogłaby nic zrobić próbując walczyć z trójmasztowcem. Wasza dostojność, niech mi pan wierzy, ale mój sposób postępowania był całkowicie słuszny.

— Niech pan opowiada dalej!

— Spostrzegłem przez lunetę, że na pokładzie nie ma żywej duszy. Jeden tylko człowiek wisiał wspięty na wantach przy bakburcie. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różki opadły na trójmasztowcu wszystkie żagle i pirat zatoczywszy zgrabny łuk zbliżył się do nas. Potem oba statki zatrzymały się naprzeciw siebie, kołysane tylko ruchem fal.

— Ahoi, nadpływamy! Coście za jedni? — krzyknął w naszą stronę uczepiony lin człowiek.

— Bryg „Mewa”, kapitan Hoffmann — rzuciłem w odpowiedzi.

— Tu „Tygrys”! Niech pan przybędzie na nasz pokład!

— Co miałem robić, panie hrabio? Odmówić wykonania rozkazu, mając przeciwko sobie dwadzieścia dział? Takie rozwiązanie wykluczyłem w zupełności. Kazałem więc opuścić łódź i po pięciu minutach stanąłem na pokładzie „Tygrysa”. Ciągle jeszcze nie widziałem tam żadnego człowieka, z wyjątkiem owego mężczyzny, który w międzyczasie zdążył opuścić się już na dół i podejść w moją stronę. Był ubrany zupełnie na czarno, oprócz tego na twarzy miał maskę również w tym kolorze, najprawdopodobniej po to, aby nikt nie mógł go rozpoznać. Bez zbędnych ceregieli wyjaśnił mi o co chodzi.

— Kapitanie, czy został pan wynajęty przez norlandzką kompanię handlową? Proszę nie kłamać, jestem w tej sprawie dokładnie poinformowany. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdybym został zmuszony do wejścia na pański pokład.

— Ale czego pan chce ode mnie? — spytałem.

— Chcę skonfiskować towary należące do owej kompanii, na usługach której pan obecnie pozostaje.

— Jakim prawem pan się ich domaga...?

— Prawem silniejszego. Kapitanie, będę z panem szczerzy. Nie jestem wrogiem Süderlandii ani Norlandii, lecz prowadzę wojnę z hrabią von Hohenegg, któremu poprzysiągłem zgubę...

— Chwileczkę! — krzyknął hrabia, który przysłuchiwał się tej relacji z największym napięciem. — Czy nie spytał pan tego człowieka, co było przyczyną, że stał się moim wrogiem?

— Oczywiście, że zadałem mu to pytanie, ale on zachował się tak, jakby tego nie usłyszał. Proszę wszakże pozwolić mi mówić dalej! Rzecz jasna zaprotestowałem przeciwko

jakiegokolwiek próbie użycia siły z jego strony. Czarny wysłuchał mnie w spokoju, a gdy skończyłem odparł:

— Panie kapitanie, służy pan obecnie Norlandii i w związku z tym muszę pana traktować jako swego wroga. Wszakże gotów jestem pójść wobec pana na znaczne ustępstwa i oszczędzić pański statek, ale pod warunkiem, że zostanie mi wydany jego ładunek. W takim wypadku, nikt z moich ludzi nie wejdzie na pański pokład. Gdybyście jednak, a mam nadzieję, iż do tego nie dojdzie, sprzeciwili się memu życzeniu, byłbym zmuszony z bronią w rękę domagać się jego spełnienia. A teraz niech się pan szybko zastanowi i zdecyduje!

— Wasza dostojność! — zwrócił się Hoffmann do hrabiego. — Niech pan tylko spróbuje postawić się w mojej sytuacji. Nie miałem innego wyboru, jak tylko ustąpić przed siłą. Nie zastanawiając się długo wydałem niezbędne rozkazy. W kilka minut znaleźliśmy się burta przy burcie i moi ludzie przez dziesięć godzin uwijali się w pocie czoła przenosząc wieziony przez nas towar do ładowni trójmasztowca. W tym czasie załoga „Tygrysa” stała obok z wyciągniętymi pistoletami, gotowa przy najmniejszej nawet próbie sprzeciwu, otworzyć ogień. Pozwoli pan, że resztę opowiem w skrócie. Już miałem opuścić nieprzyjacielski statek, kiedy podszedł do mnie Czarny.

— Panie kapitanie — powiedział spokojnym, prawie przyjacielskim tonem. — Tym razem oszczędziłem pański statek. Ale niech pan uważa na siebie i w przyszłości nie zajmuje się interesami hrabiego Hohenegg! Nie życzę sobie tego, rozumie pan? A w związku z tym, że się pan z nim niedługo zobaczy, proszę aby zechciał mu pan przekazać ten list.

Hrabia z ciekawością przyglądał się trzymanej przez kapitana przesyłce. Czyżby tam miało znajdować się rozwiązanie zagadki, dotyczącej osoby Czarnego?

— Dziękuję panu, kapitanie. Przyniósł mi pan złe wiadomości, ale trzeba powiedzieć, że w tej sytuacji nie mógł pan uczynić nic innego. A teraz proszę pozostawić mnie samego! Muszę się nad wszystkim spokojnie zastanowić.

Kapitan po krótkim pożegnaniu opuścił gabinet, zaś Hehenegg zasiadł przy swym biurku. Przez chwilę trzymał list w rękę, jakby się bał go otworzyć. Wreszcie sięgnął gwałtownym ruchem po nóż do papieru, aby rozciąć kopertę.

List zawierał tylko kilka napisanych wyraźnym pismem zdań, ale wydawało się, że hrabia potrzebuje całej wieczności, aby pojąć zawarty w nim sens. Długi czas patrzył nieprzytomnie na arkusz papieru. W końcu położył go na stole. Poblądł strasznie a na czole wystąpiły mu grube krople potu. Zamknął oczy, a głowa jakby pod jakimś ogromnym ciężarem opadała mu na piersi. O czym tak myślał? Czyżby pojawiły się cienie dawno zapomnianej przeszłości, po to

aby go teraz dręczyć? A może usłyszał skradającego się anioła zemsty, który zatrzymał się u jego drzwi, gotów wejść do środka w każdej chwili?

List, który wprowadził hrabiego von Hohenegga w takie przerażenie zawierał tylko kilka słów.

Ukradłeś mi Lilgę, którą tak bardzo kochałem. Pozbawię cię za to twego bogactwa, które kochasz ponad wszystko i na którym opiera się cała twoja potęga. Nie spocznę, póki nie ujrzę jak korzysz się u mych stóp.

Katombo, Czarny Kapitan.